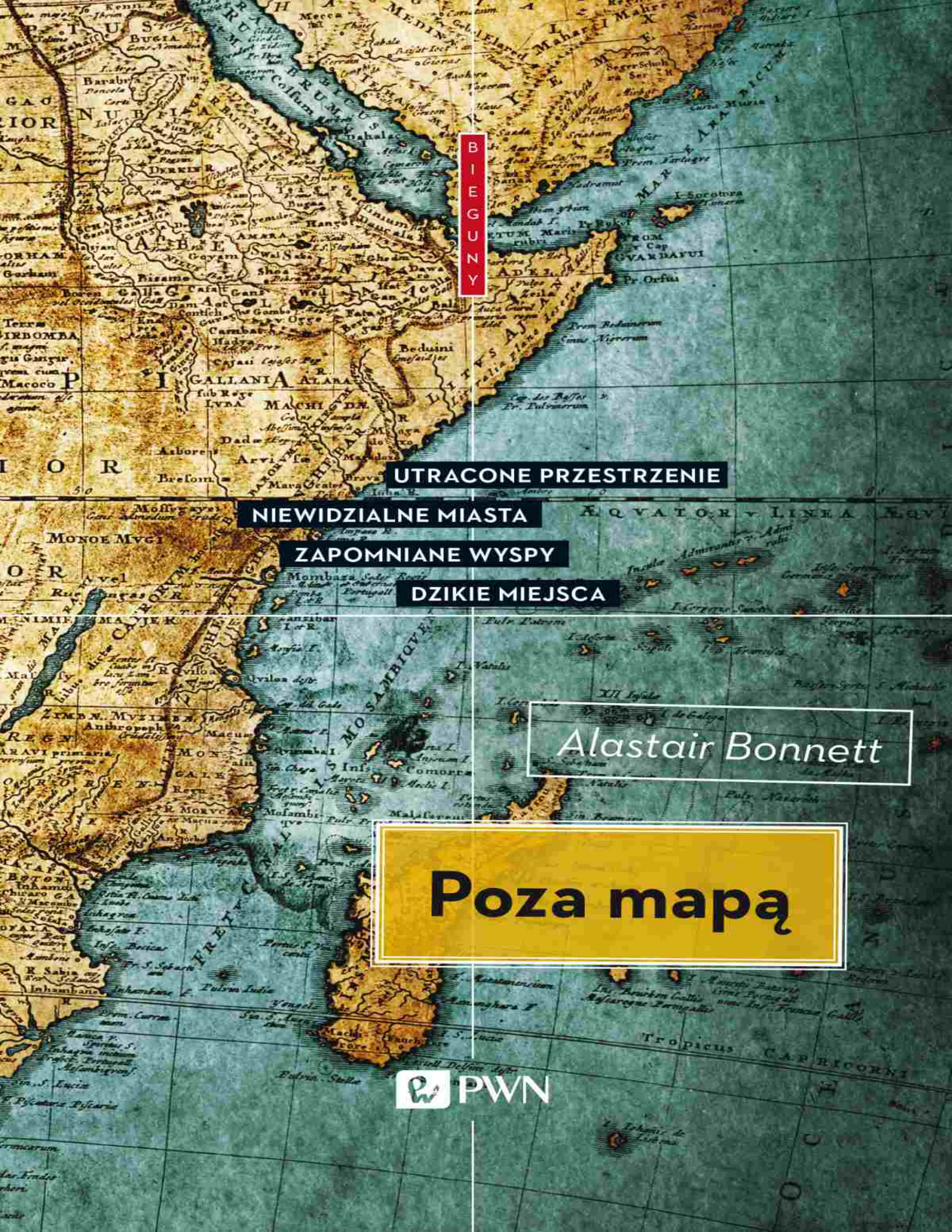

Alastair Bonnett

Poza mapą

PWN

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Alastair Bonnett

Poza mapą

TŁUMACZENIE
JACEK ŻUŁAWNIK

PWN

Copyright © by Dom Wydawniczy PWN Sp. z o.o., Warszawa 2015
Grupa Wydawnicza PWN
ul. Gottlieba Daimlera 2
02-460 Warszawa
www.dwpwn.pl

Tytuł oryginału: OFF THE MAP
Copyright © Alastair Bonnett 2014
Illustrations © Lauren Nassef

Wydawca: Dąbrówka Mirońska
Przekład: Jacek Żuławnik
Konsultacja merytoryczna: Robert Szewczyk
Redakcja: Renata Lewandowska
Korekta: Malwina Łozińska
Projekt graficzny okładek do serii Bieguny: Przemek Dębowski
Opracowanie okładki: Maciej Szymanowicz
Zdjęcie na okładce: Triff/Shutterstock
Przygotowanie wersji elektronicznej: Ewa Modlińska
Skład wersji elektronicznej na zlecenie Domu Wydawniczego PWN: Tomasz Szymański

ISBN 978-83-7705-899-2

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejsza publikacja ani jej żadna część nie może być kopiowana, zwielokrotniana i rozpowszechniana w jakikolwiek sposób bez pisemnej zgody wydawcy.

prawolubni Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując jej część, rób to jedynie na użytek osobisty.
Szanujmy cudzą własność i prawo.
Więcej na www.legalnakultura.pl
Polska Izba Książki

SPIS TREŚCI

Wstęp

1. Utracone miejsca

    Wyspa Sandy

    Leningrad

    Arne

    Stara Mekka

    New Moore

    Time Landscape

    Aral-kum

2. Ukryta geografia

    Labirynt

    Żeleznogorsk

    Podziemne miasta Kapadocji

    Lisia nora

    Cmentarz Północny w Manili

    Wyspa North Sentinel

3. Ziemie niczyje

    Między granicami (Gwinea i Senegal)

    Bir Tawil

    Nahuaterique

- Twail Abu Dżarwal
- Wysepka drogowa

4. Umarłe miasta
   - Wittenoom
   - Kangbashi
   - Kijŏng-dong
   - Ağdam
   - Prypeć
   - Park Archeologiczny Sycylijskiej Niedokończoności
5. Miejsca o wyjątkowym statusie
   - Camp Zeist
   - Magazyn wolnocłowy w Genewie
   - Bright Light, ulica Mureş 4, Bukareszt
   - Międzynarodowa przestrzeń powietrzna
   - Gutterspace
   - Kraina Obfitości
   - Góra Athos
   - Quilombo Brotas
   - Obszary Kolumbii kontrolowane przez FARC
   - Hobyo
6. Enklawy i nowe państwa
   - Baarle-Nassau i Baarle-Hertog

Chitmahale

Sealand

Zjednoczone Królestwo Lunda Czokwe

Gagauzja

7. Pływające wyspy

Wyspy pumeksu i śmieci

Pływające Malediwy

Nipterk P-32, wyspa z lodowej mgiełki

MS „The World”

8. Miejsca ulotne

Zatoczka przy Hog’s Back Cafe

Parking portu lotniczego Los Angeles

Nowhere

Uliczka Staceyów

Zakończenie: współczucie dla gatunku kochającego miejsca

Podziękowania

Bibliografia

Przypisy

Dla Helen i Paula

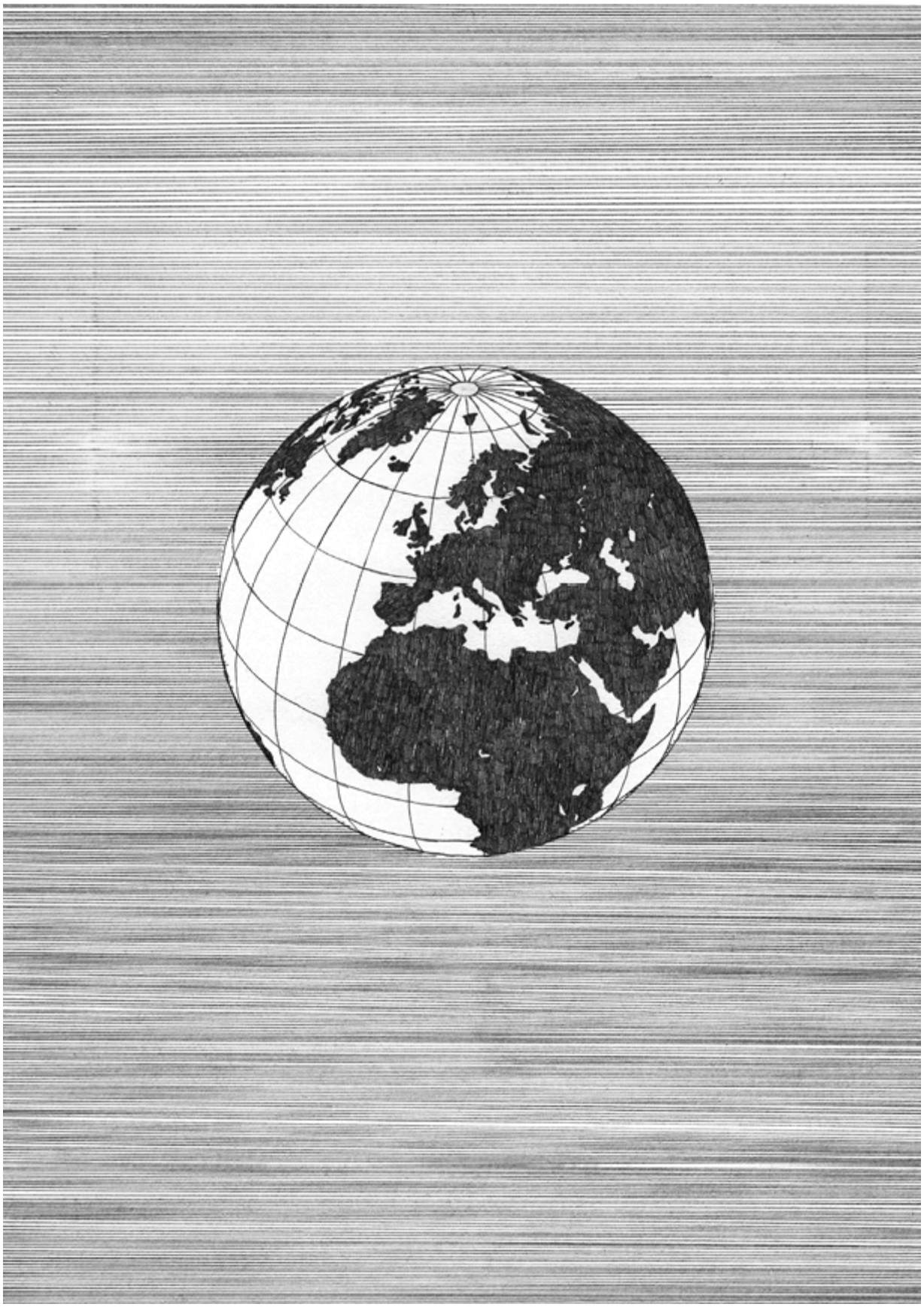

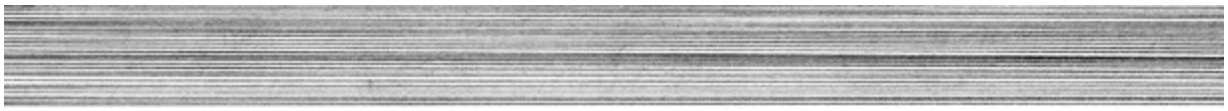

Wstęp

Nasza fascynacja niezwykłymi miejscami jest równie stara jak geografia. Napisane około 200 roku przed naszą erą dzieło Eratostenesa z Cyreny *Geographiká* zabiera czytelnika w podróż po „słynnych” miastach i „wielkich” rzekach; siedemnastotomowe dzieło *Geōgraphiká hypomnemata* Strabona, spisane w pierwszych latach naszej ery na zlecenie urzędników imperium rzymskiego, stanowi drobiazgowe kompendium ówczesnych miast i krain wartych odwiedzenia. Jeden z moich ulubionych opisów Strabona dotyczy indyjskich kopalni złota i ich korytarzy, drążonych, zdaniem autora, przez mrówki, „rozmiarami nieustępujące lisom” i mające „skórę jak lampart”. Choć przez wieki nasz apetyt na osobliwe opowieści z dalekich krain wcale nie osłabł, to jednak dziś pragniemy geograficznego zachwytu innego rodzaju.

Miejscem, w którym tkwią moje emocjonalne korzenie, jest Epping, jedna z wielu sypialni Londynu, miejscowość wprawdzie ładna i przyjemna, ale pospolita i pozbawiona własnego charakteru. Tam właśnie urodziłem się i wychowałem. Telepiąc się do domu metrem linią Central albo jadąc obwodnicą Londynu, często czułem, że w istocie przemieszczam się znikąd donikąd. Mijanie miejsc, które dawniej coś – być może bardzo wiele – znaczyły, później zaś zostały zredukowane do tymczasowej przestrzeni, którą po prostu trzeba przemierzyć, żeby dostać się z jednego punktu do drugiego, budziło we mnie niedosyt. Ciągnęło mnie do miejsc niepozbawionych znaczenia.

Wystarczy kilka kroków w betonowo-asfaltowej dżungli, by przekonać się, że przez ostatnie, powiedzmy, sto lat ludzie na całym świecie dużo lepiej opanowali sztukę niszczenia niż tworzenia miejsc. Rzut oka na tytuły kilku wydanych w ostatnich latach książek – na przykład *Real England* (Prawdziwa Anglia) Paula Kingsnortha, *The Geography of Nowhere* (Geografia nigdzie) Jamesa Kunstlera albo *Nie-miejsca* Marca Augé – pozwala wyczuć rosnący niepokój. Autorzy tych i podobnych publikacji chcą nam powiedzieć, że zastępowanie unikatowych i oryginalnych miejsc pospolitymi, nijakimi pejzażami pozbawia nas czegoś bardzo ważnego.

Jeden z najwybitniejszych filozofów miejsca, profesor Edward Casey z Uniwersytetu stanu Nowy Jork w Stony Brook, uważa, że „ekspansja nijakiej jednorodności na skalę globalną" osłabia nasze poczucie tożsamości i sprawia, że „człowiek odczuwa tęsknotę za różnorodnością". Casey krytykuje to, że przestaliśmy myśleć o miejscu. Tymczasem dla starożytnych i średniowiecznych myślicieli miało ono nierzadko kluczowe znaczenie, stanowiło podstawę i kontekst rozważań. Casey przypomina, że według Arystotelesa miejsce „winno mieć pierwszeństwo przed wszystkimi innymi rzeczami", ponieważ wprowadza ład w świecie; zauważa za Arystotelesem, że „miejsce osłania wielką tarczą to, co się w nim znajduje – zapewnia aktywną ochronę i wsparcie". Uniwersalistyczne dążenia pierwszych monoteistycznych religii, a potem również tendencje wieku oświecenia uczyniły z miejsca zaścianek, zamieniły je w nudny banał, niewytrzymujący konfrontacji z wielkimi, choć abstrakcyjnymi, wizjami globalnej jedności. Większość współczesnych intelektualistów i naukowców nie zajmuje się konkretnymi miejscami, sądzi bowiem, że ich teorie wszędzie mają takie samo zastosowanie. Miejsce zostało zdeprecjonowane i wyparte, do czego niewątpliwie przyczyniła się rosnąca popularność jego pretensjonalnego i abstrakcyjnego geograficznego rywala: idei przestrzeni. Przestrzeń – to brzmi nowocześnie, a miejsce – staroświecko; przestrzeń przywodzi na myśl swobodę poruszania się, brak ograniczeń, kusi pustymi i obiecującymi pejzażami. Reakcją współczesnego społeczeństwa na zajętość i osobliwość miejsca było porządkowanie, racjonalizowanie, szeregowanie związków pod względem ważności, usuwanie przeszkód – krótko mówiąc: zastępowanie miejsca przestrzenią.

W swojej filozoficznej opowieści *The Fate of Place* (Los miejsca) Casey zwraca uwagę na rosnące „lekceważenie dla *genius loci*, obojętność na wyjątkowość miejsca". Ze skutkami tego zjawiska żyjemy na co dzień i widzimy je, kiedy wyglądamy przez okno. W ultramobilnym świecie przywiązanie do miejsca postrzegane jest jako *passé*, może nawet jako działanie reakcyjne. W czasach, gdy miarą ludzkiego spełnienia są punkty zdobywane w programach lojalnościowych linii lotniczych, geografowie podpisują się zaś pod poglądem wyrażonym przez profesora Williama J. Mitchella z Massachusetts Institute of Technology, że „społeczności coraz częściej znajdują wspólną platformę w cyberprzestrzeni niż na *terra firma* (stały ląd)", myślenie o miejscu wydaje się aktem czystej przekory, żeby nie

powiedzieć: perwersji. Lecz bezmiejscowość nie daje ani intelektualnej, ani emocjonalnej satysfakcji. Grecki neologizm „utopia”[1], ukuty przez sir Thomasa More’a, zwanego Morusem, można przetłumaczyć jako „niemiejsce”, ale taki bezmiejscowy świat to przecież iście dystopijna wizja.

Miejsce stanowi zmienny, fundamentalny aspekt ludzkiej tożsamości. Jesteśmy gatunkiem tworzącym miejsca i kochającym je. Edward O. Wilson, znany biolog ewolucyjny, wrodzoną i z biologicznego punktu widzenia niezbędną miłość człowieka do istot żyjących określił mianem „biofilii”. Zdaniem Wilsona biofilia spaja nas jako gatunek, a także łączy nas z naturą. Istnieje niesłusznie ignorowany, choć tak samo ważny, geograficzny odpowiednik biofilii: „topofilia” – miłość do miejsca. Autorem tego terminu jest Yi-Fu Tuan, amerykański geograf chińskiego pochodzenia. Tuan wprowadził tę nazwę mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Wilson spopularyzował ideę biofilii. Rozważania nad miłością do miejsca stanowią sedno niniejszej książki.

Przez wszystkie opowieści, które snuję w tej książce, przewija się jeszcze jeden wspólny temat: potrzeba ucieczki. Dziś pragnienie to jest o wiele bardziej rozpowszechnione niż kiedykolwiek wcześniej, ponieważ nieustannie mamieni wizją rajskich wakacji i obietnicą nowego życia stajemy się, co zrozumiałe, coraz bardziej niezadowoleni z własnej codzienności. Rozwój bezmiejscowości – a także towarzyszące mu przekonanie, że cała planeta została dokładnie poznana i szczegółowo zbadana – wzmógł rozczarowanie trybem życia, pobudził apetyt na odwiedzanie miejsc znajdujących się poza utartymi szlakami, miejsc tajemniczych albo przynajmniej zaskakujących.

Opowiadając o rodzinnej wyspie Queequega, tubylczego sojusznika i przyjaciela Izmaela, Herman Melville pisze w *Moby Dicku*: „Nie znajduje się ona na żadnej mapie; prawdziwie zacne miejscowości nigdy nie są bowiem na nich umieszczane”[2]. Słowa dziwne, a mimo to natychmiast, bo instynktownie, zrozumiałe. Odnoszą się bowiem do podejrzliwości, czającej się tuż pod racjonalną powierzchnią cywilizacji. W świecie opisanym i zmierzonym wszerz i wzdłuż, pozbawionym ambiwalencji i niejasności, przejrzystym tak, że jesteśmy w stanie precyzyjnie i obiektywnie stwierdzić, gdzie co się znajduje i jak się nazywa, pojawia się narastające poczucie straty. Dążenie do kompletności sprawia, że tęsknimy za poszukiwaniem, za zgłębianiem tego, co nierozpoznane, i bez końca

rozwodzimy się nad potrzebą nowości i ucieczki. W tym kontekście nienazwane i porzucone miejsca – zarówno odległe, jak i te, które mijamy każdego dnia – zyskują romantyczną aurę. Nawet w gruntownie zbadanym świecie odkrywanie wcale się nie kończy; po prostu musi zostać wymyślone na nowo.

Na początku lat dziewięćdziesiątych zainteresowałem się psychogeografią, jednym z najbardziej ekscentrycznych wcieleń wskrzeszonej idei odkrywania. Moja działalność polegała głównie na poszukiwaniu czegoś, co moi towarzysze naiwnie wyobrażali sobie jako swego rodzaju tajemną moc, albo na celowym gubieniu się w taki sposób, że do poruszania się po danym miejscu używałem mapy opisującej zupełnie inną lokalizację. Paradowanie po terenie ośrodka dziennego pobytu w Gateshead z mapą berlińskiego metra w ręku to naprawdę osobliwie dezorientujące przeżycie. Uważaliśmy się za szalenie odważnych, ale kiedy myślę o tym z perspektywy czasu, to pragnienie radykalnego odnalezienia na nowo otoczenia wydaje mi się banalne. Potrzeba ponownego zachwytu nad miejscem, oczarowania nim, jest wspólna wszystkim ludziom.

Zatem wybierzmy się w podróż na koniec świata albo na drugą stronę ulicy, po prostu na tyle daleko, abyśmy zdołali oderwać się od tego, co dobrze znane i rutynowe. Mogą to być miejsca dobre albo złe, przerażające albo cudowne – ważne, żeby były niepokorne i nieoczywiste. Jeśli ich nie znajdziemy, stworzymy je. Naszej topofilii nie sposób ugasić ani zaspokoić.

Wypływamy na nieznane wody, wyruszamy do miejsc rzadko nanoszonych na mapy, czasem wręcz w ogóle na nich nieuwzględnianych. Miejsca te są wyjątkowe i prawdziwe. *Poza mapą* jest książką o pływających wyspach, wymarłych miastach i ukrytych królestwach. Rozpoczynamy od zaginionych, odnalezionych przypadkowo albo w ogóle nieodkrytych miejsc, by następnie przenieść się do tych ukształtowanych w sposób bardziej świadomy. Nie będzie to podróż zawsze lekka, łatwa i przyjemna, albowiem miejsca, które odwiedzimy, pełne są paradoksów i nie dają się prosto zdefiniować. Otworzą przed nami swój zdumiewająco bogaty świat, niemający, jak się prędko okaże, wiele wspólnego z planetą oglądaną przez różowe okulary. Głodu topofilii nie zaspokoi dieta z tonących w słońcu rajskich wiosek. Najbardziej fascynujące miejsca to nierzadko te najbardziej niepokojące, przerażające i prowokujące. A także najbardziej ulotne. Za dziesięć lat większość miejsc, które odwiedzimy,

będzie wyglądała zupełnie inaczej, niektóre pewnie w ogóle przestaną istnieć. Ale tak jak nasza biofilia nie słabnie, mimo iż wiemy, że natura bywa okrutna i straszna, a wszelkie życie prędzej czy później przemija, tak prawdziwa topofilia wie, że nasz związek z miejscem nie przypomina geograficznego odpowiednika miłości do słodkich kotków i szczeniaczków. Topofilia to szalone i głębokie uczucie, mroczna fascynacja, i jako takie wymaga uwagi i zaangażowania.

Wybrałem czterdzieści siedem lokalizacji, z których każda na swój sposób zmusiła mnie do przewartościowania poglądów na temat istoty miejsca. Nie zdecydowałem się na nie tylko dlatego, że są dziwne albo robią wrażenie, lecz przede wszystkim z tej przyczyny, iż prowokują i dezorientują. Wszystkie, od tych najbardziej egzotycznych i spektakularnych, po najskromniejsze zakątki mojego rodzinnego miasta, w równym stopniu potrafią stymulować i kształtować naszą wyobraźnię geograficzną. Razem tworzą obraz świata jako miejsca, którego tajemnice – tak dalsze, jak i zupełnie nam bliskie – wciąż możemy odkrywać.

Wszędzie tam, gdzie to możliwe, podaję przybliżoną lokalizację miejsca, posługując się współrzędnymi z Google Earth. Dane te mają wprawdzie jednolity charakter, nie są jednak stuprocentowo dokładne, między innymi dlatego, że współrzędne mogą się zmieniać po każdej aktualizacji Google Earth. Przy miejscach historycznych i ruchomych nie podaję współrzędnych.

1. Utracone miejsca

Wyspa Sandy

19° 12’ 44” S; 159° 56’ 21” E

Ludzka tożsamość wiąże się ściśle z miejscem. Dlatego te miejsca, które przemijają albo pojawiają się i znikają, budzą w nas niepokój. Utracone miejsca dają do zrozumienia, że istnieją tajemne historie i alternatywne wizje przyszłości. Jedne celowo się przemilcza (patrz: *Leningrad*, *Stara Mekka*), drugie przestały być użytkowane i powoli odeszły w zapomnienie, zarastając zielskiem (*Arne*, *Time Landscape*), inne zaś pojawiły się ponownie, radykalnie odmienione (*New Moore*, *Pustynia Aral-kum*). A niektóre, takie jak wyspa Sandy, utraciliśmy, ponieważ nigdy nie istniały.

Odkrywanie nieistniejących miejsc to intrygujący wątek poboczny historii eksploracji naszej planety. Najnowszy przykład takiego zdarzenia pochodzi z 2012 roku. Australijski statek badawczy wypłynął na ocean, żeby zweryfikować informacje na temat wyspy Sandy, według map znajdującej się około tysiąca stu kilometrów na wschód od wybrzeży stanu Queensland. Naukowcy odkryli, że wyspa nie istnieje, mimo iż właściwie od samego początku, od kiedy zaczęto sporządzać mapy tego obszaru, nanoszono na nie wydłużony, owalny kawałek lądu o długości dwudziestu czterech i szerokości około pięciu kilometrów.

Grzywacze i piaszczyste wysepki w tym miejscu jako pierwsza zauważyła załoga statku wielorybniczego „Velocity” w 1876 roku. Kilka lat później wyspa Sandy (piaszczysta) trafiła do australijskiego atlasu morskiego, a w 1908 roku Admiralicja Brytyjska uwzględniła ją na swoich mapach tego obszaru, tym samym legitymizując jej istnienie, aczkolwiek należy nadmienić, że wyspę obwiedziono linią przerywaną, oznaczając ją jako potencjalne zagrożenie i zalecając dokładniejsze zbadanie. Cztery lata wcześniej, w 1904 roku, „New York Times” opisał wyprawę krążownika USS „Tacoma”, wysłanego w celu zweryfikowania istnienia „setek złudzeń morskich, naniesionych na mapy jako ląd” w rejonie tak zwanego American Group, skupiska wysepek, rzekomo znajdującego się w połowie drogi

między kontynentalnymi Stanami Zjednoczonymi a Hawajami. Ich istnieniu nadała wagę relacja kapitana Johna DeGreavesa, „doradcy naukowego” hawajskiego króla Kamehamehy I, z której wynika, jakoby urządził sobie piknik na jednej z wysepek, mając za towarzyszkę Lolę Montez, słynną „hiszpańską tancerkę”, metresę króla Ludwika I Wittelsbacha.

Niestety, zarówno wyspy, jak i piknik okazały się pobożnymi życzeniami kapitana. Autor artykułu w „New York Timesie” wyjaśnił, dlaczego, pomijając oczywiste bujdy, na mapach oceanów wciąż roi się od kartograficznych omyłek. „Długie i ciemne albo jasne i żółtawe plamy kojarzą się marynarzowi z ławicą”, „prąd odpływowy bierze się za grzywacze”, a czasem wystarczy nawet grzbiet wieloryba, by narodził się nowy mit. Na odludnym oceanie, tłumaczy „New York Times”, gdzie informacja jest na wagę złota i rzadko nadarza się okazja, by jednoznacznie przyjąć lub odrzucić odkrycie, nawet najbardziej niepozorny i niepewny ląd „przetrwa na mapie, opatrzony kłopotliwą adnotacją »ED«, oznaczającą, iż jego istnienie jest wątpliwe”.

Żeglarze z nadzieją patrzą w morze i wypatrują lądu, toteż chwytają się wszystkiego, co wydaje się jego obietnicą. W istnienie wyspy Sandy nie wątpiono, wszak dokumenty potwierdzające to były niepodważalne: instytucja ciesząca się dużym autorytetem naniosła wyspę na swoją mapę, poświadczając jej prawdziwość – i tak Sandy przetrwała do XXI wieku. Figurowała na mapach wydawanych przez National Geographic Society i „The Timesa” i nikt się nie skarżył, nikt niczego nie zauważył. Mało tego, wyspa Sandy została ponoć sfotografowana przez satelity, będące, jak się wielu wydaje, jedynym źródłem danych do programu Google Earth. Doktor Maria Seton, kierowniczka australijskiej wyprawy badawczej, która potwierdziła nieistnienie wyspy Sandy, wyjaśniła dziennikarzom, że mimo iż wyspa widnieje na mapach Google Earth i innych, to jednak mapy nawigacyjne pokazują, że w tym miejscu głębokość oceanu wynosi tysiąc czterysta metrów. „Popłynęliśmy, żeby to sprawdzić, i okazało się, że nie ma żadnej wyspy. Byliśmy mocno zdziwieni”.

Dwudziestego szóstego listopada 2012 roku programiści Google Earth zaczernili wyspę Sandy, po czym miejsce po nieistniejącym lądzie załatali standardową fotografią morza; dziś tam, gdzie do niedawna znajdowała się Sandy, można znaleźć dziesiątki zdjęć przesłanych przez szperaczy map,

którzy nie potrafili się oprzeć pokusie twórczego wykorzystania omyłki i upstrzyli byłą wyspę obrazkami walk dinozaurów, nastrojowych zaułków miejskich i bajkowych świątyń.

Historia zniknięcia wyspy Sandy odbiła się echem – jednak nieprzesadnie głośnym – w mediach na całym świecie. Skoro Sandy nie istnieje, to czy możemy mieć pewność co do innych miejsc? Nieoczekiwane wymazanie wyspy z atlasów uzmysłowiło nam, że tworząc własny obraz świata, czasem musimy polegać na niezweryfikowanych doniesieniach z odległych miejsc. Autorzy współczesnych map przekonują, że dają nam dostęp do szczegółowego, uniwersalnego obrazu świata – że pozwalają spojrzeć na Ziemię z „perspektywy Boga". Okazuje się jednak, że programy takie jak Google Earth nie tylko wykorzystują zdjęcia satelitarne, lecz także polegają na mieszanych źródłach, w tym również na starych i nieaktualnych mapach.

Przed 2012 rokiem niektórzy wiedzieli już, że Sandy ani nie jest piaszczysta, ani w ogóle nie jest wyspą. Leżała na wodach opływających Nową Kaledonię, francuskie terytorium zamorskie o statusie wspólnoty „szczególnego rodzaju" (*sui generis*). Kilka dekad wcześniej Francuzi po cichu usunęli Île de Sable, jak ją nazywają, ze swoich atlasów, nie znajdziemy jej też na mapach przygotowanych w 1982 roku na potrzeby francuskiego Biura Hydrograficznego. Próżno szukać wyspy Sandy również na wydanej w 1967 roku radzieckiej mapie tego obszaru. Autorzy tych opracowań korzystali z różnych źródeł, to jasne, co jednak nie oznacza, że Francuzi i Sowieci przez cały ten czas zawsze byli lepiej poinformowani niż reszta świata; na mapie Michelina z 2010 roku Île de Sable jak najbardziej widnieje. Informacja o nieistnieniu wyspy okazała się dla francuskiej opinii publicznej równie dużym zaskoczeniem, jak dla reszty świata. Trzeciego grudnia 2012 roku, po odkryciu przez australijską ekspedycję nieistnienia wyspy Sandy, dziennik „Le Figaro" ogłosił: *Le mystère de l'île fantôme est résolu* (Tajemnica wyspy widmo rozwiązana).

W tej historii nie chodzi wyłącznie o sprawy techniczne, o rozbieżności w danych geograficznych. Dlaczego miałoby mieć dla nas jakiekolwiek znaczenie to, że jakiś piaszczysty pas lądu tysiące kilometrów stąd, w miejscu, o którym mało kto słyszał, jednak nie istnieje?

Otóż ma znaczenie, ponieważ dziś, mimo iż żyjemy w przekonaniu, że świat został gruntownie poznany i prześwietlony, potrzebujemy także

miejsc pozwalających myślom błądzić bez przeszkód. Ukryte i wyjątkowe miejsca to oazy geograficznej wyobraźni, szańce dające schronienie i obronę przed niemal wszechwidzącym okiem kartografa, przez ostatnie dwieście lat wyostrzonym do perfekcji. Uwzględnienie wyspy Sandy na mapie Admiralicji w 1908 roku było omyłką wynikającą z niestaranności, wcale nie typową dla tamtych czasów. Potęgi morskie XIX i pierwszych lat XX wieku dalekie były od zaśmiecania oceanów bajkowymi wysepkami, przeciwnie: żeglarze z uporem tropili domniemane lądy i potwierdzali bądź dementowali doniesienia o istnieniu takiej czy innej wyspy. Taka polityka doprowadziła w 1875 roku do usunięcia z map Pacyfiku stu dwudziestu trzech nieistniejących wysp. Pokłosiem artykułu opublikowanego w 1904 roku przez „New York Timesa" było potwierdzenie nieistnienia wysp Royal Company's, leżących rzekomo na południe od Tasmanii. Usunięto je z atlasów po uprzednim wysłaniu w to miejsce statku. Amerykańskie jednostki ciągnęły kartografię ku nowoczesności: eliminowały wątpliwości, poszerzały „boską" perspektywę, ale przecież efektami współczesności są również zwątpienie, stawianie pytań o samego siebie, świadomość i zrozumienie faktu, że stając się ludźmi nowoczesnymi, tracimy coś bezpowrotnie. Jak pokazują fantastyczne, zaskakujące obrazki, które dziś możemy znaleźć w Google Earth tam, gdzie jeszcze niedawno znajdowała się Sandy, zniknięcie tego kawałka lądu zamieniło go w bazę partyzantów wyobraźni, niewinnych i idących pod prąd, którym udało się przechytrzyć narzędzia wszechwiedzy.

Historia wyspy Sandy nasuwa myśl, że istnieje potrzeba badania nieodkrytych wysp, miejsc uważanych za prawdziwe i zdemaskowanych jako nieistniejące. Okazuje się jednak, że temat ma wielu wielbicieli. Lektura książek sprzed lat, takich jak *Legendary Islands of the Atlantic* (Legendarne wyspy Atlantyku) Williama Babcocka z 1922 roku, jak i nowszych opracowań, na przykład *Lost Islands: The Story of Islands That Have Vanished from Nautical Charts* (Zagubione wyspy: historia wysp, które zniknęły z map morskich) oceanografa Henry'ego Stommela z 1984 roku albo *Vanished Islands and Hidden Continents of the Pacific* (Pacyfik: ukryte kontynenty i wyspy, które zniknęły) Patricka Nunna z 2008 roku, owocuje długą listą nieistniejących wysp. Jedne książki skupiają się na błędach żeglarzy – których ci, jak się okazuje, robili mnóstwo – inne, tak jak dzieło Nunna, łączą barwność legend z precyzją nauki. Nunna interesuje

to, jak tubylcze opowieści o zaginionych wyspach, powszechne wśród plemion zamieszkujących wyspy Pacyfiku, mają się do historii naturalnej danego obszaru. Okazuje się, że zagadkę „legendarnych wysp” nierzadko da się wyjaśnić wahaniami poziomu morza i aktywnością sejsmiczną. Dawne zmiany topograficzne znajdują odzwierciedlenie w miejscowych podaniach i tradycjach. Podobne związki odkryto również w innych częściach świata, czego jednym z najbardziej znanych przykładów jest legenda o Atlantydzie.

Zainteresowanie miejscami-zjawami, takimi jak wyspa Sandy, wciąż rośnie, między innymi dlatego, że niewiele ich już zostało i prawdopodobieństwo odkrycia kolejnej wyspy wielkości Sandy jest małe. Istnieje jednak mnóstwo innych zmiennych i potencjalnie wątpliwych zjawisk – na przykład rzeczy z pozoru pewne, jak kształty gór i rzek, przebieg granic państwowych – które nadal będą burzyły nasz geograficzny spokój. Prawda wygląda bowiem tak, że pragniemy świata nie do końca poznanego i potrafiącego zaskakiwać. Udoskonalanie źródeł wiedzy i dążenie do kompletności napędzają potrzebę tworzenia i wymyślania miejsc położonych, wręcz wyzywająco, poza wszelkimi utartymi szlakami.

Leningrad

W 1914 roku niemieckobrzmiącą nazwę „Petersburg” zmieniono na przyjemniej brzmiący dla rosyjskich uszu „Piotrogród”, by dziesięć lat później przemianować go na „Leningrad”. Zmiany te nie wymazały dawnego Petersburga. Urodzony tam poeta Josif Brodski twierdził, że dla niego Petersburg zawsze pozostanie po prostu Petersburgiem. W szkicu *Przewodnik po przemianowanym mieście* z 1979 roku napisał, że pomimo zawirowań z nazwą mieszkańcy miasta nadal nazywali je „Piterem” i że „tchnienie Piotra Wielkiego wciąż jeszcze bardziej daje się tu odczuć niż zapaszek epok późniejszych”[3]. Dwanaście lat później, w 1991 roku, powrócono do dawnej nazwy. Leningrad zniknął z mapy, to prawda, ale nie z ludzkiej pamięci.

W alegorycznej powieści *Miasto i miasto* Chiny Miéville’a o dwóch wrogo do siebie nastawionych, zajmujących dosłownie tę samą przestrzeń miastach mieszkańcy jednego z nich zachowują kulturową czystość, „nie

widząc” drugiego *polis* i jego obywateli. Mimo to pokusa, by skierować na nich wzrok, jest silna, nie daje spokoju, ciąży na każdym kroku. Podobnie dzieje się z miejscami, które zastąpiono nowymi lub przemianowano: stają się zarazem przerażające i kuszące. Zaskakuje to, że wciąż nie nauczyliśmy się traktować tego rodzaju zmian z obojętnością. Weźmy na przykład bułgarskie miasto Płowdiw: w ciągu dwóch tysięcy lat swojego istnienia aż dwanaście razy zmieniało nazwę. W dwudziestym stuleciu przemianowywanie miejsc stało się swoistym talizmanem postępu. Nadawano nowe nazwy wszystkiemu, od wiosek po kraje; czyn ten, z pozoru prosty i niewinny, miał zaś przemożny wpływ na mieszkańców, nierzadko bowiem staremu miejscu narzucał nową tożsamość etnonarodową. Kiedy w 1923 roku na gruzach imperium osmańskiego powstała Turcja, a w 1949 roku Syjam stał się Tajlandią, kraje o wieloetnicznej strukturze zamieniły się w państwa etnicznie jednorodne. Praktycznie z dnia na dzień obywatele niebędący odpowiednio Turkami albo Tajami stracili ojczyznę; stali się anomalią we własnym kraju i znaleźli się na bardzo niepewnej pozycji.

Tureccy i tajscy nacjonaliści twierdzili, że przyszedł czas na zmiany i kraj należało przemianować – tureccy: ponieważ imperium osmańskie w praktyce przestało istnieć, tajscy: ponieważ nazwa „Syjam” nie była rdzennie tajska, pochodziła z sanskrytu. Etniczni Turkowie i Tajowie nie czuli sentymentu do dawnych etykiet, po części dlatego, że wyszli obronną ręką z procesu indygenizacji[4]. Rzadko się jednak zdarza, żeby coś było proste. Kiedy w 1930 roku Smyrna oficjalnie zmieniła nazwę na İzmir, usunięto jej greckich mieszkańców, po czym miasto odrodziło się jako czysto tureckie. Podział Prus Wschodnich w 1945 roku i rozdysponowanie ich terytorium pomiędzy Polskę (ówczesne województwo olsztyńskie) a Związek Radziecki (obwód kaliningradzki, dziś rosyjska eksklawa) miały charakter zemsty i były w istocie czystką etniczną. Niemcy, którzy od wieków stanowili zdecydowaną większość w tym wschodnim pruskim bastionie, w ciągu kilku lat całkowicie opuścili te tereny: uciekli na Zachód przed Armią Czerwoną albo wyjechali wypędzeni dekretem Stalina. To wszakże, co Max Egremont nazywa „szeptaną przeszłością” Prus, wciąż daje o sobie znać: od czasu do czasu odkurza się pomysł powrotu Kaliningradu, stolicy rosyjskiego obwodu, do dawnej niemieckiej nazwy

„Königsberg”, kojarzącej się nie z sowieckimi sołdatami, lecz z filozofami, klasztorami i zamkami – i zaraz znów się o nim zapomina.

Mimo iż komunistyczna przeszłość Petersburga została napiętnowana, wspomnienie dawnych czasów nie chce przeminąć, wiąże się bowiem z czymś niezwykle istotnym: z codziennymi zmaganiami, z niezwykłymi ludzkimi dramatami. Historia Petersburga blednie w porównaniu z dziejami Leningradu. Petersburg został założony przez cara Piotra I Wielkiego na początku XVIII wieku. Nowemu grodowi nad Morzem Bałtyckim nadano brzmiącą z niderlandzka nazwę „Sankt-Pietierbu̯rg”. Miasto spoglądało ku Europie, przyszłości i wysokiej kulturze – i odwracało się plecami do Rosji i jej flegmatycznego chłopstwa. Urodzony w Leningradzie powieściopisarz Michaił Kurajew, w proteście przeciwko wypieraniu swojego miasta przez starszego – dla niego obcego – rywala, napisał w artykule dla jednego z rosyjskich magazynów literackich: „Trzysta lat temu nazwa »Sankt-Pietierbu̯rg« brzmiała dla Rosjan tak samo obco, jak dziś brzmią dla nich »Tampax«, »Snickers«, »Bounty« albo »marketing«”. Kurajew uważa dzisiejszy Petersburg za „wewnętrznego migranta we własnej ojczyźnie”, za to Leningrad za autentycznie rosyjski.

Skąpany w patriotycznej i rewolucyjnej krwi Leningrad na pewno zasługuje na poczesne miejsce w historii Rosji. W czasie drugiej wojny światowej miasto wytrzymało dziewięćset dni blokady – zostało obronione przez głodujące wojsko i ludność cywilną, a następnie pieczołowicie odbudowane – za co otrzymało od Stalina tytuł „miasta-bohatera Związku Radzieckiego”. Nawet prowadzący oblężenie hitlerowcy byli pod ważeniem zaciętości i determinacji mieszkańców Leningradu. W czasach Związku Radzieckiego miasto, kojarzące się z ruchem rewolucyjnym, stanowiło również ośrodek myśli alternatywnej. W wyniku tak zwanej sprawy leningradzkiej, na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych, będącej próbą zduszenia przez Moskwę nastrojów antystalinowskich, przeprowadzono czystkę wśród lokalnych działaczy: wielu zostało powieszonych albo skazanych na zsyłkę.

Nie powinno zatem dziwić, że urodzona właśnie w Leningradzie rosyjska emigrantka Swietłana Bojm, związana z Uniwersytetem Harvarda, uchodzi za specjalistkę od nostalgii. W swojej książce *The Future of Nostalgia* (Przyszłość nostalgii) maluje barwny, a także pełen zrozumienia portret dwóch miast, opisuje liczne płaszczyzny, na których „Leningrad

i Petersburg nieustanie ze sobą rywalizują”. Bojm czuje szczególne powinowactwo z alternatywną stroną Leningradu, odnajduje aurę bohemy w kafejkach i sugeruje, że Leningrad nadal żyje, że funkcjonuje jako swego rodzaju miasto równoległe, mające „możliwości, które jeszcze nie w pełni zostały wykorzystane”. Bojm odnosi się pozytywnie do zagłuszanych wspomnień, przedstawia je jako istotny wkład w budowę bardziej liberalnego miasta.

Myślę jednak, że przekształcanie starego, zawłaszczonego miasta w zaledwie alternatywny podtekst rywalizującego z nim nowego organizmu miejskiego to po prostu kolejna forma zapominania. W Petersburgu żyje mnóstwo ludzi, których smutek po śmierci Leningradu ma niewiele wspólnego z mniejszościową tożsamością polityczną. Ludzie ci odczuwają brak ładu, poczucia bezpieczeństwa społecznego, szacunku dla starszych, wolniejszego tempa życia, godności i męstwa. Tym, co nadal utrzymuje Leningrad przy życiu, może być również kumulacja przywiązania, bo przecież dawna nazwa obowiązywała aż przez sześćdziesiąt siedem lat, zanim w 1991 roku wskrzeszono „Petersburg”.

Marzenia przesiadującej w kawiarniach cyganerii nie spełniły się – Leningrad nigdy nie stał się miastem nonkonformistów, był miejscem, w którym powoli mijały zwykłe lata, ale też dokonywały się wielkie ofiary. W porównaniu z nim Petersburg przypomina, jak to ujął urodzony w Leningradzie poeta Aleksandr Skidan, jedną wielką „muzeifikację pod gołym niebem”. Pozbywając się starej nazwy, oddano sprawiedliwość ofiarom komunizmu, jednocześnie, tym samym gestem, wymazując te ofiary, a z nimi niezliczone prozaiczne wspomnienia zwykłych ludzi.

Leningrad wciąż istnieje. To tam, na placu Lenina, stoi pierwszy na świecie pomnik tego przywódcy; kilka lat temu wandale podłożyli ładunek wybuchowy pod statuę i zrobili wielką dziurę w Leninowskim tyłku. W 2010 roku kolejna eksplozja niemal rozpołowiła inny posąg Lenina, również znajdujący się w Petersburgu. Po tych wydarzeniach oba pomniki można było usunąć, ale zamiast tego naprawiono je i pozostawiono na miejscu. Mieszkańcy miasta wiedzą swoje: Petersburg to Leningrad, jeden z drugim muszą jakoś żyć. Leningrad nie potrzebuje miłości ani nawet szacunku – on pragnie akceptacji. Tak jak w przypadku wielu innych przemianowanych miejsc, poprzednie wcielenie miasta wydaje się kłopotliwsze, ale też ciekawsze, czasem nawet żywsze niż obecne.

Arne

50° 41’ 39” N; 2° 02’ 29” W

Arne jest przykładem miasta złożonego w ofierze. Tę leżącą na niewielkim, oblewanym przez wody kanału La Manche półwyspie wieś ewakuowano w 1942 roku. Blisko niej wybudowano fałszywą fabrykę – cel pozorowany dla niemieckich bombowców. Miał on wywieść w pole nazistowskich pilotów i odwrócić ich uwagę od znajdującego się kilka kilometrów na północ Holton Heath i zlokalizowanej tam, a należącej do Królewskiej Marynarki Wojennej, wytwórni kordytu[5].

Mylenie załóg niemieckich bombowców wymagało skomplikowanych działań. W czasie drugiej wojny światowej w całej Anglii stworzono wiele celów pozorowanych, nierzadko dużo bardziej rozbudowanych niż fabryka w Arne. Po nalocie na Coventry w listopadzie 1940 roku podjęto pracę nad systemem opatrzonych kryptonimem „Rozgwiazda” celów pozorowanych dla niemieckich pilotów. Były to potężne, wznoszone niedaleko rozległych obszarów miejskich konstrukcje, tworzące złudzenie płonącego miasta. Do stycznia 1943 roku wybudowano ponad dwieście „Rozgwiazd”. Z początku do budowy tego rodzaju celów pozorowanych wykorzystywano różne, czasem dość przypadkowe, materiały wybuchowe, ale z czasem „Rozgwiazdy” stawały się coraz bardziej wyrafinowane. Używano na przykład konstrukcji ze stalowych zbiorników, rowów i rur, które w stałych odstępach czasu zalewano bądź spryskiwano paliwem. Z poziomu bunkra dowodzenia dyrygowano całą tą pirotechniczną orkiestrą, której najgłośniejszym instrumentem był tak zwany kocioł: system okresowo uwalniał olej ze zbiornika na rozgrzaną stalową płytę; kiedy olej stopniowo wyparowywał, polewano płytę wodą, uzyskując silne rozbłyski i rozżarzone do białości płomienie, które strzelały na wysokość nawet dwunastu metrów. Na typową „Rozgwiazdę” składało się do czternastu kotłów, potrafiących w ciągu czterech godzin przerobić dwadzieścia pięć ton paliwa.

Operacja „Rozgwiazda” zakończyła się wielkim sukcesem, do czerwca 1944 roku lotnictwo niemieckie siedemset trzydzieści razy zaatakowało cele pozorowane. Brytyjskie miasta wprawdzie nie uniknęły bombardowań, ale to, że nie zostały starte z powierzchni ziemi, w dużej mierze zawdzięczają celom-pułapkom, które ściągając na siebie wrogie pociski

i bomby zapalające, ocaliły życie tysiącom ludzi. Do dziś przetrwało tylko kilka bunkrów dowodzenia, same zaś „Rozgwiazdy” zniknęły, stopiły się z otoczeniem.

Cel pozorowany w Arne składał się z systemu beczek ze smołą, połączonych rurami, przez które płynęła nafta. Beczki można było podpalać i tworzyć wrażenie płonącego miasta. Metoda sprawdziła się doskonale: na fałszywą fabrykę w Arne spadły setki bomb, podczas gdy pobliski zakład w Holton Heath wyszedł z nalotów niemal bez szwanku.

Dziś Arne to spokojne i piękne miejsce. Po wojnie wieś całkowicie opustoszała; porzucona i zrujnowana przetrwała do końca lat pięćdziesiątych. W 1966 roku Królewskie Towarzystwo Ochrony Ptaków przejęło teren i odremontowało nieliczne budynki, które oparły się wojennej zawierusze, w tym trzynastowieczny kościół i wiktoriańską szkołę. Opuszczona wioska stała się atrakcją rezerwatu przyrody, obecnie obejmującego większą część półwyspu. Leje po bombach są dziś schronieniem dla zwierząt, a stanowiska ogniowe porasta bujna roślinność. Na parkingach przed wjazdami do rezerwatu tłoczą się ubrani na zielono i uzbrojeni w statywy obserwatorzy ptaków, gotowi do „polowania” na miejscowe rzadkie gatunki, takie jak maleńka pokrzewka kasztanowata.

Natura połknęła wojskową infrastrukturę, ale jej nie przetrawiła. Świadomość tego, że pod tym pięknym, sielskim krajobrazem kryje się gruba warstwa zrytej bombami ziemi, niepokoi. Charakterystyczne dla Arne piaszczyste, kwieciste wrzosowisko podlega „konserwacji” i „ochronie”, co nie zmienia faktu, że czuć tam atmosferę porzucenia, burzącą spokój i poczucie bezpieczeństwa wprowadzane przez ekologiczne hasła. Nowe skojarzenia z tym miejscem przysłoniły wspomnienia rozpaczy, gwałtowności i straty, ale sprawiły również, że współczesne Arne to miejsce wrażliwe i ulotne.

Arne jest jedną z dwustu pięćdziesięciu opuszczonych wiosek w Dorset. Niektóre z nich to tylko średniowieczne guzy na ciele hrabstwa, ale inne są bardziej współczesnymi osadami. Najbardziej znanym dwudziestowiecznym przykładem takiej miejscowości jest Tyneham, położona niedaleko Arne nadmorska wieś, którą w 1943 roku ewakuowano i wraz z przylegającym do niej pasem wybrzeża zamieniono na poligon; okolica przypominała wybrzeże Normandii i z tego powodu posłużyła jednostkom przygotowującym się do inwazji w lipcu 1944 roku jako pole

ćwiczebne. Jeden z wyjeżdżających z Tyneham mieszkańców przymocował do drzwi tamtejszego kościoła kartkę z następującymi słowami: „Opuszczamy domy, w których niektórzy z nas mieszkali od pokoleń. Robimy to, aby wspomóc czyn wojenny i walkę o wolność. Kiedyś tu wrócimy. Z góry dziękujemy za okazanie łaskawości naszej wiosce”. Mieszkańcy nigdy nie wrócili w rodzinne strony. Dziś Tyneham jest skupiskiem zrujnowanych kamiennych domostw, które jako nieliczne uchowały się na poligonie, i pozostaje pod nadzorem armii, tak jak cały ten zakątek Dorset.

W ekspertyzie zespołu archeologów czytamy, że „infrastruktura celów pozorowanych w Arne nie przetrwała”, one same zaś zostały „przeznaczone do użytku rolnego”. Przez kilkanaście godzin przeczesywałem teren – dziś to trochę pole, trochę las i gęste trzcinowisko – na którym ponoć miała się znajdować fałszywa fabryka, ale niewiele znalazłem, a raczej niewiele zrozumiałem z tego, co udało mi się znaleźć: kilka wielkich lejów po bombach, dwie zardzewiałe, wyrwane z zawiasów i oplecione powojem bramy, do tego parę wysokich drewnianych palików, mnóstwo spróchniałych, omszałych desek i mdląco pomarańczowych, zgniłych liści. Nie jestem pewien, czego oczekiwałem po swojej amatorskiej wyprawie – czy naprawdę sądziłem, że znajdę coś ciekawego w miejscu, które archeolodzy gruntownie przetrząsnęli i spisali na straty? Chyba pociągała mnie myśl, że coś, co płonęło tak jaskrawym i groźnym ogniem, musiało pozostawić po sobie więcej niż tylko smolistą plamę. Odnalazłem jedynie niepewny, milczący ślad. Spłoszyłem jelenia, pognał na pobliskie bagna. Widać, że nikt od dawna nie odwiedzał tych okolic. Arne, świadek zapomnianego dramatu, jest miejscem pogrążonym w osobliwym bezruchu. Przeszłość wioski: ewakuacja, bomby, ogień, podszywają panującą tu ciszę niepokojem. Wyszedłem z lasu i ruszyłem ścieżką na grobli przez trzcinowiska. Dotarłem do niewielkiej, kamienistej wysepki porośniętej kolcolistami. Był ciepły, słoneczny dzień, mogłem położyć się i wsłuchać w pieśń ptaków, lecz nie zrobiłem tego, bo wizyta w Arne wprowadziła chaos i nerwowość do mojego serca.

Stara Mekka

W ciągu ostatnich dwudziestu lat wyburzono dziewięćdziesiąt pięć procent dawnej Mekki. Przebudowano miasto, wyposażono je w szerokie arterie, parkingi, hotele i galerie handlowe; zmodyfikowano nawet jego nazwę – dziś Saudyjczycy wolą mówić „Makka”.

Nad dachami świętego miasta islamu góruje potężna sylwetka hotelu Makkah Clock Tower, gigantycznego Big Bena o socrealistycznym sznycie, przy którym bledną zarówno świątynia Al-Kaba, jak i Al-Masdżid al-Haram, Święty Meczet. Informacja na stronie internetowej hotelu, zapewne niechcący, uwydatnia niewinną głupotę bluźnierczej wielkości budynku: „Hotel Makkah Clock Tower sieci Fairmont, którego wyjątkowy zegar widać z odległości siedemnastu kilometrów, skromnie i godnie wyróżnia się jako druga co do świetności budowla Makki”.

Siłą napędową mekkańskiego boomu budowlanego była potrzeba zapewnienia zakwaterowania ponad trzem milionom pielgrzymów, którzy każdego roku odwiedzają święte miasto – ale swoje dołożył również twardy saudyjski ikonoklazm[6]. Islam od wieków zabraniał tworzenia wyobrażeń ludzi i zwierząt, ale saudyjscy purytanie zwarli szeregi z deweloperami i przeforsowali jeszcze surowszą doktrynę, która zakazem obejmuje również budynki i monumenty.

Niszczenie śladów przeszłości pozbawia świat czegoś więcej niż tylko rzadkich i pięknych krajobrazów, o czym przekonało się i nadal przekonuje wiele miast. Wyburzając stare obiekty, wymazujemy wspomnienia, opowieści i więzi – wszystko to, co zbliża do siebie członków społeczności i pozwala przetrwać jednostkom. Przeistaczanie złożonych, różnorodnych miejsc w proste i nijakie prowadzi do tworzenia osłabionej kulturowo populacji, niezakorzenionej ludzkiej masy, której jedynym spoiwem jest narzucana odgórnie ideologia.

Zależność tę doskonale rozumiały reżimy komunistyczne, które w przeszłości prowadziły wyburzanie na wielką skalę. W *The Destruction of Memory* (Zagłada pamięci), książce zawierającej wnikliwą analizę polityki przebudowy miejskiego krajobrazu, Robert Bevan opisuje niemal fetyszystyczne pragnienie burzenia, które towarzyszyło zaprowadzaniu i utrwalaniu władzy komunistycznej. Bevan wyjaśnia, że doradcom Mao Zedonga nie udało się przekonać przewodniczącego, że „nowy Pekin

powinien powstać w sąsiedztwie starej, świętej stolicy”, i dodaje, że zgodnie z wizją Mao proces podporządkowywania ludu wymagał uśmiercenia starego miasta. „Wymazywanie przeszłości miało równie duże znaczenie, jak szkicowanie nowego oblicza stolicy”.

Purytańskie ideologie, polityczne czy religijne, postrzegają przeszłość jako element niezdyscyplinowany i wywrotowy. Na dawnych fotografiach Mekki widzimy miasto-labirynt: posadowione na niskich wzgórzach pałace, dziedzińce, meczety i uliczki; widzimy następowanie epok historycznych i gromadzenie wpływów. Niewiele z tego przetrwało: tylko to, co miało naprawdę dużo szczęścia albo co uznano jednak za zbyt znaczące i rzucające się w oczy, by zburzyć to lekką ręką. Próbowano podnieść ją nawet na Święty Meczet, najważniejszą taką budowlę w całym muzułmańskim świecie. Saudyjska wrogość w stosunku do starych budynków ma silnie sekciarskie zabarwienie i jest wymierzona w fizyczne świadectwo tego, że w dawnej Mekce odmiennie praktykowano islam. Ślady wielowiekowej obecności Abbasydów, a potem Osmanów na tych terenach niemal całkowicie usunięto z krajobrazu miasta. Nie tak dawno pozbyto się znajdujących się po wschodniej stronie Świętego Meczetu starożytnych, abbasydzkich i osmańskich elementów o wielkiej wartości historycznej.

Autorzy strony internetowej hotelu Makkah Clock Tower polecają, nadal w tym samym naiwno-paradoksalnym tonie, kilka zabytkowych budynków w Mekce, które przetrwały wielkie, wymuszone budową hotelu wyburzanie i które musi zobaczyć każdy przybywający do świętego miasta. Turystom proponuje się zwiedzanie Kasr as-Sakaf, ponoć „jednego z najstarszych budynków w mieście, będącego doskonałym przykładem miejscowej tradycyjnej architektury”. Innym żelaznym punktem wycieczek powinien być pałac Kasr Chozam, wzniesiony „przed ponad osiemdziesięcioma laty” i przez to zaliczający się do wczesnego dziedzictwa nowoczesnej Mekki.

Ślady przeszłości drażnią purystów pragnących przejąć całkowitą kontrolę nad miastem. Apologeci saudyjskiego obrazoburstwa twierdzą, że w całości bierze się ono z pobudek religijnych. W 1994 roku szejk Abd al-Aziz ibn Baz, największy ówczesny saudyjski autorytet religijny, wydał fatwę[7], w której czytamy: „Gloryfikowanie budynków i miejsc o znaczeniu historycznym jest niedozwolone (…). Takie działania mogą prowadzić do wielobóstwa”. Szejk kolejny raz powtórzył to, co mówi się na

tym terenie od nieco ponad dwustu lat. Wahhabici, przedstawiciele islamskiego ruchu religijnego, z którego wywodzi się dynastia Saudów, przejęli kontrolę nad Mekką i Medyną w 1803 roku i od samego początku wyrażali zamiar pozbycia się z miast wszelkich pozostałości po innych, starszych i mniej purytańskich odmianach islamu. Celem ataków stały się zwłaszcza mauzolea i meczety, wznoszone, misternie ozdabiane i otaczane opieką przez Osmanów – w tym nawet grobowiec samego Mahometa. Spór pomiędzy Osmanami a wahhabitami o to, czy fizyczną spuściznę islamu należy otaczać czcią, czy niszczyć, wszedł w nową fazę, kiedy w 1848 roku imperium osmańskiemu udało się odbić Mekkę i Medynę. Pod koniec wieku oba święte miejsca islamu znalazły się jednak ostatecznie w rękach sekty, która szacunek dla przeszłości Mekki uznawała za bałwochwalstwo.

Niszczenie starej Mekki idzie w parze z zakazem wstępu do świętego miasta (tak samo jak do centrum Medyny) dla innowierców. Jedno i drugie ma na celu oczyszczenie miast z historycznej złożoności. Tablice przy autostradzie prowadzącej do Mekki informują wyraźnie: „Tylko dla muzułmanów”; zjazdy pozwalające zawrócić z drogi opisano: „Dla niemuzułmanów”. Oczywiście, na całym świecie istnieje mnóstwo zakazów dla osób niebędących wyznawcami danej religii: są zamknięte dla niemormonów świątynie mormońskie i niedostępne dla niehindusów, przynajmniej w czasie nabożeństwa, świątynie hinduskie. Trzeba jednak przyznać, że reguła, która zabrania pięciu szóstym ludzkości przekroczyć nie tylko próg świątyni, lecz także wręcz granice miasta, to zakaz zupełnie innego kalibru. W Koranie w surze dziewiątej czytamy: „O wy, którzy wierzycie! Bałwochwalcy są przecież nieczystością. Przeto niech nie przybliżają się do Meczetu świętego po tym roku!”[8]. Nie ma tu, jak widać, mowy o zakazie wstępu do Mekki, a tylko do Świętego Meczetu. Szlaban na całe miasto dla innowierców jest kolejnym pomysłem wahhabitów. Jak na ironię, zanim saudyjscy wahhabici przejęli kontrolę nad Mekką, jako heterodoksów obowiązywał ich wydany przez szarifa świętego miasta zakaz wstępu.

Skoro wyburzanie wynika z przyczyn *stricte* wyznaniowych, dlaczego przedmiotem rozbiórki stały się zarówno budynki świeckie, jak i religijne? Reżimy komunistyczne, niszcząc stare budowle, również kierowały się rzekomo wyłącznie ideologicznymi pobudkami; dziś jest dla nas jasne, że najważniejszy był dla nich motyw umocowania władzy i zysku. Mekka to

prężnie rozwijające się miasto, do którego płynie wartki strumień pielgrzymów – a wraz z nimi żywa gotówka. Status świętego miasta daje gwarancję stałego wzrostu. „Największe światowe firmy pchają się do Mekki drzwiami i oknami”, mówi John Sfakianakis, były główny ekonomista Banque Saudi Fransi. Starbucks, The Body Shop, Topshop, Tiffany & Co., Claire, Cartier – to tylko niektóre marki robiące świetne interesy w świętym mieście islamu. Narzucony Mekce ikonoklazm jest niczym żyzna gleba, na którą padło ziarno konsumpcjonizmu. Nie ma tu niczego, co by przeszkadzało wydawaniu pieniędzy: żadnych śladów ani symboli wolniejszego, mniej szalonego, a bardziej heterogenicznego stylu życia, który prowadzono tu, zanim przeszłość została wymazana.

Niszczenie starej Mekki i ustanawianie zakazów wstępu dla niemuzułmanów narzucają szczególną wizję przeszłości i teraźniejszości miasta, ale także wzbudzają tęsknotę za jego utraconą różnorodnością. Podobnie jak Leningrad, stara Mekka oddala się od rzeczywistości, przeradza w miejsce fantastyczne, legendarne. W miastach tak starych jak Mekka rażący brak przeszłości staje się osobliwą formą obecności: nieuchwytnej, a zarazem trwałej, ważnej i zawierającej się w historii miasta; obecności, której nie sposób zupełnie wymazać.

New Moore

21° 37’ 00” N; 89° 08’ 30” E

Burze i powodzie, jak się okazuje, mają moc sprawczą, potrafią bowiem z dnia na dzień przeobrazić krajobraz. Wyspa New Moore wyłoniła się z wód Zatoki Bengalskiej po przejściu cyklonu Bhola w 1970 roku. Powstała z ziemi, piasku i kamieni naniesionych przez uchodzący do morza szeroką deltą Ganges. Wyspa szybko się powiększała, by ostatecznie osiągnąć długość trzech i pół i szerokość trzech kilometrów. W porze suchej obozowała na niej garstka bangladeskich rybaków, ale poza tym New Moore pozostawała niezamieszkana. Poza kępą namorzynów nie rosło na niej nic, co nadawałoby jej stabilność, toteż jej rozmiary i kształt zmieniały się w zależności od pór roku i pływów morza.

New Moore wybrała sobie wyjątkowo drażliwy punkt na mapie, by objawić swoje istnienie, usadowiła się bowiem u ujścia rzeki Hariabhanga,

niemal dokładnie na granicy Indii i Bangladeszu. Jak tylko wyłoniła się z toni, oba kraje błyskawicznie zgłosiły do niej roszczenia i nazwały ją po swojemu – Hindusi: New Moore, Banglijczycy: South Talpatii; większą popularność zyskała ta pierwsza nazwa. Tak czy owak, według zainteresowanych było o co się bić. Roszczenia Indii i Bangladeszu do wód i wysp Zatoki Bengalskiej w znacznej mierze się pokrywają, ponieważ obu państwom zależy na dostępie do znajdujących się tam złóż ropy naftowej i gazu. Zagarnięcie nowej wyspy pozwoliłoby rozszerzyć wody terytorialne i przystąpić do lukratywnej eksploatacji dna morskiego.

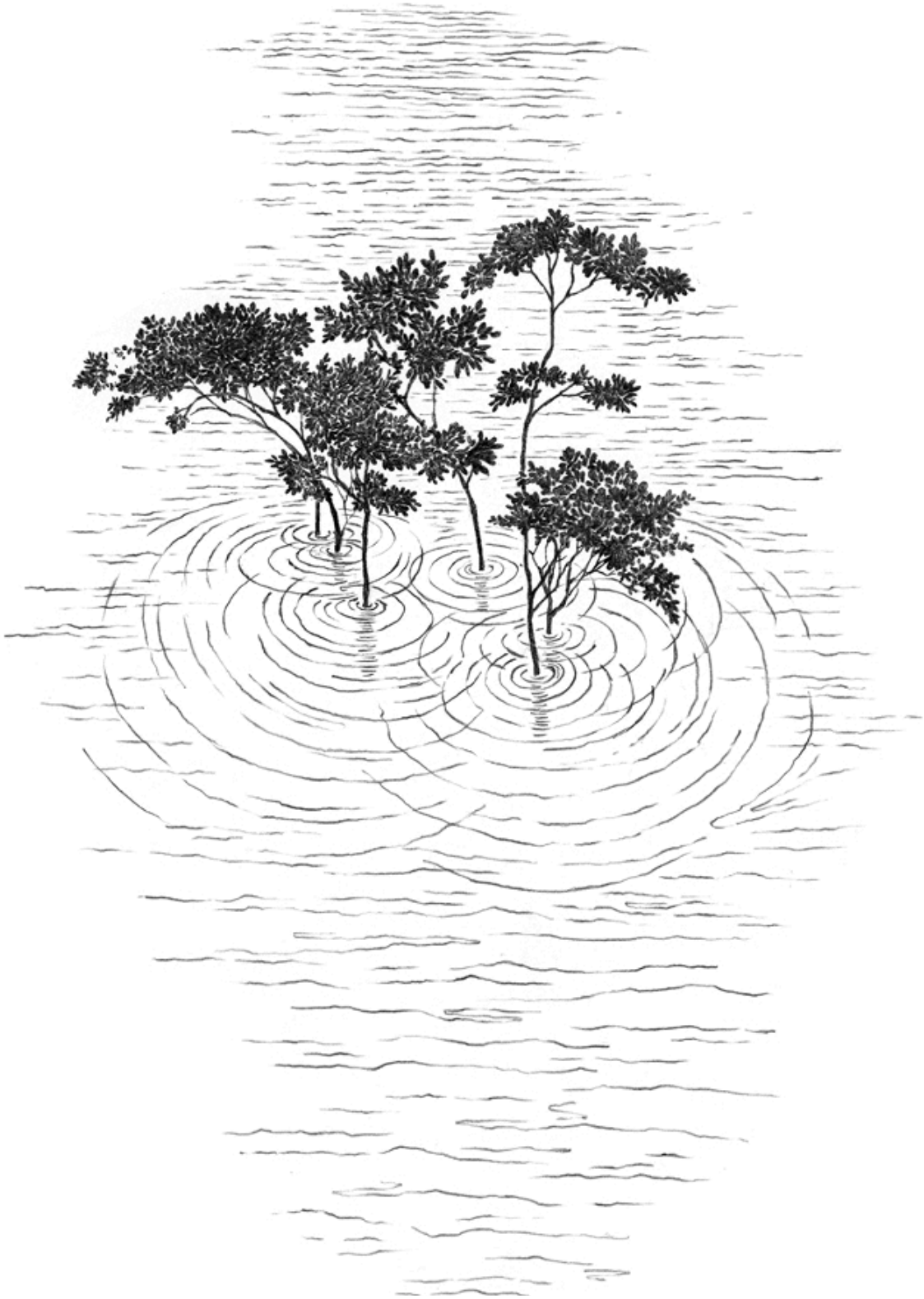

W 1978 roku indyjska straż graniczna ustawiła na wyspie tablicę z mapą i rysunkiem flagi swojego kraju. Trzy lata później Indie podgrzały nastroje, obsadzając New Moore żołnierzami i wciągając na maszt prawdziwą flagę. Przez chwilę wydawało się, że spór o to, do kogo będzie należał ten piaszczysty spłachetek ziemi, przerodzi się w poważny konflikt. Obie strony liczyły jednak na to, że ostatecznych argumentów dostarczy niezależne ciało eksperckie. Specjaliści od wytyczania granic mieli określić sposób, w jaki wody rzeki Hariabhanga opływają wyspę: gdyby udało się wytyczyć tak zwany talweg, czyli linię najgłębszego koryta (w spornych sytuacjach stanowiącą podstawę do wytyczenia linii granicznej, na przykład na rzece), miałoby to decydujące znaczenie. Jeśliby talweg znajdował się na wschód od wyspy, New Moore przypadłaby Indiom; gdyby znajdował się na zachód, Bangladesz mógłby śmiało uznać South Talpatii za swoją.

Jak nietrudno się domyślić, wytyczenie talwegu okazało się bardzo trudne i przeciągało się w czasie. Zanim spór został rozstrzygnięty, wyspa zaczęła znikać, aż w końcu w marcu 2010 roku zupełnie przestała istnieć. Na ostatnich fotografiach młodej wyspy widać, jak najwyższe gałęzie zatopionych namorzynów sterczą z wody niczym sękate palce.

W wyniku podnoszenia się poziomu oceanów powstaje nowa linia brzegowa w tempie przewyższającym zdolność rządów do reakcji. Po przełomie wieków tempo wzrostu poziomu morza w Zatoce Bengalskiej, już i tak wysokie, przyspieszyło i dziś wynosi około pięciu milimetrów na rok. Dla nisko położonych, podatnych na zalewanie terenów stanowi to nie lada problem. Pojawienie się i zniknięcie wyspy New Moore niektórzy zinterpretowali jako twardy polityczny orzech do zgryzienia, podrzucony przez naturę i rozwiązany przez zmiany klimatyczne. W czasopiśmie „The Christian Science Monitor” ukazał się artykuł pod trafnym tytułem *Global Warming as Peacemaker* (Globalne ocieplenie w roli rozjemcy). W rzeczywistości rozsądzenie tego, które czynniki odpowiadające za pojawienie się i zniknięcie New Moore były „naturalne”, a które nie, wcale nie jest łatwe. Tylko jeden z nich, mianowicie osiadanie płyty tektonicznej – polegające na stopniowym obniżaniu się skorupy ziemskiej pod Zatoką

Bengalską i wokół niej oraz na wynikającym z tego zjawiska podnoszeniu się poziomu morza – możemy bowiem śmiało zakwalifikować do tej grupy.

Zmiany klimatyczne nie poprawiają sytuacji, wręcz ją pogarszają. Możemy obarczyć je winą nie tylko za przyspieszenie cyklu tworzenia i niszczenia, lecz także za gwałtowność i dotkliwość powodzi w ostatnich latach. W przypadku New Moore stało się tak, że wyższy poziom opadów atmosferycznych – będący bezpośrednim skutkiem ocieplenia mórz, wynikającego ze zmian klimatycznych – spowodował wezbranie rzek, te zaś naniosły budulec, z którego powstała wyspa. Do jej narodzin przyczyniła się również budowa dróg w górnym biegu rzeki, podczas powodzi tworzyły się tam bowiem osuwiska, a wezbrana woda porywała obrywające się tony ziemi oraz piasku i niosła je dalej. Niestety, intensywne wylesianie w całym regionie, zwłaszcza wycinanie lasów namorzynowych, sprawiło, że płynące z nurtem Gangesu osady skalne nie zgromadziły się w strefie brzegowej i nie wzmocniły jej, tak jak powinny, lecz zostały poniesione w stronę ujścia rzeki i dalej, na otwarte morze.

New Moore nie jest jedyną wyspą, która pojawiła się na wodach Zatoki Bengalskiej, by wkrótce z nich zniknąć. Po stronie indyjskiej utworzyły się i następnie zatonęły co najmniej cztery inne wyspy. Na jednej z nich, Lohacharze, zamieszkało sześć tysięcy osób, zanim w 2006 roku zalało ją morze. Ostatnio znów ją zaobserwowano. Okazuje się zatem, że wysepki mają więcej niż jedno życie, że wielokrotnie rodzą się i umierają – zresztą podobne zjawiska zachodzą również w innych częściach świata. U południowo-zachodnich wybrzeży Francji objawiła się wyspa po tym, jak w styczniu 2009 roku w rejon ten uderzył huragan Klaus. W następstwie żywiołu estuarium Żyrondy zyskało położoną jedenaście kilometrów od wybrzeży Francji i mającą powierzchnię jednego kilometra kwadratowego (podczas odpływu) *l’île mystérieuse* (fr. – tajemnicza wyspa), za której powstaniem stoją podobne procesy jak te, które dały początek New Moore. Wody Zatoki Biskajskiej nie podnoszą się tak szybko jak wody Zatoki Bengalskiej, dlatego *l’île mystérieuse* może mieć więcej szczęścia niż New Moore i przetrwać dłużej. Wyspy położone w pobliżu terenów nizinnych są ważne i to nie tylko dlatego, że dzięki nim państwo może przesunąć granicę swoich wód terytorialnych, lecz także z tej przyczyny, iż tworzą naturalną barierę, chronią wybrzeże przed sztormami i zalewaniem. W przypadku gęsto zaludnionych terenów mogą się okazać dodatkową przestrzenią do

zasiedlenia. W świecie postępujących i coraz bardziej nieprzewidywalnych zmian linii brzegowej należy podtrzymywać istnienie takich naturalnych formacji. New Moore można przecież wypiętrzyć, umocnić i zabezpieczyć przed erozją, choćby obsadzając ją lasami namorzynowymi. Byłoby to stosunkowo proste i tanie przedsięwzięcie, przynajmniej w porównaniu z projektami zakładającymi budowę sztucznych wysp (patrz Pływające Malediwy).

Szybko stało się dla nas jasne, że skutkiem podnoszenia się poziomu oceanów będzie nie rozwój branży zajmującej się konstruowaniem wyspiarskich rajów turystycznych, ale żmudna walka o ocalenie najniżej położonych terenów. Przewiduje się, że w niedługim czasie znaczna część lądu nad Zatoką Bengalską, od Kalkuty na zachodzie po Birmę na wschodzie, znajdzie się pod wodą. Według początkowych szacunków Intergovernmental Panel on Climate Change (Międzyrządowy Zespół ds. Zmian Klimatu) do 2050 roku Bangladesz może stracić około siedemnastu procent swojej powierzchni. Według nowszych raportów, przygotowanych przez Centre for Environmental and Geographic Information Services (Ośrodek Informacji Geograficznej i Środowiska Przyrodniczego) z siedzibą w Dhace, tereny te nie zostaną zupełnie zagarnięte przez morze, ale będą regularnie zalewane w porze monsunowej. Tak czy inaczej, jest to bardzo poważny problem w kraju, w którym już dziś średnio co godzinę jedenaście osób traci dach nad głową przez podnoszący się poziom mórz.

New Moore to coś więcej niż przedmiot sporu o wody terytorialne; to nieoczekiwany, ale silny argument za koniecznością dbania o przybrzeżne wyspy – i bodziec do działania. Banglijczycy, naród żyjący na terenach o bardzo gęstej sieci rzecznej, przyzwyczaili się do pojawiania się i znikania wysepek i potrafią to wykorzystać. Przykładem jest Nidźhum Dwip, nazywana Cichą Wyspą, która wyłoniła się z morza na początku lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku. Wprawdzie większość wyspy jest regularnie zalewana, ale została ona częściowo wzmocniona i ustabilizowana, głównie poprzez gęste obsadzenie namorzynami. Dziś mieszka tam ponad dziesięć tysięcy ludzi, a także ptactwo wodne, małpy, a nawet jelenie. W 2001 roku Nidźhum Dwip uzyskała status parku narodowego.

Z pomocą człowieka młode wyspy, takie jak New Moore, mogą stać się miejscami nadającymi się do zasiedlenia. Nie wiadomo, czy pomaganiem

młodym wyspom uda nam się przechytrzyć wzrost poziomu oceanów – niektórzy pesymiści uważają, że w przypadku wielu terenów nadmorskich jedyne rozwiązanie sensowne na dłuższą metę stanowi po prostu opuszczenie ich – ale póki co nie ma powodu składać broni. Musimy rozszerzyć pojęcie ochrony miejscowej przyrody: w XXI wieku pod parasolem ochronnym muszą się znaleźć nie tylko gatunki i ekosystemy, lecz także wyspy – przecież nie musimy oddawać ich morzu, możemy je zatrzymać i zagospodarować. Możemy uratować New Moore przed ponownym zatonięciem.

Time Landscape

40° 43’ 37” N; 73° 59’ 58” W

W Nowym Jorku na rogu La Guardia Place i West Houston Street znajduje się prostokątna działka o powierzchni około trzech tysięcy metrów kwadratowych. Jest ogrodzona i niedostępna dla przechodniów. W 1978 roku oddano ją naturze. Porastająca ją roślinność – gatunki naturalnie występujące w tym regionie: jałowiec wirginijski, czeremcha amerykańska, oczar, winobluszcz pięciolistkowy, szkarłatka amerykańska, trojeść; krótko mówiąc: takie rośliny, które mogły rosnąć w tym miejscu w siedemnastym stuleciu – znalazła tu swój azyl dzięki inicjatywie Alana Sonfista.

Time Landscape (Pejzaż czasu) był pierwszym tak znaczącym artystycznym przejawem idei, której Sonfist poświęcał uwagę już od dłuższego czasu. W ogłoszonym w 1968 roku manifeście zatytułowanym *Natural Phenomena as Public Monuments* (Zjawiska naturalne jako pomniki) Sonfist wezwał do tworzenia naturalnych, roślinnych odpowiedników pomników wznoszonych na cześć bohaterów wojennym. Miejsca takie miałyby upamiętniać zanikające krajobrazy, byłyby azylami służącymi refleksji, swoistym zapisem i świadectwem „życia i śmierci obiektów naturalnych, takich jak rzeki, źródła, wychodnie skalne”.

Time Landscape „przypomina, że w miejscu, w którym dziś stoi miasto, kiedyś rósł las”. Przypomina również o czymś bardziej osobistym. W niedawnym wywiadzie Sonfist przyznał, że źródeł jego prac należy szukać w dzieciństwie, które artysta spędził na Bronksie, gdzie widział „zagładę lasu”. Ukończony *Time Landscape* stawia trudne pytania o obronę

miejsc utraconych przez naturę. Dzieło jest nieustannie atakowane przez obce, postkolonialne chwasty, takie jak wilec i mlecz, ale Sonfist nie przejmuje się tym, twierdzi, że *Time Landscape* to „otwarta pracownia, a nie sterylne laboratorium" i że od początku zakładał zaistnienie wzajemnej zależności pomiędzy starymi a nowymi gatunkami roślin.

Gdyby rzeczywiście było tak, jak mówi autor, *Time Landscape* stałby się pomnikiem niewiele wartym. Od wszystkich pozostałych nowojorskich, pełnych zieleni skwerków odróżnia go bowiem dokładność, wręcz drobiazgowość, z jaką odtworzono przedkolonialną roślinność. Dlatego nie dziwi, że nowojorski zarząd parków i terenów rekreacyjnych kwestię inwazji chwastów na artystyczną enklawę traktuje poważniej niż sam twórca dzieła i regularnie zleca pielenie działki i usuwanie z niej wszelkich obcych roślin. *Time Landscape* stał się wyjątkowym, nawet jeśli nie najbardziej wartościowym, elementem prowadzonego przez zarząd projektu o nazwie Greenstreets (Zielone ulice), w którym chodzi o „przekształcenie wybetonowanych i wybrukowanych powierzchni, takich jak skwery i ciągi piesze, w trawniki". Zarząd chce chronić *Time Landscape* tak, jak chroni się dzieło sztuki. W ten sposób roślinność posadzona ręką Sonfista podlega kolejnej formie konserwacji, bierze udział w kolejnej próbie zatrzymania upływającego czasu.

Usuwanie chwastów pielęgnuje charakter *Time Landscape* jako dzieła sztuki odnoszącego się do przeszłości. Gdyby nie pielenie, byłoby dużo trudniej prawidłowo odczytać jego sens i powiedzieć, czy wskazuje przed, czy za siebie. Według krytyków *Time Landscape* przeszedł „muzeifikację" i dziś jest martwym miejscem, tylko w niewielkim stopniu służącym społeczeństwu. Z połączonych sfer ochrony powstało coś dużo bardziej złożonego i niepokojącego, niż było na początku. Osobliwość *Time Landscape* bierze się stąd, iż dzieło każe nam się zmierzyć z niewygodnym paradoksem: staramy się szanować i chronić naturę, ta zaś wymyka nam się z rąk i zostawia nas z czymś, czego się nie spodziewaliśmy – z czymś nienaturalnym.

Miasto to miejsce, z którego najpierw usuwa się naturę, a potem opłakuje jej stratę; zabija się ją, po czym wskrzesza po to tylko, by umieścić w parku jak w grobowcu i tam oddawać jej hołd. Chwasty atakujące sepulkralny[9] krajobraz *Time Landscape* usuwa się i wrzuca do czarnych pojemników na śmieci, a następnie wywozi do spalenia. Same dla siebie stanowią pomnik,

stanowią naszą do znudzenia powtarzaną zemstę na zemście natury. Pielęgnowane z namaszczeniem pozostałości po naturze są zbyt rachityczne, by przywoływać płodną przeszłość; nie potrafi tego również *Time Landscape*, dzieło i pomnik dawnej natury i dawnej sztuki.

Ślady wprowadzonej przez *Time Landscape* zasady czystości odnajdujemy w niezliczonych parkach i ogrodach na całym świecie, jak również w tworzonych na zlecenie miast dziełach land artu, sztuki ziemi. W rozległych naturalnych przestrzeniach powstają zaskakująco ludzkie miejsca: prosta kamienna ścieżka pośród chaotycznie rozrzuconych głazów, spiralny pomost na samotnym jeziorze. Dla działających w mieście artystów największą pokusą jest konfrontacja z betonowo-asfaltową przestrzenią ulic. Oprócz *Time Landscape* chyba najbardziej znaną nowojorską pracą z tego gatunku było *Wheatfield, a Confrontation* (Pole pszenicy, konfrontacja): pusta działka o powierzchni ośmiu tysięcy metrów kwadratowych w środku Manhattanu, którą w 1982 roku artystka Agnes Denes obsiała pszenicą. *Wheatfield, a Confrontation* miało wymowę bardziej polityczną niż *Time Landscape*. Żyzne, prawie hektarowe pole i uzyskany z niego półtonowy plon symbolizowały głód wywołany „niewłaściwymi priorytetami" maklerów z Wall Street. Złote ziarno i prosty przekaz moralny stanowiły sugestywny kontrast dla przeżartego korupcją, upadłego miasta. Było to kolejne miejsce oczyszczone przez naturę.

Pole Denes wkrótce skoszono i nie zdążyło ono ani stać się argumentem w trudnej debacie na temat użytkowania terenu, ani zestarzeć się i stracić atrakcyjnego wyglądu. Los *Time Landscape* potoczył się zupełnie inaczej. Tygodnik „The Village Voice" doniósł, że podczas jednej z regularnych akcji porządkowania i oczyszczania działki z chwastów przewodniczący lokalnej wspólnoty mieszkańców zepsuł atmosferę, stwierdzając – „na tyle głośno, by usłyszał to obecny na miejscu autor dzieła" – że „pora na coś nowego", bo „*Time Landscape* to relikt lat osiemdziesiątych". Rzeczywiście, w ciągu ostatnich dwudziestu lat niewinna ekosztuka wyszła z mody, zastąpiła ją fascynacja wizją zachwaszczonego miejskiego upadku (patrz Park Archeologiczny Sycylijskiej Niedokończoności). John Patrick Leary w swoim niezwykle ważnym eseju na temat nowego trendu to „euforyczne koneserstwo rujnacji" nazwał „Detroityzmem", ponieważ dla wielu artystów i fotografików właśnie Detroit stało się symbolem i „Mekką miejskiego upadku".

Time Landscape i Detroityzm to dwa odmienne punkty początkowe, ale zbieżne w kwestii troski o życie człowieka w cywilizacji wielkomiejskiej. Jak możemy funkcjonować bez natury? Kim się bez niej stajemy, albo: kogo udajemy? Sonfist nigdy nie twierdził, że zna odpowiedzi na te pytania; dawno już stracił kontrolę nad wymową i znaczeniem *Time Landscape*, który dziś jest przeżywającym trudności, paradoksalnym miejscem, wciąż jednak budzącym żal za utraconą naturą, leżącą tuż pod lśniącym, choć pozbawionym wyrazu płaszczem miejskiego pejzażu.

Aral-kum

44° 45’ 37” N; 62° 09’ 27” E

Aral-kum (Pustynia Aralska) jest zbyt nowa, zbyt duża i ma za bardzo zmienny kształt, by znaleźć się na mapach. Obejmuje znaczną część dawnego Jeziora Aralskiego. Używana od niedawna nowa nazwa tego obszaru nie jest aż tak egzotyczna, jak się wydaje, *kum* to bowiem po uzbecku „piasek”[10].

W porównaniu z mapą polityczną, mapa fizyczna świata wydaje się oazą spokoju – tę pierwszą wciąż musimy aktualizować, podczas gdy druga jawi nam się jako niezmienna; przekształcenia środowiska następują w tak wolnym tempie, że przeważnie nawet ich nie zauważamy. Ludzka „miłość do natury” zasadza się między innymi na przekonaniu, że w przeciwieństwie do naszych wątłych osiedli i niepewnych granic, przyroda jest „stara jak świat” i samodzielna. To przestarzały pogląd (patrz New Moore), prowadzący do myślenia, że natura zawsze doskonale poradzi sobie z każdą zmianą i że miejsce opuszczone przez jedne gatunki zwierząt i roślin chętnie zajmą drugie. Aral-kum to jednocześnie miejsce naturalne – pustynia, i nienaturalne – obszar, na którym zdolności adaptacyjne środowiska przestały nadążać za działalnością człowieka i jej skutkami.

Miejsce to budzi niepokojące wspomnienia. W przeszłości Jezioro Aralskie miało imponujące rozmiary: czterysta dwadzieścia sześć kilometrów długości i dwieście osiemdziesiąt cztery kilometry szerokości, i było czwartym co do wielkości jeziorem na świecie. Bodaj każde dziecko, wędrując palcem po mapie Azji Środkowej, znajduje na niej tę wielką niebieską plamę i pyta, jak to możliwe, że coś takiego powstało tak daleko

od oceanu. Pierwszych pomiarów kartograficznych jeziora, dawniej zwanego Morzem Niebieskim, dokonano w połowie XIX wieku. Pływało wtedy po nim kilka flot rybackich, wzdłuż brzegów wyrastały nowe wioski. Sto lat później osiedli było dziewiętnaście, nie licząc dwóch największych miast: Aralska na północy i Mujnaku na południu. Dziś oba te miasta, dawniej portowe, znajdują się daleko od wody.

Od południa Jezioro Aralskie zasilała Amu-daria, jedna z najdłuższych rzek Azji Środkowej, niegdyś mająca prawie dwa i pół tysiąca kilometrów długości i uchodząca do zbiornika upstrzonym wysepkami lejkiem. Współpracowała z nią Syr-daria, której czysta górska woda zasilała jezioro od północy. Radzieccy planiści szybko zdali sobie sprawę z potencjału obu rzek i postanowili go wykorzystać, tworząc skomplikowany system irygacyjny dla pól bawełny i pszenicy. W latach trzydziestych ubiegłego stulecia rozpoczęto kopanie szerokich kanałów, którymi wkrótce miała popłynąć woda z Amu-darii i Syr-darii i nawodnić miliony hektarów żyznej gleby. W 1987 roku profesor Agajan Babajew, jeden z najwybitniejszych radzieckich specjalistów w zakresie pustynnienia, w artykule dla radzieckiego czasopisma ekonomicznego wyjaśnił, że „przyzwolenie na wysychanie Jeziora Aralskiego jest dużo korzystniejsze niż próby uratowania go”. Mało tego, profesor na koniec stwierdził: „wielu naukowców – wśród nich również ja sam – jest przekonanych, że zanikanie jeziora pozostanie bez wpływu na krajobraz regionu”. Jak się okazuje, śmierć Jeziora Aralskiego nie tylko przewidziano, lecz także wręcz do niej dążono.

Kiedy w latach sześćdziesiątych XX wieku jezioro zaczęło się wyraźnie kurczyć, nie zaprzestano irygacji pól, przeciwnie, nadal odprowadzano duże ilości wody z obu rzek, najwięcej na początku lat osiemdziesiątych. Pozbawione zastrzyku świeżej wody jezioro – należałoby raczej powiedzieć: archipelag coraz płytszych sadzawek – stało się niemal tak słone jak ocean. Pojawiły się nowe, suche i pozbawione wszelkiej roślinności połacie lądu. Przenoszone przez wiatr zanieczyszczenia zamieniły te tereny w jeden z najmniej sprzyjających życiu obszarów na Ziemi. Wzrósł wskaźnik zapadalności na choroby układu oddechowego, zwiększyła się także śmiertelność noworodków. Zanikanie jeziora spowodowało zmiany pogodowe w regionie. Zbiornik wodny o takiej wielkości zimą podnosił, latem zaś obniżał temperaturę powietrza; kiedy

praktycznie przestał istnieć, aura stała się bardziej nieprzewidywalna, a zjawiska pogodowe gwałtowniejsze i bardziej niebezpieczne.

Przez ostatnie pięćdziesiąt lat powierzchnia Jeziora Aralskiego zmniejszyła się o ponad osiemdziesiąt procent, a objętość – o dziewięćdziesiąt procent. Na współczesnych mapach kształt i rozmiary Jeziora Aralskiego przedstawiają się niekonsekwentnie: czasem to, co widzimy – podzielony, szczątkowy akwen – mniej więcej odpowiada rzeczywistości, często jednak odwzorowuje się jezioro tak, jakby nadal istniało w swej dawnej postaci, czyli rozległe i nienaruszone. Ponieważ uprawa bawełny w tym regionie wciąż stanowi dla Kazachstanu i Uzbekistanu ekonomiczny priorytet i na solidną rekultywację tych terenów w dającej się przewidzieć przyszłości raczej się nie zanosi, pora chyba ostatecznie wprowadzić zmianę na mapie świata: podmienić Jezioro Aralskie na Pustynię Aralską.

Aral-kum wita przyjezdnych wiatrem hulającym po jałowej ziemi. Wszędzie walają się spłowiałe muszle, tu i tam widać szkielety rozszabrowanych łodzi, jak okiem sięgnąć sucho i pusto. Wokół pustyni stoją wymarłe miasta, opuszczone zakłady przetwórstwa ryb, rozpadające się warsztaty szkutnicze i rdzewiejące kadłuby. Barsakelmes, co po kazachsku znaczy „ziemia bez powrotu”, była kiedyś największą wyspą na Jeziorze Aralskim, jednym wielkim rezerwatem przyrody, znanym z pięknych orłów, jeleni i wilków. Dziś wygląda jak spróchniały pniak. W 1993 roku na wyspie ostał się raptem jeden mieszkaniec: były strażnik leśny Walentyn Skurocki, za całe towarzystwo mający kilka upartych osłów azjatyckich. Odmówił opuszczenia wyspy, ponieważ tam została pochowana jego matka. W 1998 roku znaleziono go martwego – siedział na krześle, trzymając się za głowę.

W Kazachstanie i Uzbekistanie ludzie są zmęczeni przygnębiającymi opowieściami i złymi wiadomościami ze swojego regionu. Od dwudziestu lat miejscowe media poświęcają dużo czasu tematowi stawiania tam i „narodzinom” nowego akwenu, nazywanego Małym Jeziorem Aralskim. Sugerują tym samym, że pozostałą część dawnego jeziora powinno się pozostawić pustyni. Nowo wybudowana tama na Syr-darii w pobliżu Aralska zatrzymuje wodę w Małym Jeziorze Aralskim i ogranicza jej przepływ na południe. W 2008 roku prezydent Kazachstanu Nursułtan Nazarbajew w przemówieniu wygłoszonym na tamie zapowiedział, że

w przyszłości Aralsk ponownie stanie się miastem portowym. System nowych tam i śluz może sprawić, że jego obietnica się spełni. Poziom wody w Małym Jeziorze Aralskim podniósł się, poprawiła się również jej jakość, ale choć to rzeczywiście duże i ważne osiągnięcie, nie zrekompensuje przecież straty „Dużego” Jeziora Aralskiego.

Aral-kum to nie tylko rozległa młoda pustynia, lecz także eksperyment na wielką skalę, największy na świecie przykład antropogenicznej sukcesji ekologicznej. Sukcesja pierwotna to rozwój życia roślinnego na obszarze pozbawionym wegetacji. Jej typowym przykładem są wyspy wulkaniczne, takie jak Surtsey, która w 1963 roku powstała na Atlantyku, trzydzieści dwa kilometry na południe od Islandii; dwa lata później zauważono na niej pierwsze rośliny, a dziś wyspę porastają mchy, porosty, trawy, a nawet krzewy. Zjawisko sukcesji ekologicznej jest jak najbardziej naturalne i dopiero element ludzki, antropogeniczny, czyni ją bardziej nieprzewidywalną. Współcześnie do sukcesji dochodzi przeważnie w wyniku nie aktywności wulkanicznej i lodowcowej, lecz działalności człowieka. Mamy z nią do czynienia na przykład na martwej ziemi poligonów doświadczalnych broni nuklearnej, na hałdach, na polach bitwy, a nawet w mieście, wszędzie tam, gdzie rośliny próbują wykorzystać pęknięcia w betonie i asfalcie.

Flora jest do tego stopnia nieustraszonym i nieustępliwym najeźdźcą, że z czasem potrafi odzyskać dla siebie dosłownie każdy teren. Wprawdzie jeszcze za wcześnie na wyciąganie ostatecznych wniosków, ale na razie wydaje się, że Aral-kum będzie wyjątkiem od tej reguły. Warunki panujące na słonym i pylastym, a do tego częściowo skażonym byłym dnie jeziora zdecydowanie nie sprzyjają rozwojowi nowego życia. Niemiecki zespół badawczy z Uniwersytetu w Bielefeld prowadzi ciągłą obserwację ubogiej roślinności, która próbuje rosnąć na Pustyni Aralskiej. Niemieccy badacze, wspólnie z ekspertami z innych ośrodków naukowych, skłaniają się ku przekonaniu, że jedyny sposób na ożywienie tego obszaru stanowi interwencja człowieka: obsadzenie pustyni gatunkami roślin, które nie tylko są odporne na wysokie zasolenie gleby, lecz także potrafią wytrzymać skrajne temperatury powietrza i silne wiatry wiejące nad wyschniętym dnem jeziora. Siedemdziesiąt procent Aral-kum to słone pustkowie. Przeobrażenie go w dobre do życia miejsce to drogie, żmudne i niewdzięczne zadanie. Przykład Pustyni Aralskiej pokazuje, że –

w niektórych przypadkach i przynajmniej na krótką metę – natura nie jest w stanie sobie poradzić. Problem, który sami stworzyliśmy, tylko my możemy rozwiązać, gorzej, że w tej chwili przekracza to nasze możliwości. Przyzwyczailiśmy się, że o naturę możemy dbać i naturę potrafimy chronić, natomiast przypadek Jeziora Aralskiego przytłacza nas, jest wyzwaniem na wielką skalę, zmuszającym do wyjścia poza ramy standardowej ochrony przyrody, wymaga bowiem odbudowy całego ekosystemu, ożywienia całego regionu.

Tymczasem nowo powstała pustynia odkrywa przed nami swoje tajemnice. Okazuje się, że Jezioro Aralskie nie po raz pierwszy zniknęło z powierzchni Ziemi. Na dnie dawnego jeziora kazachscy myśliwi znaleźli bowiem pozostałości średniowiecznego grobowca, a w nim ludzkie kości, wyroby garncarskie i kamienie młyńskie. Na zdjęciach satelitarnych widać koryta rzek, które kiedyś płynęły zakolami po obszarze dzisiejszej pustyni. Odkrycia te potwierdzają miejscowe legendy, według których tam, gdzie jeszcze nie tak dawno znajdowało się Jezioro Aralskie, w odleglejszych czasach znajdował się suchy ląd. Miejscowa tradycja ludowa zmienia się i jest uaktualniana – dziś osoby pamiętające jezioro wypatrują ponownego podniesienia wód, oczekują nowej powodzi, która zwróci im Morze Niebieskie.

2. Ukryta geografia

Labirynt

44° 56’ 14” N; 93° 12’ 03” W

W świecie, który – jak nam się wydaje – w całości poznaliśmy, zmierzyliśmy i odwzorowaliśmy na mapach, nieuwzględniane na planach miejsca intrygują nas i prowokują. Z jednej strony rozsądek podpowiada, by nieliczne, wciąż nietknięte współczesną cywilizacją społeczności zostawić w spokoju (patrz wyspa North Sentinel), a z drugiej – istnienie licznych obiektów ukrytej geografii podsuwa nam myśl, że era wielkich odkryć jeszcze nie dobiegła końca. Zaskakująca prężność zamkniętych (patrz *Żeleznogorsk*) albo trudno dostępnych (patrz *Podziemne miasta Kapadocji*) miast, a także ciekawe i nieoczekiwane zastosowanie istniejącej infrastruktury (patrz *Cmentarz Północny w Manili*) prowokują do nowego spojrzenia na sieć zwyczajnych ulic. Rozwiązania przestrzenne zapożyczone od zwierząt (patrz *Lisia nora*) oraz podziemne, zamknięte części ludzkich osiedli (niniejszy rozdział) pozwalają nam wejrzeć głębiej w niezwykłe, będące zarazem blisko i daleko miejsca.

Eksploracja przestrzeni miejskiej nabrała rozpędu na początku pierwszej dekady XXI wieku. Dotarło do mnie, że przestało to być niszowym hobby, kiedy mój szesnastoletni bratanek powiedział, że spędził noc w opuszczonym szpitalu psychiatrycznym. Pokazał mi zdjęcia: puste sale, podłogi zasypane pokruszonym tynkiem, powyrywane kaloryfery, szczerzący zęby nastolatkowie pozujący na tle idiotycznych malunków, które zostawili na ścianach. Nie zapytałem, czemu to zrobił, bo wiedziałem, co odpowie. Dziesięć lat wcześniej przyczyniłem się do powstania magazynu poświęconego eksperymentalnym podróżom i dezorientacjom geograficznym określanych mianem „psychogeografii”. Nazwaliśmy nasze pismo „Transgressions: A Journal of Urban Exploration” (Transgresje: Magazyn eksploracji przestrzeni miejskiej). Ukazały się tylko cztery numery, pełne celowo wprowadzających w zakłopotanie relacji przedstawicieli geograficznej awangardy. Tym, co spajało naszą grupę, było

postrzeganie badania przestrzeni miejskiej jako swego rodzaju geograficznej wersji surrealistycznego pisma automatycznego. Prawdziwe przygody w rzeczywistym świecie były pretekstami pozwalającymi na zamieszczanie obszernych esejów objaśniających, przeważnie obciążonych długą listą lektur, uwzględniającą dzieła sytuacjonistów i zwolenników „magicznego marksizmu”. Dopiero kiedy ludzie tacy jak mój bratanek zaczęli penetrować ukryte zakątki miasta i zgłaszać do nich pretensje, dotarło do mnie, że chaotyczne szwendanie się wypada banalnie w porównaniu z celowym wędrowaniem, z zaplanowanymi eskapadami do zakazanych miejsc ukrytych w zwyczajnym świecie – albo pod nim.

Dziś eksploracji przestrzeni miejskiej rzadko dokonuje się w celach artystycznych albo ze względów politycznych, częściej robi się to po prostu z pasji do odkrywania. W internecie można znaleźć mnóstwo forów poświęconych współczesnemu badaniu przestrzeni miejskiej, a na nich opowieści odkrywców z różnych części świata. Dziś wielkomiejscy Magellanowie masowo tworzą nowe legendy. Ulubionym celem wypraw paryskich śmiałków stały się podziemia – katakumby i kopalnie – stolicy Francji; ich londyńscy koledzy upatrzyli sobie wyłączone z ruchu stacje metra; w Nowym Jorku i Berlinie popularne są opuszczone fabryki i ambasady. Nomadyczny duch badaczy przestrzeni miejskiej nie znosi bezczynności, wciąż odkrywa nowe możliwości i nieustannie zabiera chętnych na coraz śmielsze wyprawy do miejsc będących białymi plamami na mapach. O gwałtownym rozwoju sceny eksploratorów przestrzeni miejskiej świadczy choćby to, że już zaczęły się kłótnie, podziały i spory o terytorium. Niektórym odkrywcom wydaje się, że mają wyłączne prawo do znalezisk albo że dostęp do tych miejsc powinna mieć jedynie wąska grupa poszukiwaczy.

Podziemny świat aglomeracji Minneapolis-Saint Paul w Minnesocie miejscy eksploratorzy nazwali Labiryntem. Fascynujące przeżycie, jakim niewątpliwie było odkrycie systemu tuneli i jaskiń składających się na Labirynt, stało się udziałem Action Squad, specjalizującej się w podziemnych eskapadach grupy zapaleńców z Twin Cities (Bliźniacze Miasta), jak potocznie nazywa się aglomerację Minneapolis-Saint Paul. Badacze tak długo z uporem penetrowali studzienki, aż wreszcie w jednej z nich natrafili na wejście do legendarnego Labiryntu. Właz stał się portalem przenoszącym do kompleksu siedmiu połączonych ze sobą,

stworzonych ludzką ręką systemów tuneli i podziemnych pomieszczeń zburzonych budynków. Tak jak wszyscy pionierzy, członkowie Action Squad ucieszyli się, że jako pierwsi odkryli ten zaginiony świat; na swojej stronie napisali: „Nie ma tu prawie żadnego graffiti, z czego wniosek, że dostęp do tego miejsca ma tylko wąska grupa najbardziej zapalonych odkrywców".

Eksploracja Labiryntu to ciężka praca, za którą nagrodą są adrenalina i uzależniająca świadomość dokonywania przełomu. „Zdarzało się, że chcąc usunąć stojącą nam na drodze przeszkodę, godzinami kopaliśmy tunele w piaskowcu, posługując się nożami do masła i innymi prymitywnymi narzędziami – wspomina na stronie jeden z członków Action Squad. – Z naszych ust padały wszystkie możliwe wariacje na temat »ja pierdolę!«, bo mówiliśmy to, ilekroć natrafialiśmy na kolejne, coraz bardziej fascynujące miejsca, kiedy już wydawało nam się, że nic nie może nas zadziwić. Mój Boże, k o c h a m y to miejsce".

Zaangażowanie członków Action Squad, jak również jakość ich znalezisk skusiły innych do penetracji Labiryntu. Z czasem stał się on swego rodzaju atrakcją w środowisku badaczy przestrzeni miejskiej. KAOS z Calgary tak o wizycie w Twin Cities w 2007 roku napisał na stronie kanadyjskiego ruchu eksploratorów: „Po prostu musiałem zejść do Labiryntu. Wcześniej doskonale go znałem z opowieści. Czułem się, jakbym dotknął legendy". Zwiedziwszy z przewodnikiem najciekawsze zakątki Labiryntu, naturalne groty i korytarze pod dnem rzeki, KAOS napisał: „szacunek dla tych, którzy dotarli tam jako pierwsi, nie wiedząc, czy tunele w ogóle dokądkolwiek ich zaprowadzą, ryzykując, że utkną albo zostaną przysypani. Do tego trzeba mieć jaja".

Wiele spośród miejsc odkrytych przez pierwszą falę eksploratorów przestrzeni miejskiej cieszy się taką popularnością w środowisku znawców, że wiedza o tym, jak i którędy poruszać się po nich, podlega standaryzacji. Jednocześnie przesunięcie środka ciężkości badania przestrzeni miejskiej z bardzo niszowego hobby w stronę rozrywki dostępnej dla tysięcy chętnych nie podoba się tym, którzy woleliby, aby takich znalezisk jak Labirynt nie zadeptały buty turystów. Jeden z weteranów ruchu, geolog Greg Brick, w *Subterranean Twin Cities* (Podziemne Bliźniacze Miasta), informatorze własnego autorstwa, zauważył, że inicjatywa, której początek dało kilkoro zapaleńców, przeżyła gwałtowny wzrost popularności: „Skutek

tego jest łatwy do przewidzenia: podziemia, dotąd puste i dziewicze, zalała fala turystów". Brick oskarżył „dzieci internetu", potrafiące jedynie „bezmyślnie klikać", o splądrowanie podziemnego królestwa aglomeracji i – ku oburzeniu części społeczności eksploratorów Twin Cities – zamknął na kłódkę wejście do podziemi browaru Heinricha, jednej z najpopularniejszych atrakcji Labiryntu.

„Przepraszam za słownictwo, ale to było naprawdę kurewsko wredne posunięcie – stwierdził Jeremy Krans, członek Action Squad. – To miejsce nie należy do niego. Nikt z nas nie zamyka Labiryntu na klucz i nie broni innym dostępu". W 2013 roku Krans udzielił wywiadu wysłannikowi miejscowego dziennika. Artykuł ukazał się pod tytułem *Cave Wars* (Wojny jaskiniowców) i tylko dolał oliwy do ognia, ponieważ grupa Action Squad oznajmiła, że w swoim przewodniku Brick przywłaszczył sobie jej misję. Brick zaprzeczył i obie strony spotkały się w sądzie; dysputa okazała się nowym i nieoczekiwanym wyzwaniem dla tych niegdyś radosnych, beztroskich i nieprzejmujących się zakazami wstępu śmiałków. Kiedy działalność grupy została upubliczniona i uregulowana, zmienił się jej charakter. Podążanie ścieżkami przetartymi przez innych i odkrywanie ich miejsc, nawet jeśli są one niebezpieczne, a przebywanie w nich jest nielegalne, to niewątpliwie przygoda – ale czy również poważna eksploracja?

Drażliwych tematów przybywa wraz z rosnącą popularnością odkrywania przestrzeni miejskiej. Dla większości członków ruchu kładzenie zbyt dużego nacisku na oryginalność i „bycie pierwszym" mija się z celem, bo przecież w całej zabawie nie chodzi o ściganie się, a przede wszystkim o dreszcz emocji towarzyszący wynajdywaniu niezwykłych miejsc w zwyczajnym mieście. Bradley Garrett, wykładowca geografii na Oksfordzie – i człowiek, który tematem eksploracji przestrzeni miejskiej zajmuje się na kartach geograficznych czasopism naukowych – wyjaśnia, że podstawowym źródłem zjawiska jest „pragnienie wolności emocjonalnej, potrzeba bezpośredniej ekspresji", a także „skojarzenie z zabawami z dzieciństwa". W 2012 roku Garrett przekuł swoją teorię w praktykę i wdrapał się na londyński wieżowiec Shard na miesiąc przed jego ukończeniem.

Brandon Schmittling, pomysłodawca *Survive DC*, wyjątkowej gry miejskiej, specyficznego i obejmującego swoim zasięgiem cały Waszyngton

berka dla dorosłych, potrzebę eksplorowania przestrzeni miejskiej tłumaczy inaczej. „Według mnie ludzie chcą wierzyć, że wiele miejsc nie zostało jeszcze odkrytych” – powiedział w wywiadzie dla „Newsweeka” i dodał, że badanie przestrzeni miejskiej pomaga „w wyzbywaniu się strachu przed miastem”.

Uderzająca w działalności eksploratorów przestrzeni miejskiej jest sympatia, jaką darzą odkrywane przez siebie, dotąd niekochane i porzucone miejsca. Pozują na obdartych desperatów, podczas gdy w rzeczywistości bardzo im zależy na znaleziskach: badają je i dokumentują, zwracając uwagę na szczegóły, i traktują z lekko bezceremonialnym, ale głębokim i szczerym szacunkiem. Są nie tyle punkowymi Magellanami, ile raczej miejskimi Humboldtami; zbierają, segregują i porównują informacje po to, by poszerzać perspektywy i czerpać więcej radości ze świata, przez który – i pod którym – przebiega więcej dróg, niż nam się wydaje.

Żeleznogorsk

56° 15’ 00” N; 93° 32’ 00” E

W kwietniu 2010 roku dwóch naukowców w białych kitlach złożyło kwiaty na prętach kontrolnych rdzenia reaktora jądrowego w Żeleznogorsku – mieście znajdującym się około trzech i pół tysiąca kilometrów na wschód od Moskwy i wybudowanym w latach pięćdziesiątych ubiegłego stulecia wyłącznie po to, by produkować w nim broń atomową. Przez czterdzieści siedem lat w tym oficjalnie nieistniejącym i zamkniętym dla świata mieście wytwarzano pluton do celów wojskowych. Ceremonia udekorowania reaktora kwiatami symbolizowała koniec pewnej epoki i mogła zostać odebrana jak pożegnanie z miastem, w którym los mieszkających tam niemal dziewięćdziesięciu tysięcy ludzi w taki czy inny sposób zależał od istnienia tamtejszych zakładów produkcyjnych.

Żeleznogorsk wybudowano na planie prostopadłych ulic. Jego szerokie bulwary emanują spokojem, powagą i trwałością. W przeszłości był zamkniętym miastem, nieistniejącym na sowieckich mapach, zresztą dziś też nie zawsze się go uwzględnia. Przez większość swojego istnienia nie miał nawet nazwy, opisywano go kodem „Krasnojarsk-26”, wskazującym na najbliższe, oddalone o sześćdziesiąt pięć kilometrów, sąsiednie miasto.

Istnienie Żeleznogorska potwierdzono oficjalnie dopiero w 1992 roku, kiedy specjalnym dekretem prezydent Borys Jelcyn odtajnił wszystkie rosyjskie zamknięte miasta.

Mimo to wciąż nie można po prostu wpaść z wizytą do Żeleznogorska: gospodarz, który chciałby przyjąć gościa z zewnątrz, musi wpierw napisać podanie do służby bezpieczeństwa i Federalnej Agencji Energii Atomowej i zaczekać na pozytywne rozpatrzenie prośby; nawet zwykli mieszkańcy Żeleznogorska muszą mieć pozwolenie na wjazd do miasta i wyjazd z niego. Co ciekawe, stan ten utrzymuje się z woli samych mieszkańców, którzy w referendum w 1996 roku opowiedzieli się za utrzymaniem statusu Żeleznogorska jako zamkniętego miasta. Tak oto historia rosyjskiego miasta przeczy stereotypowi, przez którego pryzmat postrzegamy życie w oficjalnie nieistniejących miejscowościach w państwach totalitarnych. Niefigurujące na mapach miast tajne obiekty i zamknięte osiedla pasowały jak ulał do paranoicznego sposobu myślenia komunistów. Tymczasem okazuje się, że także w czasach postkomunistycznych istnieją powody, dla których społeczność woli odgrodzić się od reszty świata. Dziś chodzi już nie o strzeżenie tajemnic państwowych, ale o kurczowe trzymanie się znanego stylu życia.

Zamknięte miasta należały do najszczodrzej finansowanych i najbardziej prestiżowych osiedli w Związku Radzieckim. Na zdolnych techników i naukowców czekały dobre, świetnie płatne stanowiska; zabiegano o nie, były szczytem marzeń. Obecnym mieszkańcom Żeleznogorska zależy na zachowaniu charakteru miasta: ciszy i spokoju, na zadbanym parku, malowniczym położeniu wśród lasów i wzgórz. Przekonali się, czym może się skończyć „otwarcie” Rosji, i nie chcą, by taki sam los spotkał ich miejscowość. W Żeleznogorsku na każdym kroku widać nostalgię za Sojuzem, jest to bowiem takie miejsce, jakie Związek Radziecki zawsze obiecywał swoim obywatelom. W nazwie strony internetowej zachwalającej mieszkanie w Żeleznogorsku – *Ostatni raj na ziemi* – nie ma cienia ironii. Roman Sołncew, pisarz pochodzący z Żeleznogorska, urok rodzinnego miasta określa jako „wspaniałe uczucie rozluźnienia, ciszy i spokoju duszy”. Sołncew podkreśla również „ostry kontrast względem brudnych od sadzy i hałaśliwych ośrodków przemysłowych i metropolii”.

Żeleznogorsk należy do klubu około czterdziestu „zamkniętych struktur administracyjno-terytorialnych”, w których mieszka mniej więcej milion

trzysta tysięcy Rosjan godzących się na los, który osobom z zewnątrz wydaje się narzucony. Jeden z byłych mieszkańców innego zamkniętego miasta, o kodzie „Kuznieck-12”, w odpowiedzi na pytanie, dlaczego co roku razem z córką odwiedza rodzinne strony, choć od pewnego czasu mieszka dosłownie na drugim końcu świata, bo aż w Stanach Zjednoczonych, powiedział: „Ponieważ to unikatowe miejsce, w którym moje dziecko może poznawać klimat małego miasteczka i doświadczać niezależności, a ponieważ wszyscy się tu znają, może też swobodnie chodzić na spacery po pięknej okolicy, nie bojąc się, że coś jej się stanie”.

Miasto Sarow, dawniej „Arzamas-16”, liczy dziewięćdziesiąt dwa tysiące mieszkańców i nadal, tak jak w czasach ZSRR, jest ważnym ośrodkiem produkcji pocisków nuklearnych. Zniknęło z map w 1946 roku, a w bliższych nam czasach jego mieszkańcy wywalczyli sobie prawo do zamknięcia przed światem wbrew prezydenckim dekretom. Przewodniczka po Sarowie, Swietłana Rubcowa, wyjaśnia rosyjskim dziennikarzom: „mieszkając w zamkniętym mieście, człowiek czuje się wygodnie i bezpiecznie – i ma wrażenie, że wszyscy tu stanowią jedną wielką rodzinę”. Sarow, tak jak wiele podobnych do niego zamkniętych miast, stanowi rosyjską enklawę, w tym przypadku leżącą w zróżnicowanej etnicznie i potencjalnie separatystycznej Mordowii. Pozostając w zamknięciu, „uchroniliśmy miasto przed chaosem”, mówi mieszkaniec Sarowa Dymitr Sładkow, urbanista z wykształcenia, który w 1992 roku przeprowadził się tam z Moskwy, uciekając przed stołecznym bałaganem.

W czasach, kiedy miasto, które chce pomyślnie się rozwijać, musi deklarować i podkreślać swoją otwartość, uparte trwanie przy zamknięciu przed światem może się wydawać przejawem krótkowzroczności i mizantropii. Chęć Sładkowa ucieczki od „chaosu” otwartego miasta nie jest zjawiskiem typowym dla Rosji; nie tylko tam buduje się zamknięte społeczności. Nowoczesne miasta stają się coraz bardziej nieprzewidywalne i obowiązuje w nich coraz więcej podziałów, toteż coraz większa liczba ich mieszkańców – oczywiście przede wszystkim tych, których na to stać – przenosi się na wieś, zamieniając ją w miejskie enklawy, albo zamieszkuje w grodzonych osiedlach, pozornie bezpiecznych przystaniach w granicach metropolii. Jeśli Żeleznogorsk nazwiemy nie „zamkniętym miastem”, lecz „grodzonym osiedlem”, naraz zamilknie jego historyczne echo, a sama

miejscowość stanie się przyczynkiem do rozważań nad nieufnością mieszkańców ośrodków miejskich i wyborami konsumentów.

Życie w ogrodzonej społeczności nie jest bynajmniej wolne od problemów. W Żeleznogorsku, kiedy już gość zostanie prześwietlony przez służbę bezpieczeństwa i wreszcie uzyska pozwolenie na wstęp do miasta, nie znajdzie tu zbyt wielu rozrywek: sprawę załatwiają kino „Ojczyzna" i jedna restauracja w centrum. Chcąc się zabawić, trzeba pojechać do oddalonego o sześćdziesiąt pięć kilometrów Krasnojarska. „W zamkniętym mieście trudno rozkręcić firmę – powiedziała jedna z mieszkanek Żeleznogorska w rozmowie z wysłannikiem dziennika „Rossijskaja Gazieta". – Samo założenie działalności wymaga wielu pozwoleń, dlatego biznesów mamy tu tyle, co kot napłakał".

Jaka przyszłość czeka zamknięte miasta? Żeleznogorsk, mimo iż stanowiący podstawę bytu jego mieszkańców zakład produkcji plutonu został zlikwidowany, zdołał odnaleźć się w nowej rzeczywistości i przyciągnąć inwestorów – między innymi z branży nowoczesnych technologii – dla których prywatność ma kluczowe znaczenie. Należy do nich wytwórca satelitów, z którego hal pochodzi trzy czwarte ogólnej liczby rosyjskich satelitów (w tym wszystkie satelity GPS). Urządzenia wyprodukowane w Żeleznogorsku są sprzedawane do Izraela, Indonezji, Kazachstanu i na Ukrainę. Miasto może się też zdecydować na składowanie na swoim terenie odpadów radioaktywnych. Budowane obecnie podziemne laboratorium ma w przyszłości przeprowadzić badania, które pokażą, ile dokładnie odpadów są w stanie przyjąć otaczające miasto wzgórza. W innym miejscu tego rodzaju inwestycje budziłyby ogromne kontrowersje, ale nie w Żeleznogorsku, bo jego mieszkańcy są ulegli, przyzwyczaili się nie kwestionować poczynań władzy. Spośród dziewięćdziesięciu tysięcy osób oficjalnie mieszkających w mieście tylko pięćdziesięcioro w ogóle zainteresowało się pomysłem składowania odpadów radioaktywnych w bliskim sąsiedztwie.

Żeleznogorskowi udała się transformacja z komunistycznego zamkniętego miasta w kapitalistyczne, też zamknięte. Szerokie aleje nadal wyglądają jak dekoracje z radzieckiego filmu, ale samo miejsce mniej mówi o przeszłości, a więcej o wysokich wymaganiach, jakie współczesne przedsiębiorstwa i współcześni obywatele mają względem prywatności i bezpieczeństwa.

Podziemne miasta Kapadocji

38° 22’ 25” N; 34° 44’ 07” E

Przez pewien czas wydawało się, że historia ludzkich domostw będzie historią nieustannego pięcia się – że będziemy odrywali się od ziemi, wychodzili z ciemnych pieczar, wznosili się coraz wyżej i wyżej. Wymarzonym nowoczesnym lokum jest przecież luksusowy apartament na ostatnim piętrze, a nie dziura w ziemi. Tak wysokie aspiracje wymagają, rzecz jasna, istnienia skomplikowanej plątaniny podziemnych instalacji – rur i kabli – oraz infrastruktury – hałaśliwego metra, kiepsko oświetlonych korytarzy i przewodów wentylacyjnych – obsługującej mieszkańców skąpanej w słońcu powierzchni i nieodmiennie traktowanej z wyższością, pogardzanej jako użyteczna, ale odstręczająca i głupsza siostra naziemnej metropolii.

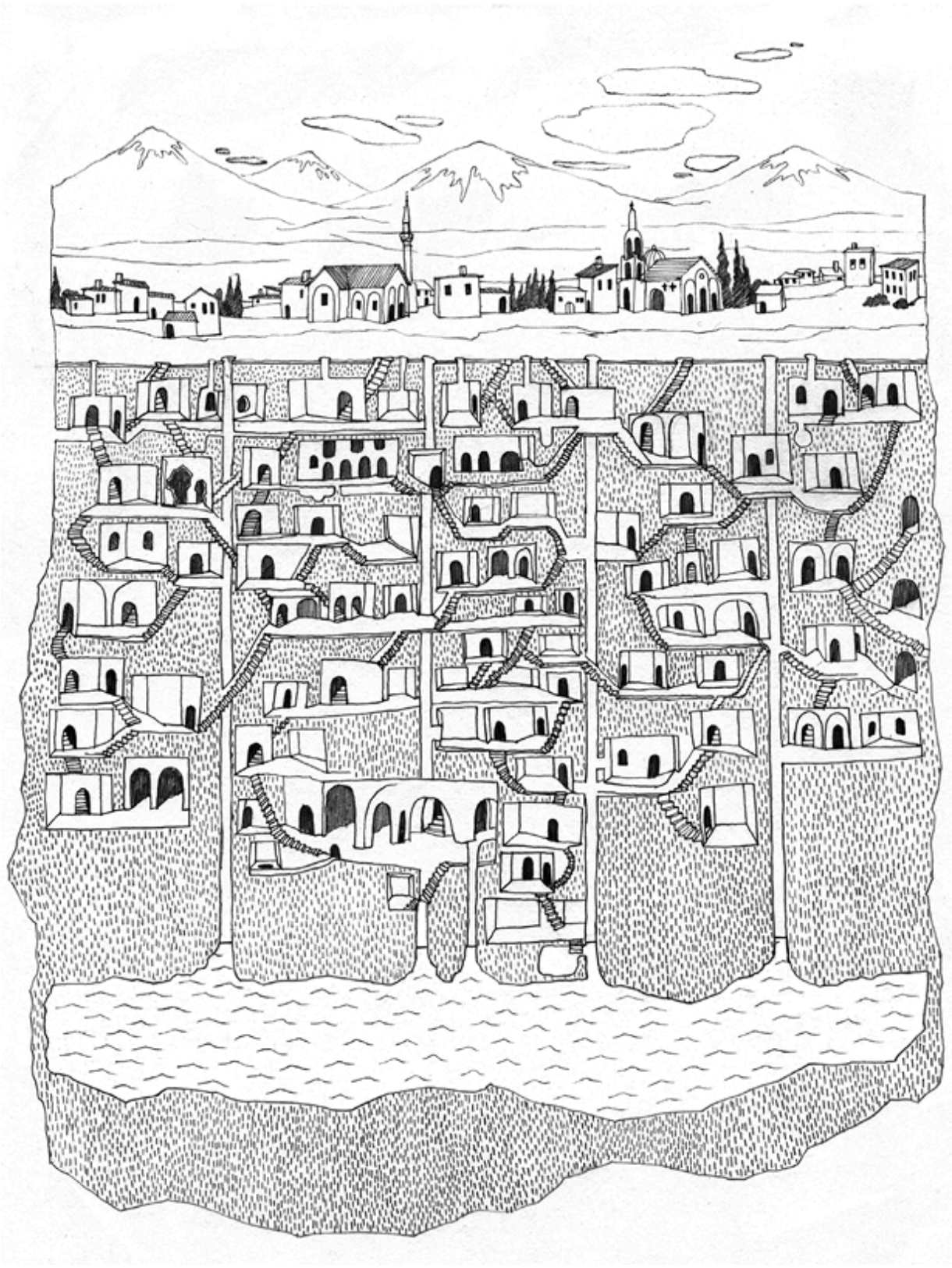

Obecnie wyraźna linia podziału znika, podziemia coraz bardziej kuszą. Jedyne bezpieczne schronienie w czasach, kiedy realnie groziła światu zagłada nuklearna, znajdowało się pod ziemią. Dziś znów schodzimy pod powierzchnię, bo na niej zaczyna już brakować miejsca. Czujemy się tam bezpiecznie, znajdujemy wytchnienie od zanieczyszczeń, umykamy przed chaosem, przed przerażającą, pokaleczoną powierzchnią; tam możemy kontrolować temperaturę powietrza i mikroklimat. Nowe pomysły związane z podziemnymi miastami znajdują amatorów na całym świecie, od Holandii po Chiny. Założyciele holenderskiej fundacji Amsterdam Ondergronds (Podziemny Amsterdam) twierdzą, że ludzie „rozumieją mistyczny charakter podziemi". Te słowa zmuszają do zastanowienia, sugerują bowiem, że schodzimy nie z przyczyn *stricte* technicznych albo ze względu na niesprzyjającą aurę, ale dlatego, że pod powierzchnią ziemi znajduje się coś, co nas w jakiś sposób pociąga.

Podziemnych miast, co zrozumiałe, próżno szukać na typowych mapach, te bowiem nadają się do odzwierciedlania powierzchni, ale już z oddaniem tego, co znajduje się pod nią – na przykład wielopoziomowego miasta – mają poważny kłopot. To między innymi dlatego nie dostrzegamy miejsc ukrytych pod ziemią, zapominamy o nich, by po latach na nowo je odkrywać. Przykładem niech będą podziemne starożytne miasta Kapadocji w środkowej Turcji, których od trzydziestu do dwustu – według skrajnie różnych szacunków miejscowych naukowców – wciąż jeszcze czeka na odkrycie. Liczba ta – abstrahując od rozbieżności i mimo iż oprócz pełnoprawnych miast obejmuje również wioski i pojedyncze, wykute w skałach klasztory – pokazuje, że do tej pory zapoznaliśmy się jedynie z niewielkim fragmentem podziemnej spuścizny tego regionu. Największe znane nam skryte pod powierzchnią ziemi miasto, Derinkuyu, odnaleziono w 1965 roku; do dziś odkopano je tylko częściowo. Odnaleziono je zresztą zupełnie przypadkiem: otóż pewien mężczyzna chciał oczyścić tylną ścianę swojego wykutego w skale domu. Ściana nagle runęła, odsłaniając przejście do ukrytego pomieszczenia, z którego można było się dostać do następnego i dalej, do kolejnych. Okazało się, że Derinkuyu obejmuje osiem poziomów podziemnych pomieszczeń, w których schronienie mogło znaleźć nawet

trzydzieści tysięcy osób. Miasto miało kwatery mieszkalne na górnych poziomach, a niżej tłocznie win i oleju, składy żywności i stajnie. Na dół, gdzie znajdowały się piwnice, magazyny i wykuty na planie krzyża kościół (na najniższym poziomie), można było dostać się schodami z trzeciego poziomu. Derinkuyu to również liczne, wielokilometrowe tunele, z których jeden biegnie dziesięć kilometrów na południe, do Kaymaklı, kolejnego dużego podziemnego miasta.

Elementem stanowiącym centralny punkt większości wznoszonych na powierzchni ziemi budynków są kominy. Budowniczowie podziemnych miast Kapadocji wzięli ten model i odwrócili go do góry nogami, to znaczy najpierw wydrążyli przewody wentylacyjne, a dopiero potem wykopali odchodzące od nich pomieszczenia, korytarze, stajnie i kwatery sypialne.

Wskazówki co do przyczyn, dla których powstały te niezwykłe konstrukcje, znajdziemy w ich nazwach: Derinkuyu to po turecku „głęboka studnia”; dawniej miasto nazywało się Melengübü, co znaczyło „trudne życie”. Skałą będącą budulcem tego obszaru jest stwardniały popiół wulkaniczny, zwany tufem, stabilny i zwięzły, doskonale nadający się do drążenia. W I wieku przed naszą erą rzymski architekt Witruwiusz wysunął tezę, że konstruktorami skalnych domów w Kapadocji byli Frygijczycy, którzy stworzyli to dzieło pół tysiąca lat wcześniej. Witruwiusz napisał: „Frygijczycy zaś, którzy mieszkają na równinach i z braku lasów nie mają budulca, szukają wzniesień naturalnych. Drążąc je wewnątrz i kopiąc korytarze, rozszerzają przestrzeń mieszkalną tak daleko, jak na to pozwalają warunki terenu”[11]. Mimo to wciąż nie udało się z całą pewnością ustalić autorów miejscowego zwyczaju drążenia domów pod ziemią. Słynny niemiecki archeolog Heinrich Schliemann zgodził się z Witruwiuszem, ale niektórzy jego współcześni koledzy uważają, że należy sięgnąć dalej, do Hetytów, żyjących tysiąc lat przed Frygijczykami. Niezależnie od tego, kto pierwszy wpadł na pomysł zbudowania podziemnego miasta, Derinkuyu i Kaymaklı nie wybudowali ani Hetyci, ani Frygijczycy, tylko chrześcijanie, którzy drążyli je, począwszy od VIII wieku naszej ery. W owym czasie Kapadocja była położona na niespokojnych kresach cesarstwa bizantyńskiego, a społeczność chrześcijańska, która tam mieszkała, regularnie była nękana najazdami obcych wojsk i napaściami bandytów. Szukając wyjścia z sytuacji, jakiejś ucieczki przed nieustannym

zagrożeniem, miejscowi zeszli do podziemi, utworzyli sieć sal i korytarzy zdolnych pomieścić całe miasta.

Derinkuyu i Kaymaklı to konstrukcje obronne: mają niewielkie otwory wejściowe, dostęp do poszczególnych poziomów można zagrodzić potężnymi głazami. Miejsca na powierzchni ziemi, w których znajdują się ujścia licznych przewodów wentylacyjnych, starannie zamaskowano. Na dolnych poziomach ulokowano zbiorniki na wodę i studnie, co pozwala sądzić, że miasta drążono z myślą o długim zamieszkiwaniu. Niestety, nie wiemy, jak długo w nich przebywano. Badacze sugerują, że powinniśmy traktować podziemne miasta jak tymczasowe kryjówki na wypadek napaści, na tyle obszerne, by zmieścili się w nich ludzie, zwierzęta i cały dobytek. Zajmowano je raczej przez krótki czas, tylko wtedy, kiedy przebywanie na powierzchni było zbyt niebezpieczne.

Niektóre nawyki przechodzą z pokolenia na pokolenie i doprawdy trudno się ich pozbyć, toteż nawet dziś najwyżej położone części podziemnego Derinkuyu, wydrążone pod stojącym na powierzchni miastem o takiej samej nazwie, wciąż służą jako magazyny i stajnie. Wiele wejść do starożytnego Derinkuyu znajduje się w prywatnych domach. Miasto wciąż korzysta z wykopanych przed setkami lat studni, czerpiąc z nich wodę poprzez kominy wentylacyjne. Tradycja podziemnego budownictwa w Kapadocji jest wciąż żywa: w ubiegłym wieku wybudowano tam ogromne magazyny do przechowywania owoców i warzyw – oczywiście pod powierzchnią ziemi; wiosną i jesienią składuje się w tych naturalnych chłodniach na przykład tureckie cytryny i ziemniaki.

Współczesne echa dawnych rozwiązań dowodzą ciągłości tradycji, ale niosą ze sobą też inny, bardziej niewygodny przekaz, stanowią bowiem symbol religijnego pluralizmu, odrzuconego przez przyszły czysto muzułmański naród. Przez ostatnie pięćset lat liczebność chrześcijańskiej społeczności w Kapadocji znacznie się zmniejszyła, a jedni z ostatnich jej przedstawicieli wyjechali z Turcji po 1923 roku, po utworzeniu republiki i wymianie ludności z Grecją. Z mapy zniknęły niemal wszystkie istniejące na powierzchni ziemi chrześcijańskie wsie i dziś jedne z nielicznych miejsc w Turcji, gdzie zachowały się ślady chrześcijańskiego osadnictwa – obecnego tam od dwóch tysięcy lat – odnajdziemy wyłącznie w podziemnych opustoszałych miastach.

Takie miejsca przywołują wspomnienia przeszłości zepchniętej na dalszy plan, ale nie zapomnianej. Starożytne chrześcijańskie labirynty przyciągają coraz więcej turystów, zarówno Turków, jak i obcokrajowców. To, że symbolizują sklejone karty historii Turcji, do pewnego stopnia tłumaczy ich popularność. Ale zawdzięczają ją również swojemu „mistycznemu charakterowi". Schodząc w dół, ku ciemności, czujemy, że dotykamy czegoś naprawdę archaicznego; czujemy lekkie podniecenie, ciarki na plecach i to osobliwe, wprawiające w konsternację pragnienie schodzenia coraz niżej. Podróż w głąb podziemnego miasta jest zarazem osobistą wyprawą i wspólnym dla całego naszego gatunku powrotem do pracywilizacji, a może nawet do tego, co przedludzkie. Michael Moorcock w *Mother London* (Matka Londyn) i Peter Ackroyd w *London Under* (Londyn od spodu) postrzegają podziemia jako źródło strachu i pożądania, mroczną krynicę możliwości. „Wszystko, co napisano na temat podziemi, to prawda", stwierdza Ackroyd i snuje rozważania o odludnej rasie zamieszkującej londyńskie tunele od czasów wielkiego pożaru Londynu. Dziś, kiedy podziemne miasta Kapadocji jawią nam się jako starożytny przykład współczesnego trendu, a przestrzeń znajdującą się pod powierzchnią ziemi użytkujemy w coraz bardziej praktyczny sposób – przecież deweloperzy od lat kreślą plany podziemnych osiedli – musimy nauczyć się wyrażać swoje oczekiwania w stosunku do tych miejsc. Kapadocja przypomina również o tym, że na mieszkanie pod ziemią decydują się jedynie ci, którzy naprawdę się boją.

Lisia nora

54° 58' 54" N; 1° 35' 21" W

Zwierzęta budują gniazda i nory i wydeptują ścieżki pośród ludzkich siedlisk. Czasem, kiedy widzę na przykład miejskiego lisa, mam ochotę pobiec za nim i przekonać się, dokąd zmierza. Jednego z tych małych rudzielców spotykam w uliczce na tyłach mojego domu w Newcastle. Podobno mieszka w rododendronach i ostrokrzewach, gęsto porastających zachodni skraj Heaton Park. Pewnego dnia poszedłem tam, rozchyliłem gałęzie i zajrzałem do środka. Zobaczyłem plastikowe torby ze śmieciami, gnijące wiklinowe łóżeczko dla dziecka, a nieco dalej ogrodzenie dużej

posesji. Pomyślałem, że lisia nora musi się znajdować tuż przy parkanie albo pod jednym z wielkich, gęstych krzewów.

Na wsi lisy w ciągu dnia odpoczywają przeważnie w lasach i na polach. Jedynie lisice wracają na dłużej do nor, właściwie tylko po to, by urodzić młode. Lisy pospolite nie są wybredne, jeśli chodzi o lokalizację nory, chętnie korzystają na przykład z opuszczonych jam borsuczych. Co innego lisy miejskie. Na dziewięciu hektarach Heaton Park, w większości porośniętego drzewami, tu i tam poprzecinanego boiskami, nie uświadczysz borsuków, a tym bardziej ich jam[12]. Tutejsze lisy muszą same kopać nory, szukać dziupli, mościć legowiska pod starymi szopami.

Lisy lubią, kiedy wejście do nory znajduje się od południa. Wolą kopać w lekkiej, suchej ziemi i zwykle zapewniają sobie kilka wyjść awaryjnych. Pamiętając o tym wszystkim, doszedłem do wniosku, że nora, którą miałem przed sobą, nie należała do najbardziej udanych: znajdowała się pod jednym z drzew, prowadziło do niej wykopane byle jak i tonące w półmroku wejście o szerokości mniej więcej trzydziestu centymetrów. Wewnątrz zobaczyłem niewyraźne odbicie światła od powierzchni wody. Kucnąłem i włożyłem rękę do środka. Moja dłoń trafiła na zimną kałużę. Aha, zimowy deszcz zalał norę. Widocznie lis opuścił legowisko i przeniósł się gdzie indziej.

Odnalezienie domu zwierzęcia, nawet opuszczonego, to niezwykłe przeżycie. Któż z nas nie podniesie gniazda, które spadło z drzewa, nie sprawdzi, ile waży, nie zerknie do środka i nie dotknie podściółki? Dom zwierząt fascynuje nas, nawet jeśli chcemy go zniszczyć; pociąga nas kameralność gniazda os, intrygują tunele mrowiska. Pochłania nas nie tylko subtelność i misterność tych miejsc, lecz także ich niespożyta energia. Szukając lisiej nory na obrzeżach parku, początkowo czułem się, jakbym polował na delikatny i niezwykle rzadki gatunek. Gdybyśmy przestali zalewać świat betonem i asfaltem, wkrótce wszystkie nasze domy uległyby cichej, powolnej kolonizacji. Jak na gatunek przywiązujący się emocjonalnie do miejsc, zastanawiająco często snujemy fantazje o tym, jak nasz świat opanowują flora i fauna. Wizja ta przeraża nas i zarazem fascynuje. W *Zatopionym świecie* J.G. Ballard dowodzi, że w najgłębszych, najstarszych zakamarkach ludzkiego mózgu istnieje atawistyczne pragnienie zanurzenia się w świecie roślin i zwierząt, wynikające z genetycznej pamięci wyłonienia się życia w jego początkach. Twierdzenie

Ballarda można zestawić z przekonaniem biologa Edwarda O. Wilsona o tym, że każdy człowiek jest z natury biofilem i czuje zakodowaną ewolucyjnie miłość do wszelkiego życia. Dodam tylko, że ponure fantazje o zemście przyrody można odczytywać również jako efekt uboczny supresji natury. Odpychamy inne gatunki coraz dalej od siebie i dlatego tak bardzo przeraża nas myśl o ich powrocie.

Chcemy dzielić się przestrzenią miejską, mimo iż obstajemy przy tym, że należy ona w całości do nas. Cieszy nas i niepokoi wzrost liczby lisów miejskich; w Wielkiej Brytanii zwierzęta te spotyka się w miastach od lat trzydziestych ubiegłego wieku i obecnie szacuje się, że gęstość ich populacji wynosi do pięciu grup rodzinnych na kilometr kwadratowy. Przez wiele lat sądzono, że lisy miejskie to typowo brytyjskie zjawisko, ale w latach siedemdziesiątych zaczęto widywać je w miastach na całym świecie: w Oslo, Aarhus, Stuttgarcie, Toronto, Sapporo. Obserwujący te zwierzęta ekolodzy zauważyli, że pomiędzy miejskimi a wiejskimi lisami istnieją tak duże różnice, że – jak napisano w jednym z raportów – „przedstawiciele obu gatunków bardzo rzadko przekraczają granicę pomiędzy przestrzenią miejską a podmiejską”. Inni badacze odkryli „ograniczoną wymianę materiału genetycznego pomiędzy lisami miejskimi a wiejskimi”. Miejski lis odżywia się inaczej niż jego wiejski kuzyn, ma również inne nastawienie do ludzi i ich otoczenia. Ekolodzy przeprowadzili dwa szeroko zakrojone badania nad tak zwanym dziennym schronieniem lisów. Podczas pierwszego, które odbyło się w Londynie w 1977 roku, odnaleziono kryjówki trzystu siedemdziesięciu ośmiu lisów. Prawie sześćdziesiąt procent z nich żyło w „ogrodach, szopach, piwnicach i domach”. Pozostałe znajdowały kryjówki w stacjach oczyszczalni ścieków, w składach materiałów budowlanych, na pustych działkach i w parkach. Względną popularnością cieszyły się również cmentarze i okolice torów kolejowych. Trudno uwierzyć, że na co dzień tak rzadko natykamy się w mieście na te zwierzęta.

We wnioskach z drugiego, nowszego badania, przeprowadzonego w Melbourne, napisano, że lisy preferują „tereny gęsto porośnięte dziką roślinnością”. „Usunięcie dzikiej roślinności – stwierdzili australijscy eksperci – przyczyni się do spadku liczebności miejskich lisów”. W Australii często traktuje się lisy jak szkodniki. Nawiasem mówiąc, można odnieść wrażenie, że ostatnio jednym z podstawowych celów

ekologów identyfikujących siedliska zwierząt jest hamowanie dalszego wzrostu ich populacji. W Europie lisy miejskie zawdzięczają zwiększone zainteresowanie naukowców między innymi odkryciu, że mogą przenosić tasiemca lisiego, wywołującego u ludzi groźną bąblowicę wielojamową, chorobę podobną do guza nowotworowego i wymagającą zastosowania chemioterapii w leczeniu. Wprawdzie pracownicy Instytutu Parazytologii Uniwersytetu w Zurychu udowodnili, że metodą pozwalającą najskuteczniej i bez naruszania równowagi ekologicznej pozbyć się problemu jest podrzucanie lisom przynęt z środkiem pomagającym usunąć tasiemca z organizmu, ale mimo to zagrożenie ze strony przenoszących pasożyty lisów miejskich stanowi koronny argument tych, którzy najchętniej wypowiedzieliby tym stworzeniom wojnę totalną. Brytyjczycy, mający najdłuższe doświadczenie w kontaktach z miejskimi lisami, uznali, że ktoś, kto poważnie myśli o wytępieniu całej populacji tych zwierząt, z góry stawia się na przegranej pozycji. Lokalne władze zrezygnowały z kosztownej operacji i wkrótce przekonały się, że populacja lisów miejskich osiągnęła stan równowagi, akceptowalny zarówno dla większości ludzi, jak i dla zwierząt.

Wygramoliłem się z krzaków; przedarcie się tyłem i w kucki przez gęste zarośla nie było łatwe. Dłoń miałem mokrą od brudnej wody i czułem się, przyznam, trochę zawiedziony. Miejski lis to zwierzę, które tak doskonale opanowało sztukę kamuflażu w miejskim środowisku, że kiedy go zobaczymy, jesteśmy zaskoczeni. Tego samego dnia rano przeczytałem w gazecie, że w Londynie budowlańcy znaleźli młodego lisa, który mieszkał na siedemdziesiątym drugim piętrze nieukończonego Sharda, najwyższego wieżowca w Wielkiej Brytanii, i żywił się resztkami posiłków robotników. Znalazcy postanowili oddać rudzielca do schroniska Riverside, którego pracownicy wypuścili lisa na wolność – czyli do miasta. Gest ten należy rozumieć następująco: czasem mamy opory przed dzieleniem się miastem z lisami, ale mimo to powinniśmy pogodzić się z ich obecnością. Wypuszczenie zwierzęcia było również głosem w dyskusji ekologicznej, opowiedzeniem się za poglądem, iż topofilia i biofilia istnieją we wzajemnej równowadze albo, mówiąc inaczej, że akceptując miasto jako środowisko zamieszkane przez wiele gatunków stworzeń, wzbogacamy, ożywiamy i czynimy szlachetniejszym nasze poczucie miejsca.

Cmentarz Północny w Manili

14° 37’ 53” N; 120° 59’ 20” E

Twórcami większości naszych ulic, budynków, miast i państw są ludzie, którzy już nie żyją. To oni nadali również miana tym dziełom. Żywi krążą po tym królestwie niczym duchy. Można się z tym poczuć nieswojo w czasach, które mitologizują żywych jako przebojowe bóstwa, potrafiące przekształcić i zrewolucjonizować wszystko, czego się tkną. Nasz strach przed zmarłymi można tłumaczyć rozdźwiękiem pomiędzy *stricte* fizycznym postrzeganiem samego siebie a niejasnym poczuciem własnej niematerialności. Czujemy się niezadowoleni z tego, że umarli mają nad nami dużą władzę, nie podoba nam się łatwość, z jaką potrafią zredukować nas do niewyraźnych cieni.

Jednym ze sposobów wyzbycia się grobowej zawiści jest pójście na kompromis ze zmarłymi. Przestaniemy się ich bać, jeśli pozwolą nam wejść do swojego miejsca spoczynku. Dzięki takiemu układowi żywi mogą zyskać przestrzeń życiową i wyzbyć się strachu. Przyjrzyjmy się Cmentarzowi Północnemu w Manili, gęsto zaludnionej stolicy Filipin. Jest on przykładem miejskiego środowiska zupełnie nowego typu, cmentarzem-osiedlem, miejscem będącym domem dla trzech do sześciu tysięcy żywych ludzi, mieszkających w grobowcach, tuż obok zmarłych, i między nimi. Wysokie czynsze za stołeczne mieszkania czynią z dostępnego na cmentarzu miejsca atrakcyjną alternatywę dla biednych. Nie jest to jednak po prostu kolejny przypadek niebywałej zaradności osób żyjących w skrajnym ubóstwie, chodzi też o zmianę przestrzennych relacji między żywymi a zmarłymi.

Wzrastająca liczba ludzi i coraz większe trudności w utrzymaniu się z uprawy ziemi sprawiają, że miasta na całym świecie puchną i gęstnieją. Wysoki popyt napędza wzrost cen wynajmu, co czyni mieszkania nieosiągalnymi dla większości przeciętnych zjadaczy chleba. Jedno z ciekawych rozwiązań tego problemu polega na zajmowaniu miejsca na cmentarzu (oczywiście nie w sensie ostatecznym). W Europie i Stanach Zjednoczonych zjawisko to nie jest aż tak widoczne, ale także istnieje. Sam miałem znajomego, który przez wiele lat mieszkał w kamperze zaparkowanym na cmentarzu w hrabstwie Northumberland. Chyba nie

muszę dodawać, że jego wybór wydawał nam się bardzo ekscentryczny. Ale cóż, jeśli znajdziesz odpowiednie miejsce, możesz sobie mieszkać prawie za darmo.

Dopiero podróż na Wschód uświadamia nam istnienie całych, często bardzo licznych społeczności zamieszkujących miejsca pochówku. Znajdziemy je choćby w Indiach, Pakistanie, Czeczenii, a także, od niedawna, w Libii, gdzie prawie dwieście rodzin osiadło na cmentarzu Al-Ghuraba w Trypolisie. Podobnie jak wielu mieszkańców nekropolii, są to bardzo biedni ludzie, którzy po prostu nie mają dokąd pójść. Ale przykład najbardziej znanego i na pewno największego „żywego cmentarza", kairskiego el-Arafa, Miasta Umarłych, pokazuje, że takie miejsca to coś więcej niż tylko azyl dla zdesperowanych. Z czasem mogą się one przekształcić w dobrze prosperujące i zróżnicowane ośrodki. Na żywą populację pięciu cmentarzy tworzących kompleks Miasta Umarłych składa się około pięćdziesięciu tysięcy mieszkańców grobowców i ponad pół miliona osób, które zbudowały domostwa pomiędzy grobami. Gdyby trzeba było wykorzystać typowo angielskie kamienie nagrobne, cmentarna społeczność raczej nigdy by nie powstała, ponieważ w Wielkiej Brytanii okazałe grobowce są rzadkością, wznoszą je przeważnie możne rody dla swych najznamienitszych przedstawicieli, natomiast zwykli ludzie zadowalają się nagrobkiem nie większym niż skrobaczka do butów. Egipskie cmentarze projektuje się z myślą nie tylko o zmarłych: tradycja nakazuje żałobnikom, zwłaszcza kobietom należącym do rodziny nieboszczyka, zamieszkanie na czterdzieści dni w grobowcu; ten musi być więc odpowiednio duży, mieć kilka pomieszczeń, a nierzadko nawet dziedziniec. Egipcjanie od zamierzchłych czasów postrzegają cmentarze jako miejsce spotkań żywych z umarłymi, dlatego Miasto Umarłych ma infrastrukturę jak każda inna dzielnica: prąd, bieżącą wodę, sklepy, szkoły, przychodnię z oddziałem położniczym. Począwszy od lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku, kiedy Miasto Umarłych zyskało pierwszych stałych żywych mieszkańców, przychodzą w nim na świat nowe pokolenia Egipcjan, którzy zamieszkują w grobowcach, tam gdzie spoczywają ich rodzice i dziadkowie. Włoska antropolog Anna Tozzi di Marco, która przez pewien czas mieszkała w Mieście Umarłych i badała jego fenomen, nie zgadza się z twierdzeniem, że cmentarz stanowi schronienie dla zdesperowanych. W swoich książkach maluje obraz nekropolii mającej

własną strukturę klasową i będącej osobliwym miastem w mieście; dającej możliwość nieodpłatnego zamieszkania w stolicy.

Miasto Umarłych jest w pełni wykształconą dzielnicą, podmiejskim osiedlem, położonym dość blisko ścisłego centrum stolicy. Natomiast Cmentarz Północny w Manili jest sporo mniejszy i bardziej wyspecjalizowany. Historia jego zasiedlania sięga połowy dwudziestego wieku. Na cmentarzu można zamieszkać w grobowcach, tak jak w Mieście Umarłych, tyle że te manilskie są z reguły dużo mniej okazałe niż kairskie. Rozwijająca się od sześćdziesięciu lat manilska nekropolia ma własne małe dzielnice, niektóre imponują bogactwem i są zdecydowanie bezpieczniejsze niż obrzeżne slumsy. Dysponuje również udogodnieniami: sklepami, restauracją, obiektami sportowymi; prąd dostarczają nielegalnie pociągnięte kable. Podczas gdy Miasto Umarłych wydaje się bezboleśnie wrastać w egipską tkankę, Cmentarz Północny jest na Filipinach miejscem pionierskim, transgresywnym. Kairska islamska i przed-islamska tradycja długiego opłakiwania zmarłego, połączonego z wielodniowym przebywaniem w grobowcu razem z nieboszczykiem, nie ma odpowiednika w zwyczajach panujących w katolickiej Manili, dlatego mieszkańcy filipińskiej nekropolii postrzegają siebie jako obcych, czują się intruzami. Starają się być użyteczni w codziennym życiu cmentarza, dbają o rodzinne grobowce, podejmują się różnych zadań, takich jak noszenie trumien albo zamurowywanie krypt. W czasie 1 i 2 listopada, czyli we Wszystkich Świętych i w Dzień Zaduszny, kiedy Filipińczycy odwiedzają groby bliskich, żyjący mieszkańcy Cmentarza Północnego usuwają się w cień i chwilowo przenoszą gdzie indziej. Na co dzień zachowują się jak zamknięta społeczność strażników nekropolii. Zarówno do zmarłych, jak i do żywych mają pełen szacunku, choć podszyty lękiem stosunek.

„Czasem wychodzimy poza bramy cmentarza, żeby pospacerować ulicami miasta, ale przeważnie nie ruszamy się z miejsca” – powiedział podróżującemu dziennikarzowi Kitowi Gilletowi Bobby Jimenez, jeden z mieszkańców Cmentarza Północnego w Manili. Opisał niepewność towarzyszącą życiu w nekropolii: „Zdarza się, że policja robi naloty, dlatego jeśli się zamieszkało w grobowcu, warto mieć na to zgodę rodziny zmarłego. Jeżeli właściciele grobowca spiszą oświadczenie albo dostaniesz od nich akt notarialny stwierdzający, że możesz tam mieszkać, to wszystko w porządku”. Clare Ventura, która urodziła się na cmentarzu i wychowała

na nim trójkę dzieci, mówi: „Musiałam się nauczyć lubić to życie”. „Tu przynajmniej mam szansę cokolwiek zarobić – dodaje w wywiadzie dla amerykańskiego National Public Radio. – Trzeba się przyzwyczaić. Tutaj jest dużo bezpieczniej niż na zewnątrz”. Inni mieszkańcy grobowców, na przykład Boyet Zapata, skarżą się, że niespokojne duchy zmarłych wtrącają się do życia żywych, a czasem wręcz opętują ich ciała.

Mieszkańcy Cmentarza Północnego dogadali się, jeśli można tak powiedzieć, z nieboszczykami. Ich wzajemne relacje opierają się na szacunku i trosce: żywi dbają o miejsca spoczynku martwych, a w zamian duchy przeważnie zostawiają ich w spokoju. W ostatnich latach spokój mieszkańców nekropolii burzą jednak nie duchy zmarłych, lecz liczni niechciani współlokatorzy cmentarza, przede wszystkim alkoholicy i narkomani. Nocując w grobowcach, intruzi nie zawsze zachowują się godnie, do tego zamęczają odwiedzających groby żebraniem i przeszkadzają w pochówkach. Ich postępowanie zakłóca równowagę, potrzebną do tego, aby Cmentarz Północny pozostał miejscem przyjaznym zarówno żywym, jak i zmarłym. Napływ niepożądanego elementu do nekropolii pobudza władze miasta do działania, pojawiają się zapowiedzi oczyszczenia cmentarza ze wszystkich żywych mieszkańców. Wyrzucenie od pokoleń dbających o to miejsce ludzi wprost do wrogiego dla nich świata byłoby jawną niesprawiedliwością. Ale nawet jeśli do tego dojdzie, oni i tak szybko znajdą sposób, by na nowo zasiedlić cmentarz. Czynsze za lokale mieszkalne w stolicy utrzymują się na bardzo wysokim poziomie, dlatego dla wielu ludzi mieszkanie ze zmarłymi pozostaje jednym z niewielu sposobów na utrzymanie się w mieście.

Wyspa North Sentinel

11° 33’ 20” N; 92° 14’ 77” E

Dzicy w liczbie ponad pięćdziesięciu, uzbrojeni w różnego rodzaju broń własnej produkcji, płyną w naszym kierunku na dwóch albo trzech drewnianych łodziach. Istnieje obawa, że o zachodzie słońca wejdą na pokład. Życie członków załogi w niebezpieczeństwie.

Wezwanie pomocy o takiej treści odebrało 5 sierpnia 1981 roku towarzystwo żeglugowe Regent w Hongkongu. Wiadomość nadał kapitan

towarowca MV „Primrose”, płynącego przez Zatokę Bengalską w kierunku Australii. Statek wbił się w rafę koralową i utknął około stu metrów od porośniętego gęstym lasem brzegu. „Primrose” trafił na jedyną na świecie wyspę w całości zamieszkaną przez autochtoniczne, nietknięte cywilizacją plemię. Szacuje się, że ma ono około stu członków, ale nie znamy jego języka, religii ani zwyczajów. Mieszkańców tej z grubsza kwadratowej, szerokiej na osiem kilometrów wyspy świat zewnętrzny nazywa Sentinelczykami. Wyspa leży około tysiąca dwustu kilometrów na wschód od Indii, nosi miano North Sentinel i należy do archipelagu Andamanów, wchodzącego w skład indyjskiego terytorium związkowego Andamany i Nikobary.

Kapitan „Primrose” miał powody do obaw. Typową reakcją Sentinelczyków na widok intruzów jest bowiem grad strzał. Tym razem jednak morze okazało się na tyle wzburzone, że skutecznie utrudniło zadanie tubylcom, ich łodziom i strzałom bez lotek – o zasięgu zaledwie czterdziestu metrów – tak że salwa z łuków nawet nie doleciała do statku. Dopiero po siedmiu długich dniach cywilne śmigłowce uratowały trzydziestotrzyosobową załogę towarowca.

Z badań DNA przeprowadzonych na spokrewnionych z Sentinelczykami plemionach zamieszkujących inne wyspy w archipelagu Andamanów wynika, że przodkowie dzisiejszych mieszkańców North Sentinel przypłynęli z Afryki przed mniej więcej sześćdziesięcioma tysiącami lat. Wyspa stanowi więc ostatni szaniec starożytnego ludu. I rzeczywiście jest niczym forteca: nie ma naturalnych przystani, otaczają ją rafy i oblewają, wzburzone przez okrągły rok, wody oceanu. Przez wiele lat wszelkie próby podpłynięcia do wyspy niezmiennie spotykały się z wrogością autochtonów. W 1974 roku pewien reżyser filmowy został trafiony strzałą w udo, kiedy układał na plaży podarki dla Sentinelczyków: garnki, patelnie, żywego prosiaka i zabawki. W latach osiemdziesiątych i na początku dziewięćdziesiątych XX wieku władze indyjskie poczyniły wysiłki, by przekonać do siebie wyspiarzy. Antropolodzy i przedstawiciele miejscowych władz regularnie lądowali na brzegu North Sentinel, przynosząc ze sobą prezenty. Po wielu nieudanych próbach wreszcie nastąpił przełom: 8 stycznia 1991 roku ukazujący się na Andamanach dziennik „Daily Telegrams” ogłosił na pierwszej stronie wielkimi literami: PIERWSZY PRZYJAZNY KONTAKT Z SENTINELCZYKAMI!

W artykule opisano zdarzenie, w którym urzędnicy, zostawiwszy na plaży zwyczajowe prezenty – worek orzechów kokosowych – i wróciwszy do łodzi motorowej, widzieli, jak Sentinelczycy wychodzą z lasu, żeby zabrać podarki. Sensacją było to, że tym razem autochtoni przyszli bez broni. Po południu przedstawiciele indyjskich władz wrócili na wyspę i ujrzeli czekających na nich tubylców w sile ponad dwóch tuzinów. Doszło do z pozoru błahego, a w istocie bardzo doniosłego wydarzenia: młoda kobieta podeszła do młodego mężczyzny, który celował z łuku do przybyszów, i gestem dłoni poleciła mu opuścić broń; mężczyzna zakopał łuk i strzałę w piasku. Zadowolony z sukcesu misji dyrektor wydziału spraw plemiennych terytorium związkowego postanowił uczcić triumf cywilizacji, obdarowując zgromadzonych autochtonów kolejnymi kokosami. Orzechy zostały dobrze przyjęte. Indyjski antropolog T.N. Pandit, jedyna osoba, która może się pochwalić wiedzą o Sentinelczykach, nawet jeśli tylko powierzchowną, w wywiadzie udzielonym w 1993 roku powiedział: „Sentinelczycy prawdopodobnie nie mają wodzów. A jednak podjęli decyzję, aby zachowywać się przyjaźnie w stosunku do nas. Nie wiemy, jak o tym zdecydowali ani dlaczego to zrobili”.

Przyjaźń, która narodziła się w bólach, nie przetrwała długo. W 1996 roku zaprzestano bowiem wypraw na North Sentinel i zostawiono wyspiarzy w spokoju. Politykę rządu indyjskiego, polegającą na niedążeniu do nawiązywania kontaktów z plemionami nietkniętymi przez cywilizację, wzmocnił incydent z 1997 roku z Jarawa, innym żyjącym w izolacji na Andamanach i nastawionym agresywnie do obcych ludem. Jarawa, których władze indyjskie zachęciły do opuszczenia leśnych ostępów, wywołali zgorszenie wśród miejscowej ludności, przychodząc nago do wiosek i „kradnąc”. Jarawa byli wykorzystywani seksualnie przez miejscowych i zapadali na choroby, których wcześniej nie znali, między innymi na odrę, której epidemia dziś grozi wyginięciem plemienia. Skutki „kontaktu” nawiązanego z Jarawa przyprawiły władze o taki ból głowy, że te postanowiły nie popełniać drugi raz tego samego błędu.

Stephen Corry, szef fundacji Survival, broniącej praw ludności autochtonicznej, oszacował w 2007 roku, że na świecie żyje sto siedem „plemion zasadniczo nietkniętych przez cywilizację”. Dodał, że szczepy te „izolują się, ponieważ same tego chcą; i mają ku temu słuszne powody”. Nieznane ludy kojarzą nam się głównie z lasami deszczowymi Amazonii,

ale okazuje się, że niemal połowa wszystkich plemion nieznających nowoczesnej cywilizacji żyje w Papui Zachodniej, indonezyjskiej prowincji na wyspie Nowa Gwinea. Ich członkowie uciekają, kryją się przed armią i indonezyjskimi osadnikami, którzy traktują Papuę Zachodnią jak kolonialne lenno. Dla tych ludzi skutkiem kontaktu z „cywilizacją" byłby w najlepszym razie upadek ich kultury, ale bardziej prawdopodobny jest inny scenariusz: śmierć w wyniku napaści albo chorób. Mogliby też zostać atrakcją turystyczną: dla żądnych wrażeń turystów organizuje się przecież wyprawy pod hasłem „kup sobie pierwszy kontakt z nieznanym ludem". Klientów zabiera się do dżungli i pozwala się im wchodzić w swobodną interakcję z „nietkniętymi" i „całkowicie prymitywnymi kulturami". W 2006 roku dziennikarze BBC przeprowadzili wywiad z szefem ekspedycji „pierwszego kontaktu", który skorzystał z darmowej reklamy i wygłosił żarliwą obronę swojej profesji, usprawiedliwiając ją od strony etycznej. Każdy, powiedział ten człowiek, powinien „mieć prawo zobaczyć takich ludzi". Mając w pamięci tragiczną historię kontaktów dziewiczych szczepów z nowoczesną cywilizacją, doprawdy trudno nie uznać tego rzekomego prawa za ponuro groteskowe. Nie wiadomo, czy Sentinelczycy zdają sobie sprawę z istnienia innych ludów tubylczych na Andamanach i czy mają świadomość tego, co spotkało te plemiona. Obecnie takie szczepy stanowią zaledwie jeden promil populacji. Nazwy wielu wymarłych plemion to litania utraconych dźwięków: Aka-Bea, Akar-Bale, A-Pucikwar, Aka-Kol, Aka-Kede, Oko-Juwoi, Aka-Jeru, Aka-Kora, Aka-Cari, Aka-Bo.

Wrogość Sentinelczyków wobec obcych tragicznie przypomniała o sobie w 2006 roku, kiedy wyspiarze zabili dwóch rybaków. Sunder Radź i Pandit Tiwari rzucili kotwicę z dala od lądu, ale w nocy ich łódź zerwała się i osiadła na plaży na North Sentinel. Wczesnym rankiem inni rybacy zobaczyli, co się stało, i zaczęli krzyczeć do pechowców, próbując ich obudzić, ale na próżno; później zeznawali, że uznali ich za pijanych. Krążyła plotka, jakoby dwaj rybacy zostali zjedzeni, ale z raportu załogi śmigłowca straży przybrzeżnej, który z powietrza zbadał miejsce zdarzenia, wynikało, że rozwiązanie zagadki było bardziej prozaiczne. Wirujące płaty wirnika helikoptera odsłoniły bowiem dwa płytkie groby, a w nich ciała mężczyzn. Niestety, nie udało się odzyskać ciał zabitych rybaków, ponieważ Sentinelczycy zasypali śmigłowiec gradem strzał. Szef policji

Andamanów zapowiedział: „Później, kiedy tubylcy przeniosą się na drugi koniec wyspy, zakradniemy się i zabierzemy ciała”. Dotychczas jednak nie udało się tego zrobić.

Czy morderstwo dwóch niewinnych rybaków powinno ujść Sentinelczykom bezkarnie? Dlaczego wydaje się oczywiste, że proces i skazanie członków plemienia nie miałyby nic wspólnego ze sprawiedliwością? Podobnie myśleli krewni zamordowanych. North Sentinel nie jest częścią naszego nowoczesnego świata i nie wymaga od nas niczego poza tym, żeby zostawić go w spokoju. Opublikowany w 1990 roku w Port Blair, stolicy Andamanów, dokument rządowy pod poważnie brzmiącym tytułem *Master Plan 1991–2021 for Welfare of Primitive Tribes of Andaman and Nicobar Islands* (Plan generalny na lata 1991–2021. Dobrobyt społeczny prymitywnych plemion Andamanów i Nikobarów) okazuje się zaskakująco rozsądnym raportem. Kończy go następujący wniosek: „Sentinelczycy nie potrzebują dobrodziejstw nowoczesnej cywilizacji i jeśli w ogóle czegokolwiek od nas chcą, to »nieingerencji«”. Plan zakłada kontynuację polityki trzymania się na dystans. „Czy współczesny człowiek ma prawo ingerować w sprawy żyjącego w izolacji plemienia Sentinelczyków? Czy ma prawo jednostronnie decydować i narzucać swoją »przyjaźń« szczepowi, który zdecydowanie nie chce jej nawiązać?”.

Zatem koniec z podarkami, z zabawkami i kokosami, pozostaje jedynie sporadyczna obserwacja z, jak to ujęto w planie, „rozsądnej odległości, mniej więcej pięćdziesiąt metrów od brzegu”. Od ponad piętnastu lat zalecenia te są ściśle przestrzegane. Nikomu nie pozwala się podpłynąć bliżej. Pewnego dnia niemal wszystko, co Sentinelczycy znają i cenią, zniknie, tak jak to się stało w przypadku innych nietkniętych przez cywilizację społeczności. Ale póki co wyspa North Sentinel należy tylko i wyłącznie do nich.

3. Ziemie niczyje

Między granicami (Gwinea i Senegal)

12° 40’ 26” N; 13° 33’ 32” W (przejście graniczne)

Na ziemi niczyjej zwykłe miejsca stają się niezwykłe. Lokalizacje o przejściowym statusie przypominają nam, do jakiego stopnia jesteśmy zależni od granic i jak dużo nasze poczucie ładu i pewności zawdzięcza świadomości, iż znajdujemy się na terytorium, nad którym ktoś sprawuje władzę. Ziemią niczyją może być spory obszar, do którego nikt nie zgłasza roszczeń (patrz *Bir Tawil*), albo niewielki wycinek terenu pozostały po zagospodarowaniu przestrzeni miejskiej (patrz *Wysepka drogowa*). Niepewność ziemi niczyjej najwyraźniej można odczuć w miejscach, którym świat zewnętrzny odmawia uznania (patrz *Twail Abu Dżarwal*) albo które leżą pomiędzy granicami (patrz *Nahuaterique*). To drugie – myśl, że miasteczko może się wślizgnąć pomiędzy płoty graniczne – zaintrygowało mnie na tyle, że podjąłem się osobliwej misji geograficznej: znaleźć największe przesunięcie w posterunkach granicznych między dwoma sąsiadującymi krajami.

Już tłumaczę, o co chodzi: otóż większość państw lokuje swoje przejścia graniczne naprzeciwko przejść granicznych sąsiada, toteż kiedy przekraczamy granicę, zmieniają się oznakowania, na maszcie powiewa obca flaga, czasem linie na drodze mają inny kolor niż w naszej ojczyźnie – po tym poznajemy, że opuściliśmy jeden kraj i od razu znaleźliśmy się w drugim. Co się jednak stanie, jeśli będziemy poszerzać tę przestrzeń? Jeśli po przekroczeniu granicy naszego kraju nie zobaczymy przed sobą posterunku granicznego sąsiada? Kilka lat temu, po wielu godzinach męczącej wzrok lektury forów internetowych dla podróżników (z jakiegoś powodu ich autorzy preferują tycie czcionki), znalazłem to, czego szukałem: w Afryce Zachodniej, na granicy Senegalu i Gwinei, przesunięcie przejść wynosi dwadzieścia siedem kilometrów. Nie jest to wcale, jak się okazuje, ani jedyna, ani najsłynniejsza tak „rzadka” granica; ta najbardziej znana istnieje również w Afryce i jest nią oddzielający

górskie królestwo Lesotho od Republiki Południowej Afryki odcinek przełęczy Sani. Biegnie wzdłuż trudnej, ale chętnie uczęszczanej przez turystów w terenówkach drogi prowadzącej do przycupniętego na szczycie przełęczy i położonego najwyżej w całej Afryce pubu. Emocje wynikające z przejażdżki na krawędzi urwiska wzmacnia świadomość przebywania na ziemi niczyjej. Południowoafrykańskie przejście graniczne – na tabliczce napis: „Witamy w Republice Południowej Afryki", żeby nie było wątpliwości – jest oddalone o pięć tysięcy sześćset metrów od przejścia granicznego Lesotho. Inny przykład takiego zjawiska znajdziemy na przełęczy Torugart na granicy chińsko-kirgiskiej. Z kolei w Ameryce Środkowej mamy Paso Canoas, kostarykańsko-panamskie miasto, również nazywane ziemią niczyją, ponieważ aby swobodnie poruszać się po mieście, bez konieczności poddawania się ponownej kontroli paszportowej – a zatem technicznie rzecz biorąc, nie wkraczając na terytorium drugiego kraju – wystarczy przejść odprawę w jednym punkcie granicznym. Niektórym odwiedzającym Paso Canoas najbardziej podoba się świadomość tego, że miasto istnieje poza wszelkimi granicami – i chyba między innymi dlatego panuje w nim osobliwa atmosfera ponurego karnawału, jak gdyby miasto znajdowało się w „szarej strefie".

Miejsca te stanowią odbicie naszych własnych pragnień, zwłaszcza chęci wyjścia, choćby na krótką chwilę, poza klaustrofobiczną sieć narodów, będącą w istocie złudzeniem, co podejrzewa chyba każdy z nas. Przejście kontroli paszportowej nie oznacza, że w danej chwili rzeczywiście opuszczasz jeden kraj, by znaleźć się w drugim; przejścia graniczne istnieją po to, by odpowiednie służby mogły sprawdzić, czy na pewno w o l n o c i wjechać na teren państwa albo z niego wyjechać. Biorąc pod uwagę przepisy, to, czy punkt znajduje się blisko, czy daleko od granicy, nie ma żadnego znaczenia. Niemniej jednak prawnej perspektywie umyka symboliczne znaczenie punktu granicznego, pomija ona również nasze skrywane pragnienie znalezienia się na niezarządzanym przez nikogo terytorium. Paso Canoas nie leży pomiędzy płotami granicznymi, granica przebiega bezpośrednio przez nie, czyniąc je wspólnym miastem dwóch krajów, a mimo to używa się w stosunku do niego określenia „strefa ucieczki", tak jakby znajdowało się „poza". Podobnie w Afryce: stroma dolina na przełęczy Sani prawie w całości leży na terytorium Republiki Południowej Afryki, zaś droga graniczna między Senegalem a Gwineą raz

biegnie w całości po stronie Senegalu, a raz po stronie Gwinei; mimo to podróżnicy i postrzegają te miejsca zupełnie inaczej.

Atrakcyjność tych przejściowych przestrzeni wynika poniekąd z tego, że wszystkie one znajdują się na lądzie. Ciekawe, że przechodzenie przez kontrolę paszportową na lotnisku nie przyprawia nas o tak silny dreszczyk emocji, choć przecież międzynarodowy obszar powietrzny dużo bardziej kojarzy się z prawdziwą strefą niczyją niż zakurzone bezdroża (patrz *Międzynarodowa przestrzeń powietrzna*). Wygląda na to, że ucieczka od państwa narodowego nie jest jedyną motywacją. Istnieje pewien pierwotny pociąg do prawdziwych, namacalnych miejsc – takich, które można przemierzać, w których można się zagubić, a nawet coś zbudować – do których nikt nie wysunął roszczeń.

Niektórzy organizatorzy wycieczek po senegalsko-gwinejskim pograniczu oferują turystom kemping na ziemi niczyjej. Pobyt w strefie prowokuje do rozważań nad lojalnością i przynależnością. W eseju *Life Between Two Nations* (Życie między dwoma narodami) amerykański pisarz i podróżnik Matt Brown opisuje spotkania z mieszkańcami przygranicznych wiosek, które skłoniły go do refleksji nad naturą tożsamości narodowej:
Zatrzymałem się i zsiadłem z roweru, żeby porozmawiać z kobietą młócącą liście.

– Czy to Gwinea? – zapytałem po francusku (bo językiem pular posługuję się raczej kiepsko).

– Tak – odpowiedziała.

Zaskoczony, że w ogóle mnie zrozumiała, zadałem drugie pytanie:

– Czy to Senegal?

– Tak – usłyszałem w odpowiedzi.

Nieco później Brown siada na „bezpaństwowym głazie” i dochodzi do wniosku, że wieśniacy są ludźmi wolnymi od „archaicznych, niedorzecznych granic, naszkicowanych ponad sto lat wcześniej podczas konferencji berlińskiej przez zachłannych europejskich przywódców”. Ulokowanie posterunków granicznych w dużej odległości od siebie rzeczywiście łamie pieczęć na pakcie jedności narodowej. Istniejąca w tym miejscu luka ma niewielkie znaczenie prawne, ale temu, kto podróżuje lądem, daje poczucie otwartości i nowych możliwości.

Podróżnikom taka dezorientacja może się podobać, ale dla tych, którzy muszą mieszkać i pracować na ziemi niczyjej, jej istnienie przynosi

poważniejsze konsekwencje: pogłębia niepewność i wzmacnia wrażenie porzucenia. Między innymi z tej przyczyny kraje afrykańskie starają się likwidować anomalie, łatać dziury na mapie. „Ustanowienie granicznych punktów kontrolnych dwóch państw tak, by znajdowały się naprzeciwko siebie” – dotyczy to również przejść granicznych między Senegalem i Gwineą – jest jednym z priorytetów African Development Fund (Afrykański Fundusz Rozwoju), wspierającego projekty związane z infrastrukturą ekonomiczną kontynentu. Największą troskę członków funduszu budzi wpływ oddalenia od siebie posterunków granicznych dwóch państw na przepływ towarów między nimi. Krążą koszmarne opowieści o senegalsko-gwinejskiej przygranicznej rzeczywistości: pojazdach odsyłanych tam i z powrotem przez celników żądających brakujących dokumentów albo po prostu domagających się łapówki. Miejsce o charakterze przejściowym potrafi bardzo szybko zamienić się w biurokratyczną otchłań, w której zarówno podróżnicy, jak i miejscowi okazują się tak samo bezradni wobec skorumpowanych i kapryśnych urzędników. Skrawek ziemi pomiędzy krajami stwarza pozory wolności i jednocześnie przypomina, dlaczego ludzie świadomie z niej rezygnują i wybierają ład i bezpieczeństwo życia za granicami, a nie między nimi.

Bir Tawil

21° 52’ 14” N; 33° 44’ 14” E

Trudno uwierzyć, iż może istnieć miejsce mające tak kiepską opinię, że nikt go nie chce. Jest nim Bir Tawil, wycinek kamienistej pustyni na granicy sudańsko-egipskiej, trapezoid o powierzchni dwóch tysięcy kilometrów kwadratowych. Nie jest to zwykła *terra nullius* (ziemia niczyja), ale obszar, którym otwarcie wzgardziły oba kraje mogące rościć sobie do niego prawa. To bodaj jedyne nadające się do zamieszkania miejsce na ziemi, do którego nikt nie zgłasza pretensji.

Anomalia Bir Tawil pozwala spojrzeć na historię świata z nowej perspektywy. Wygląda jak pisana na opak, to bowiem historia wysiłków zmierzających do niezajęcia terytorium. Domaganie się uznania prawa własności do miejsca stanowi sedno wielu sporów, w przypadku niektórych narodów to wręcz nieodłączny element ich tożsamości. Nie powinno zatem

wzbudzać wątpliwości założenie, że wszystkie kraje chcą się nieustannie rozwijać terytorialnie i przesuwać swoje granice – tak jak płot postawiony przez nieliczącego się z innymi sąsiada – najdalej, jak to możliwe. Bir Tawil przypomina nam, że jedną z cech definiujących narody są ich ograniczenia – w sensie dosłownym i przenośnym; że nie wszystkich miejsc się pożąda, a na każde terytorium, do którego ktoś rości sobie prawa, przypadają takie, których państwa się wypierają.

Jeśli chodzi o Sudan oraz Egipt i unikanie odpowiedzialności za pozbawioną dostępu do morza Bir Tawil, kluczem do sprawy okazuje się pretensja zgłaszana przez oba kraje do leżącego po sąsiedzku nad Morzem Czerwonym Trójkąta Hala’ib, obszaru większego – zajmującego ponad dwadzieścia tysięcy kilometrów kwadratowych – i bardziej użytecznego: ze względu na złoża ropy naftowej. Spór wynika z istnienia dwóch wersji przebiegu granicy pomiędzy Egiptem a państwem noszącym dawniej nazwę Sudanu Anglo-Egipskiego. Obie linie narysowali brytyjscy zarządcy tych terenów. Pierwsza pochodzi z 1899 roku, ma tysiąc dwieście kilometrów długości i biegnie prosto wzdłuż dwudziestego drugiego równoleżnika, przecinając pustynię. Za tą wersją opowiada się Egipt, ponieważ zgodnie z nią oddaje Bir Tawil Sudanowi i zatrzymuje dla siebie dużo cenniejszy Trójkąt Hala’ib. Sudańczycy nie akceptują tego podziału i wskazują inny, dokonany w 1902 roku, też równoleżnikowy, ale wytyczony blisko wybrzeża Morza Czerwonego o zmiennym przebiegu i przyznający Sudanowi Trójkąt Hala’ib oraz skrawek lądu nad Nilem, nazywany Klinem Wadi Halfa. Na mapie z 1902 roku obydwa te obszary znalazły się pod rządami Sudańczyków, ponieważ Brytyjczycy uznali je za etnicznie i geograficznie związane z południem. Na tej samej zasadzie przydzielili położoną na południe od granicy z 1899 roku Bir Tawil Egiptowi, ponieważ mieszkające na północ od granicy koczownicze plemię Ababdów zagospodarowało te tereny na pastwiska.

Przebiegu granicy z 1902 roku nikt nie kwestionował, dopóki w latach dziewięćdziesiątych Sudan nie zaczął udzielać koncesji na poszukiwanie ropy naftowej na terytorium Trójkąta Hala’ib. W odpowiedzi Egipt zajął ten obszar, przyznając sobie prawo do egzekucji przebiegu granicy wytyczonej w 1899 roku. Sąsiedni kraj rzecz jasna nie zgodził się z takim postawieniem sprawy. W 2010 roku sudański funkcjonariusz państwowy próbował wjechać do Trójkąta Hala’ib z zamiarem namawiania jego mieszkańców do

głosowania w sudańskich wyborach. Gdyby plan się powiódł, byłby to argument za słusznością sudańskiej racji. Obecnie wygląda na to, że Egipcjanom udało się skutecznie zagarnąć Trójkąt Hala'ib i zrzec się Bir Tawil.

Z czasem Bir Tawil stawała się coraz mniej znacząca. Nazwa tego miejsca oznacza „głęboką studnię", ale długotrwała susza sprawiła, że obszar ten stracił jakąkolwiek wartość rolniczą, choć ta, którą wcześniej posiadał, i tak była znikoma. Na zdjęciach satelitarnych widać, że na jałowym pustkowiu nie ma praktycznie żadnych zabudowań. Zanikają nawet pustynne szlaki, jedyne pozostałości po Ababdach. Ababdowie kultywowali własną, charakterystyczną spuściznę etniczną i niewiele się przejmowali granicami państwowymi. W „Journal of the Royal Anthropological Institute of Great Britain" z 1923 roku można zobaczyć fotografie Ababdów, mężczyzn o gęstych, zaplecionych włosach, a także przeczytać miejscowe legendy dotyczące tego ludu i przekonać się, że nawet przez innych pustynnych koczowników był on postrzegany jako plemię starożytne i tajemnicze. Mówiło się, że „kiedy pojedzie się za Ababdem na pustynię, ten znika człowiekowi z oczu po dwustu, trzystu metrach". Ich spojrzenie jest ponoć tak groźne, że „nawet ze znacznej odległości potrafią unieruchomić poruszający się obiekt".

Ababdowie przenieśli się gdzie indziej, ale zapisali się w historii tego regionu, dlatego można powiedzieć o Bir Tawil, iż jest niezamieszkana, ale przecież nie znaczy to, że brakuje jej historii albo że każdy może ją sobie przywłaszczyć. Należy to podkreślić: Bir Tawil nie jest krainą „do wzięcia", mimo iż stała się ulubioną fantazją internetowych budowniczych nowej państwowości. Niełatwo o rzetelne informacje na jej temat, ponieważ giną one wśród licznych sieciowych sporów prowadzonych między jej fikcyjnymi królami, emirami i prezydentami.

Żartobliwe roszczenia do Bir Tawil nijak się mają do ponurej rzeczywistości tego miejsca, ale trudno zgłaszać o to pretensje do ich autorów. Bir Tawil pobudza wyobraźnię, bo dezorientuje, stoi w opozycji do oczekiwań współczesnego świata i nie odpowiada naszym wyobrażeniom na temat roli państw i granic.

To naturalne, że definiujemy świat na podstawie tego, czego pragniemy, ale zagadnienia geopolityczne możemy rozważać również na płaszczyźnie rzeczy, których nie chcemy. Na przykład: wysuwamy „antyroszczenia" jako

argumenty za właściwymi żądaniami; zdarza się tak wcale nierzadko, tyle że przeważnie – inaczej niż w przypadku Bir Tawil – znajduje się chętny gotów przygarnąć takie pozornie niekochane miejsce. Spójrzmy na Chiny: z najnowszych danych wynika, że Państwo Środka ustąpiło w siedemnastu z dwudziestu trzech sporów terytorialnych, rezygnując z obszarów o łącznej powierzchni ponad trzech milionów trzystu tysięcy kilometrów kwadratowych. W długotrwałym sporze pomiędzy Grecją a Turcją – krajami, których ludność przez wieki mieszała się, a w ostatnim stuleciu się rozdzieliła, tworząc państwa o w miarę jednolitej strukturze etnicznej (wyjątek stanowi liczna mniejszość kurdyjska w Turcji) – silny nacisk kładzie się na wskazywanie miejsc n i e b ę d ą c y c h „rdzennie" greckimi albo „rdzennie" tureckimi. Grecki i turecki irredentyzm to przeplatanie się mniej więcej w równych proporcjach pretensji i zrzeczeń terytorialnych. W sporach prowadzonych na zasadzie *quid pro quo*[13] zadeklarowanie braku zainteresowania jakimś miejscem nierzadko okazuje się decydującym argumentem w dyskusji o przyszłości zupełnie innego obszaru.

Bir Tawil łatwo przeoczyć, na mapie jest ona niczym więcej jak osobliwością, przedmiotem drobnego nieporozumienia, miejscem, w którym geopolityczna pewna, ciągła kreska ustępuje przerywanej linii. Jednakże historia tej krainy ma wydźwięk uniwersalny, ponieważ Bir Tawil to jedno z nielicznych miejsc na ziemi, w których wyraźnie uwidacznia się jeden z najważniejszych paradoksów tworzenia granic: to mianowicie, że opierają się one na roszczeniach do jakiegoś obszaru. Ale przecież wytyczając je, sami siebie ograniczamy; granica stanowi zarazem dowód zrzeczenia się pretensji do innych terenów, uznania praw sąsiadów. Natomiast pragnienie zniesienia granic, wspólne zarówno przeciwnikom kapitalizmu, jak i podróżującym pierwszą klasą biznesmenom, to w istocie roszczenie prawa do całego świata. Związek granic z terytorium jest dużo bardziej niejednoznaczny i złożony, niż nam się wydaje; granice są wyrazem arogancji i skromności, żądania i rezygnacji.

Nahuaterique

14° 03’ 05” N; 88° 08’ 57” W

Kiedy przesuwane są granice, niektóre społeczności mają pecha i lądują po złej stronie płotu, z dnia na dzień stając się obcymi we własnym kraju. Spotkało to mieszkańców niewielkiego górskiego miasteczka Nahuaterique, które w 1992 roku Salwador oddał Hondurasowi. Historia Nahuaterique pokazuje również, jak miejsca uznawane za ważne na tyle, by warto było się o nie bić, po zakończeniu konfliktu tracą na znaczeniu i popadają w zapomnienie.

Salwador i Honduras sąsiadują ze sobą od ponad stu pięćdziesięciu lat i przez większość tego czasu spierają się o granicę. W 1969 roku wybuchł krótkotrwały, bo zaledwie czterodniowy, konflikt pomiędzy tymi państwami, nazywany wojną futbolową. Rzekomym jej powodem były starcia kibiców reprezentacji obu krajów po przegranym przez Honduras meczu eliminacyjnym do mistrzostw świata w piłce nożnej. W rzeczywistości do sporu doszło nie przez futbol, lecz przez presję demograficzną. Przez wiele lat bezrolni chłopi z małego, przeludnionego Salwadoru regularnie przemieszczali się do czterokrotnie większego Hondurasu. Migranci szukający pracy i ziemi swobodnie przekraczali z grubsza wytyczoną i będącą przedmiotem ciągłego sporu granicę. Ich wędrówki odbieramy jako migrację z jednego kraju do drugiego, ale w owym czasie wielu z tych przesiedleńców postrzegało przenosiny zupełnie inaczej: nie robili nic wielkiego, po prostu wędrowali na wschód i zajmowali słabo zaludnione górskie tereny.

Wojna futbolowa jest znana też pod inną, trafniejszą nazwą: „wojna wyrzuconych”. Nie bacząc na prawdziwe, w swej istocie niewinne, intencje salwadorskich osadników, władze Hondurasu potraktowały ich jak nielegalnych imigrantów i złodziei ziemi. Usunięto z kraju tysiące osób, a także ustanowiono nowe prawa, odbierające ziemię Salwadorczykom zamieszkałym w Hondurasie i przekazujące ją rodowitym Honduranom. Interwencja stała się bezpośrednią przyczyną czterodniowego konfliktu, w czasie którego salwadorska armia wtargnęła do sąsiedniego państwa i szybko zajęła znaczną część jego terytorium; wycofała się dopiero pod naciskiem opinii międzynarodowej.

Zaognił się spór o granicę, dochodziło do licznych incydentów, prowadzono długie negocjacje, aż w końcu sprawa trafiła do Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości w Hadze i dopiero w 1992 roku ogłoszono nowy, wiążący przebieg linii granicznej. Większość zainteresowanych wydawała się zadowolona z osiągniętego porozumienia. Robert Hidalgo Castrillo, salwadorski ambasador w Holandii, oznajmił: „Możemy świętować". Salwador stracił Nahuaterique, ale miasteczko było tylko jednym z sześciu spornych miejsc. Rezygnację z kilku niewielkich miejscowości uznano za cenę wartą zapłacenia. Dwanaście tysięcy Salwadorczyków znalazło się po drugiej stronie granicy, w Hondurasie, a trzy tysiące Honduran usłyszało, że od tej chwili są obywatelami Salwadoru.

Salwadorczycy oskarżają nowego, według nich nieodpowiedzialnego, właściciela Nahuaterique i dwudziestu innych okolicznych miejscowości o zaniedbywanie tamtejszych mieszkańców. Z kolei rząd Hondurasu twierdzi, że całkowicie rozumie los tych ludzi. To jasne, że istnienie wyjętej spod prawa ziemi niczyjej na granicy budzi niepokój i troskę Honduran, tyle że wyrażają oni swoje odczucia w sposób dość powściągliwy. Mieszkańcy Nahuaterique rzadko głosują w honduraskich wyborach i w stolicy kraju, Tegucigalpie, nie mają zbyt wielu przyjaciół.

W artykule dla salwadorskiej gazety „La Prensa Gráfica" z kwietnia 2013 roku Siegfried Ramírez wspomina, jak pewnego dnia mieszkańcy miasteczka ocknęli się porzuceni przez własny rząd. „Kiedy ludzie po raz pierwszy usłyszeli plotkę, że ziemia, na której mieszkają, nie będzie już częścią Salwadoru, lecz będzie należała do Hondurasu – pisze Ramírez – wielu uznało to za dowcip, i to raczej kiepski". Wkrótce jednak zjawili się hondurascy urzędnicy z nakazem zarejestrowania posiadanej przez mieszkańców Nahuaterique ziemi jako własności Hondurasu. Proces się rozpoczął, ale nigdy nie został ukończony i w rezultacie państwo jest prawnym właścicielem tylko niewielkiej części tamtejszej ziemi. Honduras nie spieszył się również z nadawaniem obywatelstwa, trwało to latami, przez co ludzie nie mieli dostępu do podstawowych świadczeń, choćby do służby zdrowia, ani nawet nie mogli zrobić prawa jazdy.

Mieszkańcy Nahuaterique czują się opuszczeni – Salwador ich odepchnął, a Honduras nie przygarnął. Administracja państwowa i służby publiczne w Nahuaterique praktycznie nie istnieją albo mało kto może

z nich skorzystać. W miasteczku co prawda wybudowano szkołę, ale jeszcze do niedawna wiele dzieci wolało odbywać codzienną trzygodzinną podróż do szkoły w Salwadorze. Granica z 1992 roku ukróciła również handel drewnem z innymi częściami Salwadoru, dotąd główne źródło utrzymania mieszkańców Nahuaterique; dosłownie z dnia na dzień legalnie działające firmy stały się organizacjami przemytniczymi. Jeszcze więcej niejasności budzi obecność umundurowanych przedstawicieli władzy i jeśli o to chodzi, jedynym dowodem zwierzchnictwa Hondurasu nad Nahuaterique i okolicznymi miasteczkami jest posterunek wojskowy w Palo Blanco, którego wyłącznym zadaniem – jak mówią sami stacjonujący tam żołnierze – jest pilnowanie, by nie szmuglowano drewna przez granicę. Miejscowi poskarżyli się, że pewnego razu uczniowie szkoły zostali napadnięci dosłownie przed posterunkiem. Żołnierze, zapytani o to, dlaczego nie zainterweniowali, odpowiedzieli, że „zapewnianie bezpieczeństwa uczniom” nie należy do ich obowiązków, a poza tym i tak nie mają uprawnień, by kogoś aresztować.

W tej chwili prawo w mieście stanowi jeden człowiek: żylasty farmer Marcos Argueta. „La Prensa Gráfica” pisze, że „kiedy [Argueta] idzie ulicą, ludzie patrzą na niego z szacunkiem”. Argueta zdobył władzę w lokalnych, nieoficjalnych wyborach, które postawiły go w centrum zainteresowania i przypięły etykietę mówiącego głosem ludu. „Wielu tutejszych nie chciało być Honduranami – mówi Argueta – ale nie mogli wyjechać, bo tu znajdowała się ich ziemia”. Dodaje, że po zmianie przynależności państwowej w Nahuaterique „zrobiło się niebezpiecznie, bo teraz każdy może tu przyjechać: kryminaliści, handlarze narkotyków”. Argueta próbuje uporać się z problemami miasta. Pijaków i bandytów poskramia, posługując się osobliwą mieszanką surowej sprawiedliwości i pobożnych życzeń. Korzysta z pomocy „sprawdzonych ludzi” i na krnąbrnych osobników stosuje następującą metodę: powalić delikwenta na ziemię, skrępować mu ręce i nogi, a następnie wymóc na nim przyrzeczenie, że będzie się dobrze zachowywał, a najchętniej skłonić do opuszczenia miasta.

O skali rozpaczy mieszkańców Nahuaterique świadczy to, że w 2012 roku dwanaścioro z nich rozpoczęło „nieograniczony czasowo” strajk głodowy przed siedzibą Kongresu Narodowego w stolicy Hondurasu. W oświadczeniu dla prasy zażądali powołania samorządu w swoim regionie, a także domagali się „szkół, przychodni wraz z personelem

i lekarstwami, pomocy dla rolników i swobody przepływu ludzi i towarów". Lista postulatów jest długa, a jednak racja protestujących spotyka się ze zrozumieniem ze strony Honduran; zarówno zwykli obywatele Hondurasu, jak i politycy tego kraju z jednej strony solidaryzują się z mieszkańcami Nahuaterique, a z drugiej – okazują brak głębszego zainteresowania ich sprawami. O mieście sporo się pisze i mówi, a mimo to władzom wciąż się nie spieszy. Oficjalnie podkreśla się, że począwszy od 1998 roku, osoby zamieszkujące rejon przygraniczny będący do niedawna przedmiotem sporu terytorialnego, mają podwójne obywatelstwo i mogą swobodnie przemieszczać się między oboma krajami. Salome Castellanos, Wiceminister Spraw Wewnętrznych i Ludności, poradziła mieszkańcom Nahuaterique, żeby przestali narzekać. Muszą zapomnieć o własnym samorządzie, mówi, i wreszcie nauczyć się żyć jak Honduranie.

W honduraskiej prasie niewesołe doniesienia z rejonu Nahuaterique niezmiennie przyjmują postać pozytywnych opowieści o rozwoju regionu. Niedawno w „HonduDiario" i „El Heraldo" napisano o wdzięczności miejscowej ludności dla honduraskiego rzecznika praw obywatelskich za wstawiennictwo i podkreślono, że mieszkańcy Nahuaterique w pocie czoła pracują nad – jak to ponoć ujął jeden z nich – „stworzeniem nowego Nahuaterique, całkowicie i aktywnie zintegrowanego ze społecznym, gospodarczym i politycznym życiem naszej nowej ojczyzny, Hondurasu". Tuż obok tych radosnych refleksji znajdziemy rządową obietnicę wybudowania „w najbliższych miesiącach" posterunku policji i skierowania w ten rejon lekarza.

Ale nawet jeśli Nahuaterique rzeczywiście w końcu stanie się „całkowicie i aktywnie zintegrowane" ze swoją nową ojczyzną, zasadne pytanie: „Dlaczego trwało to tak długo?" pozostanie bez odpowiedzi. Honduras zaciekle walczył o ten, słusznej wielkości, kawałek lądu i zdobył go. Czemu więc teraz odwraca się do niego plecami? Wychodzi na to, że dla Honduran znaczenie tego miejsca zasadzało się wyłącznie na walce o nie. Albo może Nahuaterique zamieszkuje po prostu zbyt wielu Salwadorczyków, by hondurascy politycy zaczęli traktować to miasteczko poważnie.

Twail Abu Dżarwal

31° 19’ 2’’ N; 34° 48’ 2” E

Miejsce nie jest rzeczą – ołówkiem albo konewką – której można się bezrefleksyjnie pozbyć albo wymienić ją na nową. Zaciekłość i pomysłowość, z jaką ludzie trzymają się miejsc, na których im zależy, świadczą o tym, iż są one nieodłączną częścią ich tożsamości i że utrata miejsca może równać się stracie wszystkiego.

Żyjemy w czasach, w których dopóty nie dostrzegamy znaczenia miejsc, dopóki nie zetkniemy się z tak rozpaczliwymi przykładami jak Twail Abu Dżarwal, beduińska wioska położona na izraelskiej pustyni Negew – dopiero one uświadamiają nam naglącą naturę topofilii. Wieś znajduje się na końcu gruntowej drogi, odchodzącej od pokrytej warstwą gładkiego asfaltu i biegnącej na północ od Beer Szewy drogi ekspresowej numer 40. Nie ma tablic informujących o zjeździe do Twail Abu Dżarwal, miejscowość nie figuruje na żadnej mapie, a mimo to razem z czterdziestoma innymi „nieuznawanymi” wioskami beduińskimi na pustyni Negew uparcie trzyma się tego wyschniętego na wiór miejsca. Izraelczycy likwidowali ją tak często, że nikt nie jest w stanie powiedzieć, ile już razy przewalały się przez nią buldożery, w każdym razie według ostrożnych szacunków należy celować w przedział od dwudziestu pięciu do pięćdziesięciu. Cztery i pół setki mieszkańców Twail Abu Dżarwal nie posiada solidnych domów i musi się zadowolić namiotami i chałupami skleconymi z blachy.

Po każdym kolejnym wyburzeniu wieśniacy zbierają się, by oszacować zniszczenia. Izraelska aktywistka Jela Raanan nagrała dyskusję podczas jednego z takich zebrań. „Kierowca buldożera się nie spieszył – mówi ktoś – pracował powoli i dokładnie, nic nie zostawił, nic, wszystko zburzył”. Tym razem, dodaje ktoś inny, „pogrzebali żywcem młode gołębie”. Lecz gdy tylko buldożery odjadą, wioska się odradza: ludzie oczyszczają uliczki, zbijają chatynki i stawiają namioty; Twail Abu Dżarwal znów staje się miejscem i czeka na kolejną „wizytę” izraelskich władz. W rozmowie z przedstawicielką Human Rights Watch mieszkanka wioski Alija al-Talalka mówi, że „po wyburzeniu postawienie nowych namiotów zajmuje pięć do sześciu dni”. W tym czasie wszyscy „śpią pod gołym niebem, jak

dzikie zwierzęta, kiedy za dnia pali słońce, a nocą jest zimno, i to z małymi dziećmi”.

W wywiadzie dla czasopisma „The Jerusalem Report” Ilan Jeszurun, dyrektor miejscowego przedstawicielstwa Israel Land Authority (Izraelskie Władze Terytorialne), powtarzające się w kółko wyburzanie Twail Abu Dżarwal tłumaczy krótko: „To nie jest wioska”. I dodaje bez cienia ironii: „Nie istnieje na żadnych mapach ani nie figuruje w żadnych rejestrach. Tylko Beduini twierdzą, że jest prawdziwą wsią”. Innymi słowy to, że Twail Abu Dżarwal oficjalnie nie istnieje, oznacza, iż można i trzeba ją na okrągło burzyć.

Wściekle łopoczące wśród gruzu namioty Twail Abu Dżarwal niosą urwane echo czasów, kiedy Beduini z Negewu byli prawdziwie koczowniczym ludem, wędrującym po pustyni razem ze swoimi owcami i kozami. Dawni władcy tej krainy, Osmanowie, i późniejsi, Brytyjczycy – ci rządzili dużo krócej – z reguły ignorowali Beduinów i zostawiali ich w świętym spokoju. Zainteresowali się nimi dopiero Izraelczycy. Rząd Izraela zapoczątkował politykę sedentaryzacji[14] i koncentracji i przesiedlił Beduinów do siedmiu nowych miast w tak zwanym Trójkącie Siyag, licząc na to, że starożytny lud pustyni pozwoli uformować się w nowoczesne, osiadłe społeczeństwo. W 1963 roku izraelski generał Mosze Dajan wyraził nadzieję, że wkrótce Beduini będą „miejskim proletariatem” i że każdy beduiński mężczyzna będzie „mieszkańcem miasta, który po południu wraca do domu i zakłada kapcie”. Do Siyagu Beduini wnieśli jednak przemożne poczucie straty, a ponieważ w żaden sposób nie byli przygotowani do miejskiego życia, wkrótce ich nowe osiedla stały się symbolami rozprzężenia społecznego, przestępczości i bezrobocia. Wielu Beduinów powróciło na ziemie przodków. Klan al-Talalka, już niekoczowniczy i powoli tracący tradycyjną beduińską tożsamość, posadowił wieś Twail Abu Dżarwal nieopodal starego plemiennego cmentarza.

Beduińskie wyczucie przestrzeni, niegdyś wykraczające daleko poza Negew, znalazło swego rodzaju ostoję w takich miejscach jak Twail Abu Dżarwal, osadach spełniających wymóg prowadzenia osiadłego trybu życia, ale na warunkach Beduinów. Ich wysiłki, by na własny sposób dokonać tej zmiany – z nomadycznego trybu życia na osiadły – są nieustannie podkopywane. Urbanista Steve Graham używa określenia „*urbicide*”

(miastobójstwo) w odniesieniu do polityki rządu izraelskiego w stosunku do Palestyńczyków, mając na myśli próby zdławienia oporu politycznego poprzez niszczenie fizycznej i społecznej infrastruktury osiedli. Palestyńczycy przynajmniej mają swoje miejsce. Problem Beduinów polega zaś na tym, że ich wsi Izrael w ogóle nie uznaje. Jednocześnie, jak na ironię, kulturowej i etnicznej odrębności Beduinów poświęca się w Izraelu całkiem sporo miejsca. Ich tradycyjne stroje, kuchnia i inne interesujące z etnograficznego punktu widzenia twory kultury przyciągają turystów i uwagę państwa, a nawet budzą szacunek – ale jakie znaczenie ma szacunek dla artefaktów, skoro państwo odmawia Beduinom prawa do własnego miejsca?

Dlaczego tak trudno nam zrozumieć, że komuś może zależeć na miejscu, nawet jeśli chodzi mu o kawałek zawalonej gruzem pustyni? Jest to trudność po części wynikająca z naszego niegeograficznego podejścia do „uznawania" innych ludzi. Według Hegla potrzebujemy uznania ze strony innych po to, by osiągnąć samoświadomość. Świadomość zaś dąży do czystości i stara się uniezależnić od doczesności. Takie poglądy powodują, że nasze wyobrażenie wolności jeszcze bardziej odrywa się od ziemi, przenosi w abstrakcyjne dziedziny i sprawia, że geografia wydaje nam się niczym więcej, jak tylko nużącym zbiorem faktów. Obsesja na punkcie walki o wolną świadomość, przefiltrowana przez filozofię Karola Marksa, legła u podstaw światopoglądu antykolonialnych intelektualistów ubiegłego stulecia. Jean-Paul Sartre, Albert Memmi i Frantz Fanon zamienili kolonialny świat w szpital polowy dla pacjentów z psychospołeczną traumą. Dziś ból i upokorzenie zniewolonych ludów przekształcono w zbiór niby heglowskich komunałów o szacunku dla „odmienności". Skupienie uwagi na życiu wewnętrznym ofiar równie dużo zakryło, co obnażyło, i zamieniło miejsce w coś nieistotnego, obojętnego i pozbawionego znaczenia.

Miejsce jest tkaniną naszego życia, a jego szwami – pamięć i tożsamość. Jeżeli nie posiadamy własnego miejsca – takiego, które możemy nazwać domem – wolność to dla nas puste słowo. Twail Abu Dżarwal to niszczona, licząca na uznanie wioska, jedna z wielu na pustyni Negew, ale jej historia ma charakter uniwersalny. Przypomina bowiem o niezbędności miejsca i stanowi świadectwo bitew rozgrywanych pomiędzy tymi, którzy miejsca uznają, a tymi, którzy im tego odmawiają.

Gorycz Beduinów potęguje fakt, że Izrael z jednej strony nie chce uznać istnienia ich wiosek, a z drugiej – toleruje nielegalne izraelskie osadnictwo w Siyagu i jego okolicach. Bez pozwolenia pojawiło się tam pięćdziesiąt farm, na wielu stoją budynki, jakich nie dopuszczają miejscowe przepisy, ale państwo zamiast konsekwentnie burzyć te budowle, ułatwia ich wznoszenie, na przykład umożliwiając dostęp do lokalizacji poprzez przedłużenie drogi szybkiego ruchu numer 6 na Negew. Ustalając przebieg nowej szosy, planiści zwyczajnie zignorowali istnienie nieuznawanych wiosek beduińskich i na planach widać, że trasa przecina kilka z nich. Droga wkrótce znajdzie się na mapach, ale okoliczne wioski pozostaną niewidoczne. Udało się wywalczyć oficjalne uznanie zaledwie sześciu beduińskich wsi. Zgodnie z planami izraelskiej administracji mieszkańcy pozostałych będą przesiedleni, a ich osiedla zostaną zburzone. Zatem wygląda na to, że Twail Abu Dżarwal zostanie jeszcze wiele razy zrównana z ziemią, zanim jej mieszkańcy, albo izraelski rząd, złożą broń.

Co robić, kiedy nie można uniknąć wyburzenia? Sytuacja Beduinów jest trudna i delikatna. Jeśli zakwestionują nakaz rozbiórki, będą musieli przyznać, że zbudowali swoje chaty nielegalnie, czyli: złamali prawo. Nie mają dokąd pójść, uparcie tkwią więc w takich miejscach jak Twail Abu Dżarwal i kiedy wioskę rozjeżdżają buldożery, oni też dokonują samozniszczenia. To ostateczny dowód przywiązania, ostatnie roszczenie do miejsca. Mieszkaniec pobliskiej, też nieuznawanej, wioski Wadi al-Ne’am powiedział w rozmowie z przedstawicielem Human Rights Watch: „Przyjechali i powiedzieli, że chcą zburzyć trzy domy. Powiedzieliśmy, że nie chcemy wzbudzać paniki w wiosce, więc sami je rozbierzemy. Zaczekali, aż to zrobimy, a potem przyszli sprawdzić. Mieliśmy dość gróźb i dlatego postanowiliśmy sami to zrobić”.

Po akcie samozniszczenia nie ma śladu, miejsce to bowiem nigdy oficjalnie nie istniało; nie ma historii tworzenia i burzenia, nie ma rodzin, które tu żyły, pracowały i wychowywały dzieci, nie ma uprawianej ziemi, migracji – wszystko to nigdy się nie wydarzyło. Beduini z pustyni Negew boją się, że wkrótce znikną. Nie mają swojego miejsca – cóż więc im zostało? Co to znaczy: być Beduinem? Miejsce nie jest sceną, nie jest dekoracją, na tle której odgrywamy swoje życie; miejsce to część tego, kim jesteśmy.

Wysepka drogowa

54° 58’ 52” N, 1° 36’ 25” W

Patrzę na trójkątny kawałek ziemi otoczony barierkami energochłonnymi i ruchliwymi jezdniami. Na dwóch wierzchołkach trójkąta rosną krzewy i młode drzewka, ale środek i najostrzejszy, schowany pod wiaduktem wierzchołek są kamieniste i nagie. Mijam tę nieosiągalną wysepkę, chodząc do pracy, bo jeden odcinek trasy, którą codziennie pokonuję, wypada wzdłuż biegnącej niemal środkiem miasta autostrady; przejście go zajmuje mi raptem pięć minut. Widzę trójkąt przez siatkę odgradzającą pieszy ciąg od autostrady, jest jak niefigurujące na żadnych mapach, częściowo porośnięte bujną roślinnością królestwo. Sprawia wrażenie nieskazitelnie czystego; w zaroślach po mojej stronie płotu ktoś wyrzucił dwa duże telewizory, ścinki z wykładziny i jakąś dziwną maź w plastikowej torbie, ale tam, w krainie, z którą nie ma kontaktu, widzę tylko żwir i młode drzewka.

Takie miejsca istnieją wszędzie, stanowią element naszej indywidualnej geografii. Bardzo łatwo je przeoczyć, ale kiedy już zaczniemy któreś zauważać, wzbudza w nas niespokojną fascynację. Wydaje nam się wtedy, że dostrzegamy nieuchwytny dla innych szczegół krajobrazu, sekretne, kameralne królestwo otoczone przez niewidzących ludzi. Miejsce, o którym tu mowa, znajduje się w północno-wschodniej części Anglii, w mieście Newcastle, przy przecinającym to miasto tysiącsiedemsetmetrowym odcinku autostrady A167(M), oddanym do użytku w 1975 roku. A167(M) nie jeździ się łatwo, nawet tym kierowcom, którzy dobrze znają miasto. Na wysokości trójkątnej wysepki samochody powoli suną wjazdem, by po chwili wbijać się w kolumnę pędzących z prędkością prawie stu dwudziestu kilometrów na godzinę aut. Niektóre pojazdy muszą następnie sprawnie przeciąć trzy pasy ruchu, żeby dostać się do swojego zjazdu, czasem znajdującego się raptem sto kilkadziesiąt metrów dalej. To krajobraz intensywnych emocji: zaciśniętych zębów i ponurych min. Kierowca nie ma czasu się rozglądać, musi patrzeć, żeby w nikogo nie uderzyć i żeby nikt nie uderzył w niego.

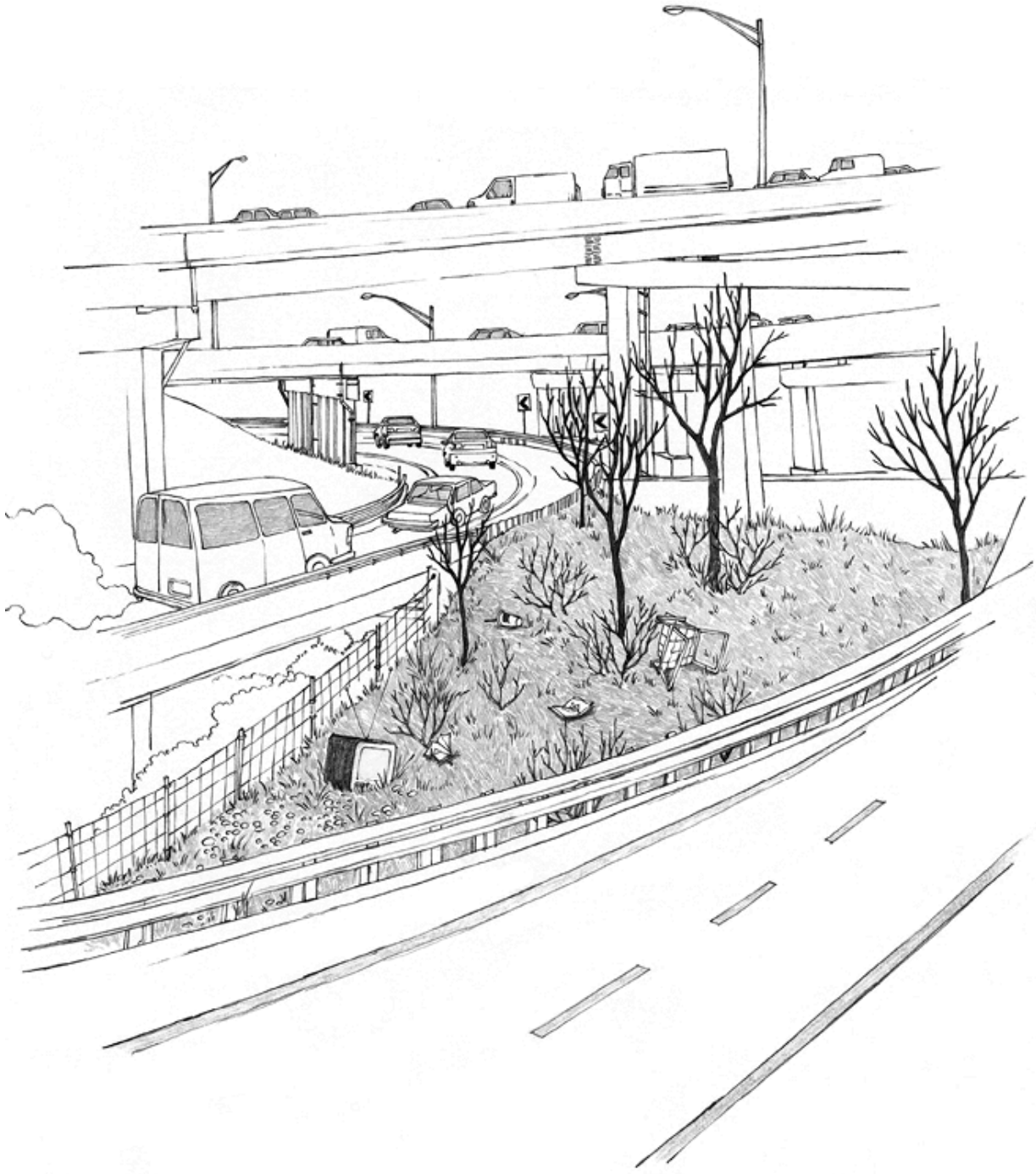

Trójkąt jest okrawkiem. Starannie przemyślano i wytyczono szosy, a wysepka projektantom się po prostu przydarzyła. Nie każda zielona przestrzeń powstała w ten sposób. Centralne części rond są równie niedostępne jak wysepki, ale w odróżnieniu od nich zostały zaplanowane i celowo obsadzone roślinnością, od czasu do czasu kosi się porastającą je trawę, a bywa też, że stają się miejscem prezentacji pokaźnych rozmiarów dzieł sztuki publicznej. Tym, co wyróżnia takie miejsca jak trójkąt, jest brak zdecydowanej chęci tworzenia ich i kształtowania. Patrząc na nie, widzimy porzucenie, ale też niezależność od zmotoryzowanego mrowiska – współczesnego miasta.

O moim trójkącie nie pisano w „Diversion”, gazecie wydawanej na początku lat siedemdziesiątych przez radę miejską Newcastle po to, żeby przekonać mieszkańców do idei autostrad, które wkrótce miały poprzecinać ich osiedla. Redaktorowi „Diversion” wydawało się chyba, że urok mających przebiegać niemal przez centrum miasta wielopasmowych ekspresówek mówił sam za siebie. Tymczasem na okładkach pisma dominują surowe, szare sylwetki wiaduktów, w druku wyglądające równie mało zachęcająco, co w rzeczywistości. Podejmowane przez gazetę próby złagodzenia ciosu miały charakter bezwstydnie symbolicznych gestów: „zostanie posadzonych tysiąc nowych drzew” oraz „dwadzieścia dwa i pół tysiąca krzewów różnych gatunków”, a ziemia z wykopów posłuży do usypania stoku narciarskiego. Tę ostatnią obietnicę rzeczywiście spełniono i przez kilka lat sporych rozmiarów górkę w pobliskim parku podpisywano na mapach jako „stok narciarski”. Nigdy jednak nikt nie zjeżdżał z niej na nartach, ponieważ w Newcastle rzadko padał – i nadal rzadko pada – śnieg.

Na zdjęciach lotniczych z lat sześćdziesiątych widać, że obszar, na którym dziś znajduje się trójkąt, dawniej zajmowało boisko szkolne, a obok niego stały długie rzędy gregoriańskich domów. Boisko i osiedle nadal tu są, tyle że brutalnie ucięte, kończą się przed dwupoziomową autostradą. Gwałtowność i nagłość zmiany w przestrzeni wywołują głębokie poczucie straty. Przepaść pomiędzy starym światem a zbudowaną na jego fundamencie nową rzeczywistością nigdy nie zarosła. Bardzo szybko po tym, jak autostradę oddano do użytku, pojawiły się inicjatywy – dziś

kontynuowane w internecie – zbierania starych zdjęć, map i wspomnień o miejscu, które zniknęło.

Nieokreśloność i przypadkowość współczesnych okrawków, pozostałości, takich jak mój trójkąt, zdaje się naśladować dawne ulice, ale w ich naturze leży niespójność, podatność na powtarzającą się w nieskończoność ponowną interpretację. W niektórych miastach istnieje moda na nadawanie nazw tego rodzaju miejscom, oczywiście tym najbardziej dostępnym, oraz zakładanie w nich mikrogospodarstw, a nawet zasiedlanie ich. W Newcastle tego nie ma, miasto zachowuje odporność na fanaberie bohemy. Współczesne pozostałości znajdują się w kręgu zainteresowań postindustrialnej, twórczej wyobraźni, odpowiadają bowiem naukowej fascynacji transgresywną przejściowością. Trend dał początek długiej liście neologizmów, chętnie używanych przez postmodernistycznych geografów: „martwa strefa", „przestrzeń bezimienna", „pusta przestrzeń", „przestrzeń liminalna", „miejska próżnia", „*terrain vague*" (nieużytek), „krajobrazoluka", „krajodpad".

Takich miejsc jest zbyt wiele, by przygarnął je żargon akademicki. Jedyny rodzaj pisarstwa, które naprawdę do mnie przemawia, kiedy myślę o moim drogowym trójkącie, to powieść. Na przykład *Wyspa* J.G. Ballarda. Jej bohater, Robert Maitland, ulega wypadkowi samochodowemu i ląduje na wysepce drogowej.

> Maitland stwierdził, że rozbił się na małej wyspie, długiej może na dwieście jardów i trójkątnej w kształcie, położonej u zbiegu trzech autostrad[15].

Wyspa to podróż Ballarda do źródeł urazu psychicznego i rozważania na temat możliwości, jakie daje współczesny krajobraz. Nieważne, że Jane Sheppard, która podejmuje próbę uratowania Maitlanda, bez trudu dostaje się na wysepkę i opuszcza ją. Maitland nie potrafi ruszyć się z miejsca, ponieważ wysepka wywołuje u niego rozpaczliwe pragnienie nadania znaczenia bezmiejscowości. Musi zostać tam, gdzie jest, po to, by tworzyć rytuały, przejmować i nazywać kolejne obszary swojego nowego królestwa.

> Przemówił na głos, jak kapłan odprawiający eucharystię własnego ciała.
> – Wyspa to ja[16].

Gdzie indziej Ballard pisze: „Zamiast bać się wyobcowania, powinniśmy przyjmować je z otwartymi ramionami, ponieważ może ono zaprowadzić nas do czegoś ciekawszego”. A jednak boję się wyobcowania i mam ku temu powody. Jednym z nich jest codzienne mijanie trójkątnej wysepki w Newcastle. Stanowi to dla mnie źródło urazu bodaj głębszego niż osobista trauma opisana przez Ballarda w *Wyspie*, ponieważ trójkąt ten jest miejscem, z którego usunięto t a k w i e l e historii. Cięcie, jakie zadano szeregowcom i polom, sprawia wrażenie świeżego i wciąż broczącego krwią. Krajobraz został okaleczony. Chce się odwrócić od niego wzrok. Łatwiej go zignorować, niż zaakceptować.

A gdybym zgłosił pretensję do tego skrawka lądu? Gdybym stał się półgodzinnym Robinsonem Crusoe na wyspie pośród zgiełku autostrady? Niewykluczone, że to jedyny sposób, aby wyrzucić to miejsce z pamięci i wyleczyć się z dość niezdrowej obsesji na jego punkcie. A może coś tam jest? Jakaś konstrukcja, jakiś właz, jakiś element przeszłości? Wyprawa – pielgrzymka – na tę wysepkę drogową stała się dla mnie koniecznością. Wybrałem się tam pewnego stosunkowo spokojnego przedpołudnia; to bodaj jedyna pora dnia, kiedy można bez większych kłopotów przejść tu przez ulicę. Pokonanie wjazdu na autostradę okazuje się nie takie trudne, jak sądziłem, poza tym wygięta w jednym miejscu bariera energochłonna znacznie ułatwia mi dostanie się na wysepkę. Kiedy już tam jestem, naraz opanowuje mnie dotkliwe poczucie zażenowania. Teren porastają młode klony, olchy i inne samosiejki. Dokoła mnie nasila się ruch uliczny, a ja staram się wyglądać, jakby moje przebywanie na wysepce miało jakiś cel, jakbym był, dajmy na to, przedstawicielem rady miasta, badającym bioróżnorodność trójkąta, jakbym robił coś sensownego. Szybko jednak dociera do mnie, że istnieją inne wysepki drogowe, bardziej zachęcające i dające pole do eksploracji, bo akurat tej konkretnej nie sposób odzyskać dla człowieka. Żaden kapłan nie odprawi tu eucharystii. Czuję przemożną chęć, by położyć się i zniknąć z pola widzenia. Powstrzymuje mnie jedynie świadomość tego, że jeśli to zrobię, paradoksalnie natychmiast stanę się jeszcze bardziej widoczny, ponieważ kierowcy będą myśleli, że może ktoś podrzucił tam martwe ciało. Pięć minut później znajduję się już z powrotem na stałym lądzie i czuję, jak buzuje we mnie energia. Doszedłem do wniosku, że trójkątna wyspa jest nienazywalna, niepoznawalna i nieodzyskiwalna. To znaczy: ja nie potrafię tego zrobić. Wyspa zachowała

swoją godność, podczas gdy ja moją chyba straciłem. Istnieje mnóstwo innych „krajobrazoluk”, z którymi może mi się poszczęścić. Rekolonizacja miasta nadal wydaje mi się nieodzowna, ale teraz chcę się stąd po prostu oddalić. Uciekam z wyspy, przecinam wjazd na autostradę, schodzę z niego i wreszcie mogę odetchnąć.

4. Umarłe miasta

Wittenoom

22° 14’ 10” S; 118° 20’ 08” E

Miejsca opuszczone przez ludzi mają paradoksalny charakter. Mimo iż wydają się pozbawione swojej funkcji, zachowują istotne symboliczne znaczenie. Najjaskrawszym przykładem martwych miast są te zbudowane dla celów politycznych (patrz: *Kijŏng-dong*, *Kangbashi*, *Park Archeologiczny Sycylijskiej Niedokończoności*), ale miejsca wyludnione z powodu konfliktów (patrz *Ağdam*) albo klęsk i katastrof (patrz: *Prypeć*, *Wittenoom*) oddziałują równie silnie.

Wittenoom znajduje się trzynaście godzin jazdy samochodem na północ od Perth w stanie Australia Zachodnia i jest przeklętym miejscem. W 2007 roku miasteczko, niegdyś znane z wydobycia krokydolitu, surowca do produkcji azbestu, oficjalnie przestało istnieć. Według rządu stanowego Wittenoom jest nadal silnie skażone włóknami kancerogennymi. Po usunięciu z mapy Wittenoom trafiło na listę miejscowości uśmierconych przez przemysł, który przed laty pozwolił im się narodzić.

Istnieje długa tradycja rozpatrywania klęsk i katastrof w kontekście geograficznym, a mimo to coraz częściej reagujemy nerwowo, gdy przypomina nam się o miastach, które nie spełniły oczekiwań, o miastach „upadłych”. Podróż w czasie, od Sodomy i Gomory do miejsc klęsk i katastrof ery przemysłowej, jest zarazem przejściem od ostrej i napastliwej moralnej geografii ery przednowoczesnej do kultury unikania i niepokoju. Podczas gdy dawniej obrócone wniwecz miasta miały służyć jako trwały przykład przemyślności zła, dziś skażone pozostałości świeckich czasów ukrywa się przed ludzkim wzrokiem. Przystankiem na drodze od jednego rodzaju moralnej geografii do drugiego jest wymazane z map miasteczko Wittenoom.

Zanim w 1966 roku zamknięto tamtejszą kopalnię, Wittenoom liczyło około dwudziestu tysięcy mieszkańców. W 2006 roku odcięto linię doprowadzającą prąd do miasteczka, a rząd stanowy w Perth wydał surowy

zakaz wstępu do tego wymarłego miejsca. W oficjalnych dokumentach nakreślono plan całkowitej likwidacji miasta:

– Wittenoom powinno zostać zamknięte najszybciej, jak to możliwe;
– wszystkie budynki należy wyburzyć, zaś wszelką związaną z nimi infrastrukturę usunąć, tak aby nie pozostał żaden widoczny ślad dawnego zamieszkiwania;
– drogi wiodące do miasta oraz kanionu Wittenoom trzeba zamknąć, ewentualnie zmienić ich przebieg.

Plan odpowiadał oczekiwaniom mieszkańców Australii Zachodniej. Kontakt z azbestem w dowolnej postaci, nawet krótkotrwały, może doprowadzić do śmierci, zaś krokydolit, nazywany niebieskim azbestem, jest najbardziej zabójczą odmianą tego minerału. Setki robotników zatrudnionych w Wittenoom, mieszkańców miasteczka, a nawet osób, które przebywały tam z krótką wizytą, zmarły na międzybłoniaka opłucnej i inne choroby będące skutkiem kontaktu z azbestem. Podtytuł traktującej o Wittenoom książki dziennikarza śledczego Bena Hillsa *Blue Murder* (Niebieskie morderstwo) z 1989 roku brzmi: *Two Thousand Doomed to Die* (Dwa tysiące skazanych na śmierć). Mimo iż duża część miasteczka została wyburzona, przedsiębiorcza krnąbrność utrzymała je w połowicznym zaniku aż do początku XXI wieku. Przez lata populacja Wittenoom, funkcjonującego jako atrakcyjne turystycznie *ghost town*, oscylowała wokół trzydziestu osób, a na miejscu w sklepiku z pamiątkami można było kupić naklejkę na zderzak z hasłem: „Byłem w Wittenoom i żyję”. W porównaniu z martwą ciszą Koegas w Republice Południowej Afryki, górniczego miasteczka, w którym niegdyś wydobywano największe na świecie ilości niebieskiego azbestu, dziś zaś zupełnie wyludnionej miejscowości (na dobre opuszczono ją w 1979 roku), Wittenoom niemal tętni życiem. Ale w ciągu ostatnich kilku lat liczba stałych mieszkańców spadła do pięciu osób, a rząd stanowy podejmuje starania, by wynosiła okrągłe zero.

O istnieniu Wittenoom dowiedziałem się z nakręconego na zamówienie inspektoratu bezpieczeństwa i higieny pracy filmu, w którym zagrał znany australijski artysta estradowy Rolf Harris. W 1948 roku do Wittenoom przyjeżdża artysta, postać grana przez Harrisa, z zamiarem przelania na płótno imponujących widoków kanionu, w którym leży miasteczko. Na miejscu dowiaduje się jednak, że aby uzyskać swobodny dostęp do tego

miejsca, musi podjąć pracę – i tak zostaje, jak sam mówi, „kompletnie beznadziejnym” górnikiem. Czołgając się w niskich i wąskich tunelach, Harris doświadcza na własnej skórze ciężkiego losu górnika i przekonuje się, że zarówno pod względem bezpieczeństwa, jak i higieny – „chmura pyłu” unosząca się wszędzie tam, gdzie robotnicy kruszą skałę – praca przy wydobyciu azbestu to bardzo ciężki kawałek chleba. Na szczęście dla niego harówka w Wittenoom okazuje się tak wyczerpująca, że Harris nie zagrzewa długo miejsca w kopalni. Azbest nie oszczędza za to jego ojca: umiera na pylicę, której nabawił się, pracując w elektrowni w Perth albo stawiając dla swojej rodziny konstruowany z elementów prefabrykowanych *fibro shack*, dom z włókien (*fibro* to eternit, czyli płyta azbestowo-cementowa o włóknistej strukturze), bardzo popularny w Australii w czasie powojennego boomu budowlanego.

Początek wydobycia azbestu w tym oddalonym od stolicy stanu regionie przypada na 1938 rok. Wzrost zapotrzebowania na minerał w czasie drugiej wojny światowej przyczynił się do szybkiego rozwoju tamtejszych kopalń i w 1947 roku postanowiono wybudować miasteczko dla przybywających do pracy w kanionie górników. W następnej dekadzie osada miała już znaczne rozmiary, ale działające w jej okolicy kopalnie przestały przynosić krociowe zyski, ponieważ powoli przegrywały rywalizację z południowoafrykańską konkurencją. Opuszczenie miasteczka w 1966 roku nastąpiło dlatego, że kopalnie generowały straty – bynajmniej nie zaś z tej przyczyny, że martwiono się o zdrowie górników czy mieszkańców Wittenoom. Dopiero pod koniec lat siedemdziesiątych ujawniono rozmiary tragedii, nazwanej największą katastrofą przemysłową w historii Australii.

Rząd stanu Australia Zachodnia uznał koszty oczyszczenia terenu dawnego Wittenoom za zbyt wysokie. Pojawiły się również zrozumiałe obawy, czy w ogóle warto proponować obywatelom ponowne osiedlanie się w miejscu, w którym wciąż jeszcze nie odkryto wszystkich stref składowania niebezpiecznych materiałów. Wittenoom postanowiono wymazać. Taki sam los spotyka wiele innych miast–ofiar klęski żywiołowej bądź katastrofy. Nie poprzestaje się na zakazie wstępu do miejscowości: usuwa się je z drogowskazów, książek telefonicznych i indeksów nazw geograficznych. W apelu umarłych miast należałoby wymienić na przykład: Prypeć, sypialnię pracowników elektrowni jądrowej w Czarnobylu (patrz *Prypeć*); Bieczewinkę, rosyjską bazę atomowych okrętów podwodnych

wraz z miasteczkiem, opuszczoną po serii wycieków radioaktywnych; Centralię, górniczą osadę w Pensylwanii, nienadającą się do ponownego zamieszkania ze względu na trwający nieprzerwanie od 1962 roku gigantyczny pożar w znajdujących się pod nią kopalniach (na drodze dawniej prowadzącej do Centralii ktoś namalował sprayem hasło: „*Welcome to Hell*" – witajcie w piekle); a także zamknięte z powodu zanieczyszczenia terenu Gilman w stanie Kolorado, gdzie przez lata wydobywano ołów.

Miejscowości te, mimo iż zepchnięte w cień, mają przynajmniej swoją nazwę, można nawet powiedzieć, że niektóre zyskały pewną sławę – jeśli spojrzymy na nie z perspektywy tysięcy mniej okazałych, niewyróżniających się, bezimiennych miejsc, które uległy skażeniu i zostały zamknięte. Zna je każdy z nas. Stosunkowo blisko mojego domu w Newcastle znajdują się dość rozległe tereny miejskie zanieczyszczone ołowiem, arsenem, kadmem i cynkiem. Skażona ziemia to powszechny widok. Zdarza się, że takie obszary zyskują lokalną popularność, tak samo intrygują śmiałków szukających przygód, jak i osoby z natury mniej skłonne do ryzyka. Dla niektórych symbolizują niekontrolowaną industrializację i jej zgubne skutki, w innych zaś – myślę, że w większości – wzbudzają raczej ogólny strach.

Rządy państw wybierają oczywiście najprostszą metodę pozbywania się problemu brudnych plam na mapie: wywabiają je. Porzucanie i usuwanie skażonych miast ma, rzecz jasna, solidne podstawy, stoją za tymi działaniami bezpieczeństwo i higiena, ale nie powinniśmy zapominać o innych ludzkich potrzebach. Chodzi mi o pozostawianie miast widm jako symboli – pamiątek – klęsk i katastrof, jak również o coś dużo starszego i bardziej uniwersalnego: o potrzebę moralnego porządkowania krajobrazu, która ma długą tradycję. Jeden z najlepszych pamfletów ateistycznych epoki wiktoriańskiej nosił tytuł *Hell: Where Is It?* (Piekło: gdzie ono jest?). Jeśli to pytanie wydaje nam się dziwne, dzieje się tak, ponieważ zapomnieliśmy, że dawniej geografia miała kluczowe znaczenie dla moralności i religii. Niebo, piekło i inne sfery, w których dostępuje się zbawienia bądź potępienia, rozumiano jako konkretne, istniejące w kartograficznej rzeczywistości miejsca. Sporządzano mapy moralności, pomagające ludziom sytuować się w etycznym krajobrazie. Potrzebujemy, jak się wydaje, moralności ukorzenionej w określonym miejscu

i przypisanej do określonej ścieżki życiowej; oderwanie jej od miejsca sprawia, że ulatuje na dobre. Kiedyś religia mówiła o tym wyraźnie, odpowiadała na zrozumiałe pragnienie ludzi, stworzeń naziemnych, aby moralność była wpisana w otoczenie i aby istniała możliwość podróżowania z miejsc dobrych do złych i odwrotnie.

Dlatego zamiast wymazywać z map miejsca takie jak Wittenoom, powinno się je pielęgnować jako jaskrawe przykłady skutków chciwości i ignorancji. Stanowią one część naszego życia, naszej cywilizacji, toteż powinniśmy z podniesioną głową, ale i ze skruchą, pogodzić się z ich istnieniem. Usuwanie takich miejsc to zwykły retusz krajobrazu, nieprzekonujący i tylko z pozoru załatwiający sprawę. Wittenoom winno być pomnikiem obdarzanym uwagą, jaką poświęcamy polom bitewnym – z tym że raczej z bezpiecznej odległości.

Kangbashi

39° 35’ 59” N; 109° 46’ 52” E

Przekonaliśmy się, że miejsca dysponują mocą, której symbolem jest władza, jaką ma ona nad miejscami. Łącząca te dwie rzeczy głęboka więź uwidacznia się zwłaszcza w bezludnych krajobrazach, takich jak dzielnica widmo Kangbashi New Area chińskiego miasta Ordos.

O Kangbashi, nowo wybudowanej, niezamieszkałej dzielnicy, stojącej na suchym pustkowiu Mongolii Wewnętrznej, regionu autonomicznego w północnych Chinach, usłyszałem po raz pierwszy w 2009 roku. Wtedy w prasie ukazały się artykuły opisujące szerokie ulice, rzędy wysokich bloków, imponujące place pełne architektury ikonicznej[17], a pośród tego wszystkiego… ani żywej duszy. Później, głównie za pomocą zdjęć satelitarnych, namierzono kolejne chińskie miasta widma: wielkie osiedla, świeżo wzniesione przedmieścia, bloki czekające na mieszkańców, muzea, których nikt nie odwiedza, centra handlowe bez kupujących. Jak łatwo się domyślić, towarzyszące tym opisom doniesienia ponuro wieszczyły cenową bańkę na rynku nieruchomości i nieuchronny krach finansowy. To jednak nie wszystko. Po bliższym zbadaniu okazuje się, że Kangbashi jest współczesną prowincjonalną wersją imperialnej geomancji[18]. Samorząd lokalny zbudował sobie imponujące minimiasto, zaprojektowane tak, by

wyrażało i utrwalało jego władzę nad krajobrazem. W sercu nowej dzielnicy znajduje się obszerny pałac; stoi na placu, od którego rozchodzą się promieniście aleje obsadzone z obu stron drzewami. Pałac góruje nad otoczeniem, jest tronem miasta, które w krótkim czasie znacznie się wzbogaciło.

Ordos (słowo to znaczy po mongolsku „wiele pałaców”) leży w centrum chińskiego zagłębia węglowego w regionie autonomicznym Mongolia Wewnętrzna. W 2000 roku produkt krajowy brutto Ordos wynosił dwa i pół miliarda dolarów, a dziewięć lat później już czterdzieści jeden miliardów. To przygraniczne miasto przeżywa prawdziwy rozkwit, można w nim dorobić się prawdziwej fortuny. Śmiałkowie gotowi podjąć ryzyko, ale i oczekujący znacznej nagrody za swój trud, pracowicie przekopują otaczające Ordos połacie ziemi, upstrzone dosłownie tysiącami wyrobisk. Wiele takich miejsc trudno nawet nazwać kopalniami z prawdziwego zdarzenia, górnicy po prostu wciskają się do wąskich, niezabezpieczonych szybów, w których ledwo się mieszczą. Często wybuchają podziemne, niemożliwe do ugaszenia pożary. Praca jest ciężka i niebezpieczna, ale opłacalna. Do Ordos płynie nieprzerwany strumień podatków i opłat licencyjnych – właśnie w pieniądzach ma swoje źródło wyjątkowa ambicja tego miasta. Zapragnęło ono przeistoczyć się z zaścianka w metropolię.

Nazywanie Ordos miastem to zresztą spore nadużycie, ponieważ w znakomitej większości stanowi ono rozległe trawiaste pustkowie. W jego północno-wschodniej części znajduje się stare miasto Dongsheng, pełne wąskich, zakurzonych uliczek. Żeby dostać się do widmowego Kangbashi, trzeba pokonać dwadzieścia pięć kilometrów, kierując się na południowy zachód od Dongsheng – wszystko to w ramach jednego miasta o ogromnej powierzchni, ale gęstości zaludnienia wynoszącej raptem osiemnaście osób na kilometr kwadratowy. Dla porównania: gęstość zaludnienia w Londynie to niemal pięć tysięcy osób na kilometr kwadratowy, a na Manhattanie – dwadzieścia pięć tysięcy. Ordos nie musi stosować się do przyjętych reguł ani przejmować konsekwencjami. Przygotowując grunt pod Kangbashi, włodarze miasta przesiedlili prawie czterysta wiejskich rodzin. Powstała dzielnica dla trzystu tysięcy mieszkańców, której wybudowanie, jak łatwo się domyślić, nie było tanim przedsięwzięciem. Chętni znajdą tu luksusowe apartamenty, ogromne place i parki, a także dwa kilkukilometrowej długości sztuczne jeziora.

W 2010 roku władze miasta przyznały, że na życie w Kangbashi zdecydowało się mniej niż trzydzieści tysięcy osób. W działaniach Chińczyków zachodni zwolennicy teorii spiskowych wietrzą plan. Mówi się, że pekińscy działacze Komunistycznej Partii Chin, przewidując globalny armagedon, nakazali wybudowanie miast w celu zapewnienia schronienia najważniejszym członkom społeczeństwa, w razie gdyby reszta kraju wyparowała po ataku nuklearnym albo zniknęła pod wodą wskutek katastrofalnych powodzi. Na jednej z amerykańskich stron poświęconych teoriom spiskowym możemy przeczytać, że „decyzja komunistycznego rządu Chin o wybudowaniu w strategicznych lokalizacjach (takich jak mongolskie góry) sieci miast mogących pomieścić setki tysięcy uchodźców wydaje się bardzo rozsądna". Bardziej przekonującym wyjaśnieniem porażki Kangbashi jest to, że miejscowi oficjele po prostu przedobrzyli. Nie zdołali przewidzieć skali spekulacji na mieszkaniach budowanych w nowej dzielnicy. W całych Chinach dysponujący gotówką przedstawiciele nowej klasy średniej rzucili się do wykupowania nieruchomości w Kangbashi, licząc na szybki i łatwy zarobek, ale nawet nie planując przeprowadzki do nowego miasta.

Niemniej jednak w Kangbashi chodzi nie tylko o ekonomię. Nie zaprzestano budowy miasta, nawet kiedy dla wszystkich stało się jasne, że mieszkania będą puste. Skala budowli, rozmiary parków i placów – wszystko to nie ma sensu z punktu widzenia ekonomii i nigdy go nie miało. To również opowieść o samorządzie lokalnym, przywdziewającym szaty Huang Di (Żółtego Cesarza) zagłębia węglowego i przekształcającym krajobraz tak, jak przystało na monarchę, czyli w celu podtrzymania i ugruntowania swojej władzy.

Rządząc z wysokości miejskiego pałacu, otoczonego pustymi ulicami i pustymi muzeami, władcy Kangbashi pragną stać się częścią długiej imperialnej tradycji cywilizowania pustkowi. Nie przez przypadek miasto zbudowano na osi północ–południe, w klasycznym, cesarskim układzie urbanistycznym, i też nieprzypadkowo budynki użyteczności miejskiej wzniesiono frontem do wody i tyłem do gór – ponieważ jest to najbardziej korzystne ustawienie według tradycyjnej geomancji. Przedłużenie symboliki stanowi dwukilometrowy, spływający w stronę jeziora plac Słońca, otoczony imponującymi pomnikami kultury, takimi jak centrum sztuki, elegancka i przestronna biblioteka i ogromna aluminiowa klucha,

mieszcząca muzeum miasta Ordos. Wszystko postawiono z wielkim rozmachem, a to, że jedynymi mieszkańcami miasta są nieliczni, zakłopotani turyści, ma niewielkie znaczenie. Pomniki inwencji twórczej i nauki stanowią wyraz i potwierdzenie mocy tego miejsca, tak jak święte ścieżki i świątynie podkreślały potęgę starożytnych Chin. Wiara pokładana w Kangbashi jest tak silna, że oczekuje się po nowym mieście tego, iż położy kres sporom politycznym – albo przynajmniej je wyciszy. Na placu Czyngis-chana stoją na cokołach okazałe kamienne pomniki mongolskiego wodza i innych ważnych dla mongolskiej tożsamości narodowej postaci. Można też tam zobaczyć rzeźbę przedstawiającą dwa stojące dęba i ścierające się kopytami konie. Napięte stosunki pomiędzy Mongołami a narodem Chińczyków Han – stanowiącym dziewięćdziesiąt procent mieszkańców Ordo (i ponad dziewięćdziesiąt dwa procent ogółu mieszkańców Chin), ale w pozostałej części Mongolii Wewnętrznej będącym w mniejszości – rozmywają się we wspólnych symbolach ambicji i przedsiębiorczego zrywu. W Kangbashi nie da się uświadczyć niczego, co kojarzyłoby się z brudnymi kopalniami, które zapewniają stały dopływ gotówki potrzebnej do sfinansowania całej tej wymyślnej architektury.

Zakładanie miast widm weszło chińskim planistom w krew. Istnieje na przykład do niedawna uważane za niezamieszkane Zhengzhou New District, a także mnóstwo innych osiedli, często nawet nieposiadających nazwy. Chińczykom udało się wybudować taką miejscowość nawet w Angoli: obliczone na pół miliona mieszkańców osiedle Nova Cidade de Kilamba mieści się trzydzieści kilometrów od stołecznej Luandy, znajduje się w nim kilkanaście szkół i ponad siedemset ośmiopiętrowych bloków, które stoją puste.

Wszystkie te wymyślone, emanujące pewnością siebie krajobrazy cechuje atmosfera niecierpliwości, a nawet pewnej desperacji. Niezamieszkałe miasta przywołują moc, ale nie potrafią jej zatrzymać. Wypełniają arogancką wolę władzy, jednocześnie podkreślając jej słabość.

Żyjący w przyszłości geografowie będą omawiali pierwsze dekady XXI wieku jako epokę miast bez mieszkańców, bezludnych na przekór szybkiemu wzrostowi światowej populacji. Nigdy wcześniej nie mieliśmy do czynienia z tyloma nowo powstającymi niezamieszkanymi osiedlami, i to wznoszonymi na taką skalę. Prasa pisze o nich z mieszanką zdumienia, konsternacji i – zwłaszcza w kontekście Chin – *Schadenfreude*[19];

zgryźliwe komentowanie to bowiem jedna z ostatnich przyjemności zazdrosnego świata, ze zdziwieniem obserwującego spektakularny rozwój urbanistyczny Państwa Środka. Aby zrozumieć Kangbashi, trzeba sobie uświadomić, że jest ono zarówno symbolicznym, jak i rzeczywistym krajobrazem; stanowi przykład miasta nowego typu odwołującego się do starej magii.

Kijŏng-dong

37° 56’ 12” N; 126° 39’ 21” E

Kijŏng-dong to fałszywka, miejsce, w którym zapalają się i gasną światła w blokach bez szyb w oknach. Kijŏng-dong nie ma żadnych mieszkańców, nikt też nie jeździ tam z wizytą. Regulatory czasowe włączają i wyłączają oświetlenie, a odpowiednie służby sprzątają ulice. Miejscowość Kijŏng-dong w Korei Północnej, nazywana „Wioską Pokoju”, została wybudowana w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku jako wabik na potencjalnych uciekinierów z Korei Południowej oraz na dowód nowoczesności i rozwoju komunistycznego państwa. Pytanie brzmi: jaka bezlitosna logika utrzymuje to miejsce przy życiu?

Rzadko można spotkać osady fasadowe takich rozmiarów. Nazywa się je wsiami potiomkinowskimi, od nazwiska rosyjskiego namiestnika Krymu, który rzekomo kazał stawiać fałszywe wsie – wyposażone nawet w migoczące paleniska – wzdłuż trasy podróży carycy Katarzyny II po nowo zdobytym półwyspie. Namiestnik liczył ponoć na to, iż uda mu się wywrzeć na monarchini wrażenie, że Krym jest znakomicie prosperującą i licznie zamieszkałą krainą. Niestety, legenda najprawdopodobniej niewiele ma wspólnego z prawdą. Lepszy przykład stanowią za to budowane w czasie drugiej wojny światowej cele pozorowane (patrz *Arne*). Jedną z największych tego typu konstrukcji był fałszywy Paryż, wzniesiony po to, by zwodził pilotów nieprzyjacielskich bombowców. Te miejscowości powstawały jednak w pośpiechu i w porównaniu z Kijŏng-dong wyglądały tandetnie. Północnokoreański pomysł, by stworzyć fasadową cywilną osadę o trwałym charakterze, pomyślaną jako propagandowa zmyłka dla „braci” po drugiej stronie granicy, jest jedyny w swoim rodzaju.

Wioska Pokoju powstała po podpisanym w 1953 roku przez obie Koree zawieszeniu broni. Wyznaczono wtedy linię demarkacyjną: pas ziemi o szerokości czterech i długości dwustu pięćdziesięciu kilometrów, i oba państwa zgodziły się na wybudowanie po jednej osadzie na tej zdemilitaryzowanej ziemi niczyjej. Południe postanowiło ograniczyć się do zachowania ryżowej wioski Daeseong-dong, Północ podjęła zaś decyzję o budowie Kijŏng-dong w miejscu oddalonym o nieco ponad dwa kilometry od południowokoreańskiej miejscowości. Północ zrobiła to z rozmachem, na zdjęciach z Google Earth widać rozciągnięte na dużej powierzchni osiedle, składające się z trzech głównych skupisk budynków oddzielonych polami uprawnymi. W każdym ze skupisk stoją rzędy wysokich bloków mieszkalnych i budynków użyteczności publicznej, wiele z nich zostało otoczonych przez sporych rozmiarów ogrody. Kijŏng-dong próżno szukać na większości map Korei Północnej, ale od razu widać, że Wioskę Pokoju wzniesiono po to, by robiła wrażenie. Eksponowanie kosztownego pokrycia dachowego i infrastruktury energetycznej świadczy o dość anachronicznym postrzeganiu luksusu i sukcesu, choć rzeczywiście na tle typowych dla tych terenów, i dla lat pięćdziesiątych, chłopskich chat krytych strzechą Kijŏng-dong musiała wyglądać jak futurystyczny twór. W tamtej epoce budownictwo wielorodzinne i elektryfikacja były kluczowymi symbolami komunistycznego postępu, trudno jednak oczekiwać, żeby dziś Wioska Pokoju robiła na mieszkających po południowej stronie granicy Koreańczykach jakiekolwiek wrażenie. Wszyscy oni doskonale wiedzą, że Korea Północna to biedny kraj, do tego jeden z najsłabiej oświetlonych w całej Azji; na nocnych zdjęciach satelitarnych Korea Północna jest czarną plamą otoczoną przez rzęsiście rozświetlonych sąsiadów.

Oficjalne stanowisko północnokoreańskich władz jest takie, że Kijŏng-dong to kwitnąca osada i że znajdują się tam duże państwowe gospodarstwo rolne (w którym pracuje dwieście rodzin), a także wiele budynków użyteczności publicznej, na przykład szpital i szkoły. Wioska Pokoju leży na tyle blisko granicy, że wystarczy przyjrzeć się jej przez lornetkę, by przekonać się, że to tylko fasada. Wielu zresztą chętnie korzysta z tej sposobności. Kiedy napięcie pomiędzy oboma państwami chwilowo opada, przejście graniczne przyciąga tłumy turystów gotowych wkroczyć do strefy zdemilitaryzowanej i znaleźć się o krok od niedostępnej Północy.

Odwiedzających przestrzega się przed nawiązywaniem kontaktu wzrokowego z północnokoreańskimi żołnierzami oraz wykonywaniem w ich stronę jakichkolwiek gestów, a następnie zabiera do wioski Panmundżom, skąd wyraźnie widać Kijŏng-dong. Wieś znajduje się niemal na wyciągnięcie ręki, a jednak poza zasięgiem. Wizyta w Panmundżomie jest typowym przykładem tak zwanej czarnej turystyki. O dreszczyk emocji przyprawia turystów nawet wydane przez południowokoreański rząd oficjalne ostrzeżenie, że wypad do strefy zdemilitaryzowanej oznacza „wkroczenie na wrogie terytorium i wiąże się z ryzykiem odniesienia obrażeń lub poniesienia śmierci wskutek działań nieprzyjaciela”.

O uwagę walczą również inne, nowsze symbole propagandy. Na przykład stusześćdziesięciometrowy północnokoreański maszt flagowy postawiony w odpowiedzi na południowokoreański w Daeseong-dong, mierzący niespełna sto metrów i przez chwilę najwyższy na świecie maszt. Niemniej jednak to Kijŏng-dong pozostaje najmocniejszym i jak dotychczas najgłośniejszym symbolem, dosłownie najgłośniejszym, bowiem do 2004 roku z głośników zamontowanych na pustych budynkach osady prawie co godzinę, dniem i nocą, niosły się po okolicznych polach patriotyczne arie i przemowy potępiające południową Koreę. W 2010 roku, po kilku latach ciszy, krótko po zatopieniu przez Koreańczyków z Północy południowokoreańskiej łodzi podwodnej z czterdziestosześcioosobową załogą, głośniki ponownie ożyły.

Kijŏng-dong wydaje się nowym pomysłem, ale w rzeczywistości gładko wpisuje się w dwudziestowieczną tradycję fasadowych architektonicznych widowisk. Reżimy komunistyczne na całym świecie, od Moskwy po Pekin, miały słabość do monumentalnych i monstrualnie bezużytecznych budowli. Wznosiły je jako wyraz zapału rewolucyjnego i potwierdzenie niezmienności nowego porządku. Cóż można sądzić o mającym tysiąc sto pomieszczeń bukareszťańskim Pałacu Parlamentu (zwanym też Pałacem Narodu i Domem Ludowym), drugim co do wielkości budynku świata, który w 1989 roku – wtedy pozbawiono władzy i zabito rumuńskiego dyktatora Nicolae Ceaușescu – sześć lat po rozpoczęciu budowy, nadal wykańczano? Albo o ogromnym monumencie na Buzłudży, samotnym, trudno dostępnym i wyglądającym jak statek kosmiczny symbolu bułgarskiego komunizmu, pełnym krzykliwych malowideł i posadowionym na szczycie góry? Kijŏng-dong stanowi część długiej tradycji topornej

architektury propagandowej. Tradycja ta przedkłada symbolizm nad użyteczność, gest nad treść. Podziwianie takich budowli może się wydawać aktem głębokiej desperacji, ale tylko z daleka – to psychiczno-polityczny kompleks, który nie tylko rodzi fałszywki, lecz także dba o nie z czułością.

W całej Korei Północnej znajdziemy liczne pomniki dobrobytu i postępu. Na przykład Łuk Triumfalny w Pjongjangu, największy na świecie, stojący nad szosą, po której porusza się mnóstwo pojazdów. Wzniesiono go w 1982 roku z dwudziestu pięciu i pół tysiąca bloków granitowych – każdy symbolizował jeden dzień życia przywódcy narodu. Na ścianach budowli umieszczono tekst *Pieśni o Generale Kim Ir Senie*. Albo Łuk Ponownego Zjednoczenia noszący oficjalną nazwę Pomnika Trzypunktowego Planu Ponownego Zjednoczenia Narodu, rozciągający się nad kolejną nieużywaną autostradą. Nad stolicą góruje stusiedemdziesięciometrowa Wieża Dżucze upamiętniająca siedemdziesiąte urodziny Kim Ir Sena, człowieka, który doprowadził kraj do obecnego, opłakanego, stanu. Pod pomnikiem odbywają się parady wojskowe, podczas których ulicami przetaczają się transportery z imitacjami pocisków – ku uciesze pełnego podziwu świata.

Korea Północna bezskutecznie ubiegała się o przywilej organizacji igrzysk olimpijskich w 1988 roku – chciała urządzić je wspólnie z siostrą z południa, ale ostatecznie to Korea Południowa została wyłącznym organizatorem imprezy – i w celu promocji idei olimpijskiej wybudowano ogromne i od tamtej pory praktycznie nieużywane obiekty sportowe. W Pjongjangu wzdłuż ulicy Chongchun stoją między innymi: wielki stadion do gry w tenisa stołowego, hala do piłki ręcznej i centrum taekwondo. Najbardziej imponującą konstrukcją w stolicy jest stupięciopiętrowy wieżowiec hotelowy Ryugyŏng, jeden z największych hoteli na świecie i najwyższy budynek w Korei Północnej. Budowa tego piramidalnego, górującego nad Pjongjangiem kolosa rozpoczęła się w 1987 roku i do tej pory nie została ukończona. Wątpliwe, aby hotel kiedykolwiek przyciągnął rzesze zagranicznych turystów i inwestorów, choć z myślą o nich powstał. Jest kolejną fasadą, nostalgiczną ruiną przyszłości, udającą, tak jak Kijŏng-dong, że chce nas przywabić, podczas gdy tak naprawdę odpycha wszystkich jak najdalej od siebie.

Ağdam

39° 59’ 35” N; 46° 55’ 50” E

Ağdam to największe na świecie wymarłe miasto. Jedna wielka ruina. Dokoła meczetu – jednego z nielicznych budynków, na którym ostał się dach – rozciąga się krajobraz zniszczenia. Widziany z góry, na przykład w Google Earth, Ağdam wygląda jak po wybuchu bomby atomowej.

Miasto padło ofiarą prowadzonej przez Ormian i Azerów wojny o enklawę etniczną o nazwie Górski Karabach. Jest opuszczonym, systematycznie plądrowanym i szabrowanym miejscem. W latach 1992–1994, podczas gdy świat nadal świętował rozpad Związku Radzieckiego, w gwałtownych konfliktach etnicznych w tym regionie ginęły tysiące ludzi, a w Górskim Karabachu trwały bodaj najbrutalniejsze walki. W doniesieniach medialnych z wojny od samego początku mówiło się o szczególnym okrucieństwie żołnierzy w stosunku do cywilów: o skalpowaniu, obcinaniu głów i okaleczaniu zwłok, również dzieci. W wyniku krwawego konfliktu wyemigrowało prawie trzy miliony uchodźców, wśród nich wszyscy ci, dla których domem był Ağdam.

Jedną z cech charakterystycznych współczesnych wojen totalnych jest dążenie do całkowitej zagłady miejsc. Uważa się, że zmiecenie z powierzchni ziemi ośrodków wrogiej cywilizacji przekłada się na unicestwienie woli walki przeciwnika. Intensywność bombardowań przewrotnie podkreśla kluczową rolę miejsca w poczuciu ludzkiej tożsamości. W trakcie działań wojennych najczęściej obraca się w ruinę centra miast, które po zakończeniu konfliktu są szybko odbudowywane. Ağdam od tego typowego modelu odróżniają kompletność i trwałość zniszczenia, a także to, iż doszło do niego stosunkowo niedawno. Kilkadziesiąt lat wcześniej Ağdam był tętniącą życiem stolicą regionu, znaną z ruchliwego bazaru, uroczo staroświeckiego muzeum chleba oraz wytwórni win (choć większość mieszkańców miasta stanowili muzułmanie); istniejąca przed wojną Ağdam Brandy Company miała bogatą, stuletnią tradycję. Dziś jedynym wspomnieniem winiarskiej przeszłości miasta jest wciąż popularne w niektórych republikach postsowieckich wino likierowe o prostej nazwie Ağdam, tani, mocny trunek, określany przez Rosjan mianem „berbeluchy”.

Niewiele osób odwiedza Ağdam. Nieliczni śmiałkowie, którym udaje się przedrzeć przez pola minowe, opowiadają o wręcz apokaliptycznym krajobrazie. Oto dwa fragmenty opisów Ağdamu, pierwszy jest autorstwa Justina Amesa, drugi Paula Bradbury'ego; obaj panowie są podróżnikami prowadzącymi własne blogi.

> Tym, co natychmiast przykuwa uwagę, jest s k a l a zniszczeń. Wydaje ci się, że zbliżasz się do granic miasta albo do końca ulicy, po czym wchodzisz na wzniesienie albo pokonujesz łuk drogi i naraz otwiera się przed tobą kolejne, jeszcze szersze, pole zniszczenia.
>
> W tym niegdyś pięćdziesięciotysięcznym mieście spotkaliśmy piętnastu cywili (kobieta i jej dwóch synów zrywali dziko rosnące na głównej ulicy Ağdamu jagody; staruszkowie i ich wnuczka szukali drewna na opał; pozostali zbierali złom). Na jednej ze zniszczonych bram zauważyłem tabliczkę z numerem. Dom numer 50, ale jaka ulica? Brakowało nazwy. Bezimienną ulicę rozkopano i wyjęto z ziemi wszystkie rury.

Uderza w tych relacjach ton zaskoczenia. „Nigdy w życiu nawet nie słyszałem o Ağdamie" – mówią notki. A ilu z nas słyszało? Niech podniesie rękę ten, kto wie, gdzie leży Górski Karabach. Kiedy postrzępione obrzeża byłego Związku Radzieckiego przerodziły się w ruchome piaski wzajemnych antagonizmów, świat zewnętrzny doznał wywołanej szokiem geoamnezji. W Ameryce Północnej i Europie Zachodniej nazwy państw i miejscowości leżących w tych dalekich krainach, nie do wymówienia, nie do wskazania na mapie, pojawiają się od czasu do czasu w wiadomościach, ale wlatują jednym uchem i wylatują drugim. Osobom pamiętającym czasy zimnej wojny trudno uwierzyć, że mogliśmy całkowicie opacznie zrozumieć istotę czegoś tak ogromnego i, zdawałoby się, tak pewnego jak Związek Radziecki. Nawet z perspektywy ćwierćwiecza niełatwo pojąć, że ZSRR nigdy nie był krajem z prawdziwego zdarzenia, a jedynie niewydolnym imperium.

Ağdam zaskakuje nie tylko dlatego, że pamięć o nim systematycznie zanika. Z kolei dla Ormian i Azerów to miasto jest sugestywnym przypomnieniem odwiecznego – starego jak świat, jak postrzegają to obie strony – sporu terytorialnego, konfliktu pomiędzy agresorem a ofiarą. Zamieszkana przez zagorzałych chrześcijan Armenia ma prawo czuć się osaczona przez nieprzyjaciół: od wschodu graniczy z muzułmańskim

Azerbejdżanem, wiernym sojusznikiem Turcji. Zachodni sąsiad Ormian nie dość, że twardo odmawia wzięcia na siebie odpowiedzialności za rzeź Ormian w 1915 roku, to jeszcze każdego, kto wypowiada się publicznie na ten temat, ściga sądownie pod zarzutem „obrazy" narodu tureckiego. Ale ludy tureckie zamieszkujące ten region same niejednokrotnie padały ofiarą prześladowań i czystek etnicznych; takie masakry, jak ta w Górskim Karabachu, nie należały do rzadkości.

Kiedy na początku lat dwudziestych ubiegłego stulecia bolszewicy przejęli kontrolę nad tym niespokojnym regionem, zaczęli układać się z największymi ludami po to, by zyskać ich przychylność. Z początku obiecali Górski Karabach Ormianom, ale potem, żeby obłaskawić Turków, oddali go Azerom. Sporów nawet nie próbowano rozwiązywać z obustronną korzyścią, lecz od razu przerywano je siłą. Konflikt tlił się przez dekady, aż w końcu zapłonął pod koniec lat osiemdziesiątych, kiedy mieszkańcy Górskiego Karabachu zaczęli masowo protestować przeciwko azerskiemu zwierzchnictwu i wzywać do zjednoczenia z Armenią. Kreml oświadczył, że o żadnych zmianach terytorialnych nie ma mowy, ale kiedy rozpadł się Związek Radziecki, konflikt etniczny wybuchł z wielką siłą.

Pozycja Ağdamu w sporze była szczególna ze względu na jego strategiczne położenie w bezpośrednim sąsiedztwie Górskiego Karabachu. Został wzięty na cel również dlatego, że stanowił tło demonstracji przeciwko oderwaniu tego terytorium; w 1988 roku na ulicach miasta i w jego okolicach doszło do starć pomiędzy Azerami a Ormianami. Ağdam stał się symbolem azerskiego oporu i wojowniczego ducha. Kilka lat później pamięć o tych zdarzeniach kazała proarmeńskim żołnierzom z Górskiego Karabachu dokonać krwawej zemsty, podając marną wymówkę, że Azerowie wykorzystywali Ağdam jako bazę wojskową. Ponieważ miasto było słabo bronione, szybko padło, a jego ludność rzuciła się do ucieczki przed oddziałami najeźdźcy. Po zajęciu Ağdamu agresor wycofał się, po czym ostrzelał opustoszałe miasto tak intensywnym ogniem artylerii, że niemal całe obrócił w perzynę. Zaatakowano również inne miejscowości w tym rejonie, niemniej jednak napaść na Ağdam nie miała sobie równych, tak pod względem brutalności, jak i staranności, z jaką wojsko dokonało dzieła zniszczenia. Dziś obowiązuje zawieszenie broni, ale niewiele wskazuje na to, żeby konflikt rzeczywiście się zakończył.

Ormianie doskonale wiedzą, że okropności wojny z czasem zacierają się w pamięci. Górski Karabach odniósł sukces militarny i ogłosił niepodległość. Pomimo że nie uznaje go żaden kraj na świecie, nawet bratnia Armenia, jest *de facto* suwerennym państwem. Górski Karabach zapowiada, że Ağdam i okolice, które nazywa „strefą bezpieczeństwa", będą dalej pod jego kontrolą dopóty, dopóki państwo nie zostanie oficjalnie uznane przez Azerbejdżan. Uznanie niepodległości Górskiego Karabachu to jednak pieśń odległej przyszłości, toteż na razie „strefę bezpieczeństwa", jak i w ogóle cały separatystyczny region Azerowie określają własnym mianem: „Terytorium Azerbejdżanu okupowane przez Armenię".

Do politycznych deklaracji daleko, a tymczasem zrujnowane miasto zanika. W przerwie między kolejnymi falami przemocy podjęto pewne nieśmiałe kroki zmierzające do przywrócenia Ağdamu do życia: w 2010 roku rząd Górskiego Karabachu ogłosił, że udało się częściowo odbudować meczet, ale cóż, efekt propagandowy wskrzeszenia jednego budynku w niemal całkowicie zrujnowanym mieście jest raczej słaby. Zresztą nawet ten gest dobrej woli pchnął strony do wzajemnych oskarżeń. Karabaskie media przytaczały reakcje opinii publicznej: „Czemu odbudowujemy azerskie meczety, skoro oni zniszczyli nasze cmentarze i kościoły?" – pytali ludzie.

Rozmiary zniszczenia Ağdamu i to, od jak dawna miasto pozostaje niezamieszkane, stały się symbolami cierpienia, złości i goryczy, które dodatkowo pogłębia niezdolność – albo raczej niechęć – świata do przyjrzenia się nieszczęściu Ağdamu i Górskiego Karabachu. Dotychczas odbudowa miasta miała charakter czysto symboliczny – tak uważają kibice klubu piłkarskiego z Ağdamu. Wybudowany w 1952 roku stadion Imaret był siedzibą drużyny Qarabağ Ağdam, ale uległ zniszczeniu. Zawierucha wojenna nie oszczędziła również klubu, który jednak przetrwał jako symbol kulturowy wśród uchodźców z Górskiego Karabachu i odrodził się przy finansowym wsparciu Turków i Azerów. Dziś drużyna – w Azerbejdżanie znalazło się dla niej nowe boisko – gra w azerskiej pierwszej lidze, a nawet walczy w europejskich rozgrywkach. Jakże inaczej potoczyły się losy Karabach Stepanakertu, niegdyś jednego z lepszych klubów Związku Radzieckiego. Zespół został wykluczony z międzynarodowych rozgrywek, podupadł i obecnie cieszy się uznaniem jedynie najwierniejszych miejscowych fanów. Brzmi to jak przypowieść: wychwalane pod niebiosa

wymarłe miasto i upadek zwycięzcy samochwały. Sukces w piłce nożnej to jednak marna pociecha za stratę miasta. Unicestwienie miejsca ma skutki zarówno dla ofiar, jak i dla sprawców. Martwy Ağdam, dopóki nie zostanie wskrzeszony, nadal będzie prowokował akty przemocy i nienawiści.

Prypeć

51° 24’ 20” N; 30° 03’ 25” E

Przeciwieństwem urbanizacji jest powrót natury, fantazja o betonowej miejskiej pustyni pokrytej kobiercem kwiatów. Tyle że w miarę jak rozwijamy naszą zdolność zatruwania planety na wszelkie możliwe sposoby, ta wizja staje się coraz bardziej chora. Natura powraca, owszem, na przykład do ukraińskiego miasta Prypeć, ale robi to przede wszystkim dlatego, że poziom promieniowania na tamtym terenie jest tak wysoki, iż wszyscy ludzie zostali ewakuowani.

Trzy kilometry od Prypeci znajduje się elektrownia jądrowa w Czarnobylu. Pewnego dnia pod koniec kwietnia 1986 roku prypecianie usłyszeli nadany przez lokalną rozgłośnię radiową komunikat o następującej treści: „W elektrowni jądrowej w Czarnobylu doszło do awarii, wskutek czego uległ uszkodzeniu jeden z reaktorów. Skutki awarii są usuwane. Poszkodowanym została udzielona pomoc. Do zbadania przyczyn awarii powołano państwową komisję dochodzeniową”. Później, tego samego dnia, wszystkich mieszkańców czterdziestopięciotysięcznego miasta zapakowano do ponad tysiąca autobusów i wywieziono. Nie dano im czasu na spakowanie dobytku. Zostały ubrania w szafach i zabawki w pustych wózkach dziecięcych; porzucono również zwierzęta domowe. Ewakuowani usłyszeli, że wyjeżdżają tylko na trzy dni, ale nigdy już nie wrócili do swoich domów. Na miejscu zostawiono nawet czołgi i śmigłowce będące na wyposażeniu miejscowej jednostki wojskowej. Dziś wiemy, że prypecianie powinni byli – i mogli – wyjechać znacznie wcześniej. Informację o wybuchu w reaktorze jądrowym bloku energetycznego numer cztery podano do wiadomości dopiero po trzech dniach od zdarzenia. W tym czasie miasto przyjęło zabójczą dawkę promieniowania, co miało tragiczne konsekwencje nie tylko dla jego ówczesnych mieszkańców, lecz także dla następnych pokoleń.

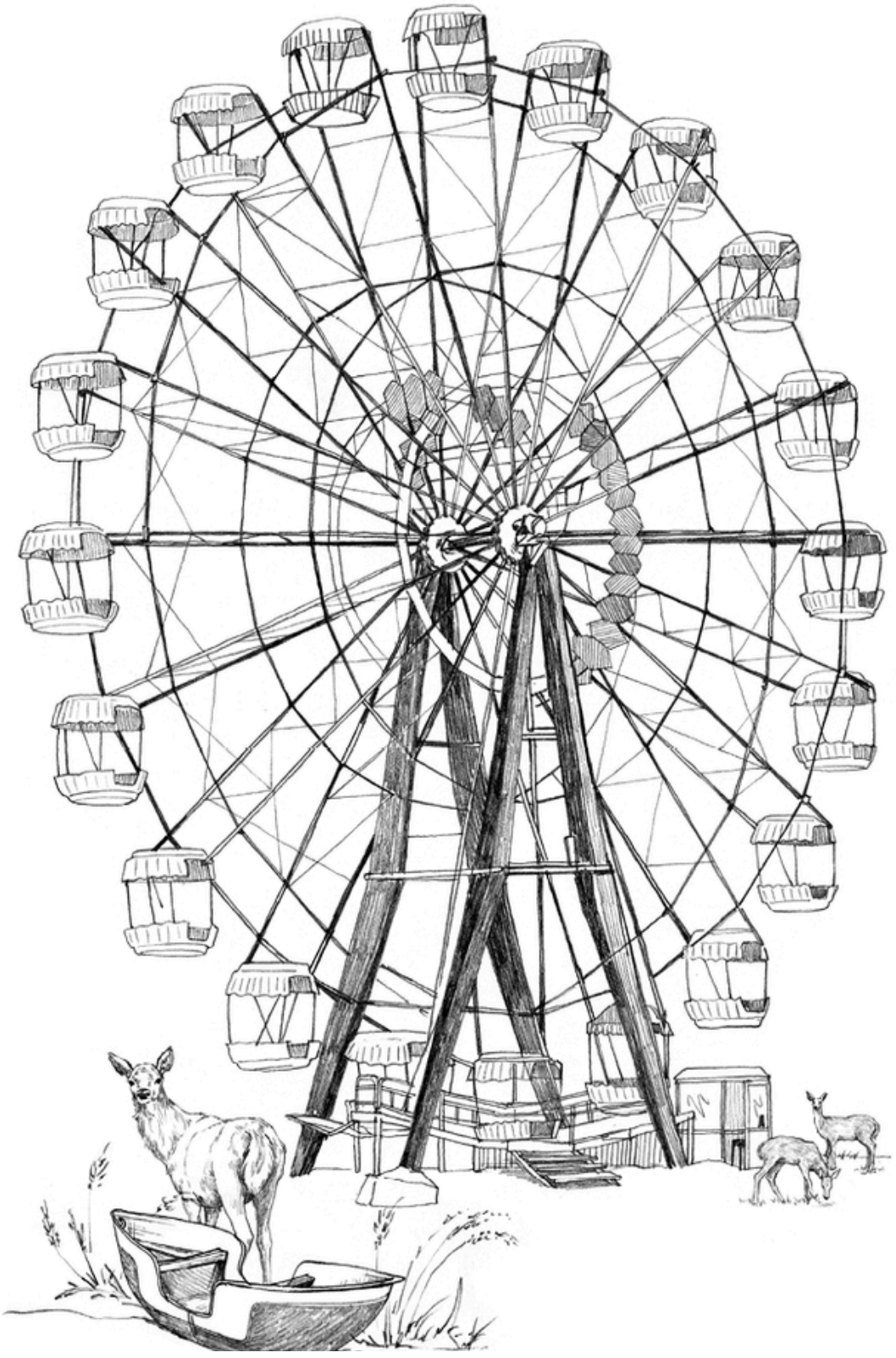

Pomimo utworzenia wokół Czarnobyla specjalnej strefy, do której wstęp nadal jest zabroniony, od rozpadu Związku Radzieckiego – w ostatnich dniach 1991 roku – Prypeć i okolice regularnie nawiedzają szabrownicy, ogałacający miasto dosłownie ze wszystkiego, nawet z przewodów elektrycznych i linoleum. Wraz z odejściem ludzi rozpoczął się triumfalny powrót natury. Drogi i budynki pękają rozsadzane przez korzenie młodych drzew. Mchy i trawy porastają asfalt i kruszejący beton. Z powodu niedrożnej kanalizacji po każdych wiosennych roztopach chodniki i ulice zamieniają się w jeziora. Wesołe miasteczko, które miało zostać oficjalnie otwarte 1 maja 1986 roku, zarosło chwastami; diabelski młyn wciąż stoi – i rdzewieje.

Ziścił się sen o powrocie natury – ziścił się i drwi z nas. W 1890 roku William Morris napisał *Wieści znikąd*, w których snuł opowieść o harmonii Londynu z przyrodą. Przepowiadał, że mieszkańcy stolicy zwrócą się przeciwko szpetnym ulicom i stworzą „niezwykle radosne miejsce, które zdążyło zarosnąć drzewami po wielkim wyburzaniu domów w 1955 roku”. To była mocna wizja, odwoływała się do rosnącego poczucia miejskiego zastoju. Rozrastanie się tkanki miast powoduje, że pragnienie tego, aby natura się na niej zemściła, staje się jeszcze bardziej elektryzujące i niebezpieczne. Morris, prorok antyindustrializmu, nie mógł wszakże przewidzieć, iż zemsta przybierze taką postać jak w Prypeci. Szacuje się, że tereny wokół elektrowni w Czarnobylu będą nadawały się do ponownego zamieszkania przez ludzi dopiero za około dziewięćset lat. Poziom promieniowania jest tam tak wysoki, że odradza się nawet krótkie wizyty. Strefa zamknięta – jej oficjalna nazwa to Strefa Wykluczenia wokół Czarnobylskiej Elektrowni Jądrowej, a nieoficjalna: Czarnobylska zona – obejmuje dwa tysiące sześćset kilometrów kwadratowych, czyli więcej, niż wynosi powierzchnia Luksemburga. Najniebezpieczniej jest w budynkach, tam gdzie osiadł skażony pył. Jill Dougherty, amerykańska korespondentka w Moskwie, tak wspomina podróż do Prypeci: „Panuje tu kompletna cisza – to najbardziej upiorne przeżycie, jakiego doświadczyłam”. Opisuje chodniki, które „znikają między zaroślami i pod warstwą mchu”, oraz

„dosłownie rozkładające się domy (…). Słyszałam, jak z sufitów kapie woda”.

Prypeć to było modelowe sowieckie miasto. Jego budowa rozpoczęła się 4 lutego 1970 roku, dzięki zaangażowaniu udarników, czyli sowieckich przodowników pracy, postępowała w błyskawicznym tempie i już wkrótce pierwsze mieszkania zasiedlali przybysze z różnych zakątków Związku Radzieckiego. Nazwy ulic – na przykład Entuzjastów albo Drużby Narodów – odzwierciedlały różnorodność Prypeci, lśniącego nowością miasta szerokich jezdni i nowoczesnych, zdobionych płytkami ceramicznymi bloków. Średnia wieku mieszkańców Prypeci wynosiła zaledwie dwadzieścia sześć lat, a każdego roku na świat przychodziło tam ponad tysiąc dzieci. Jeden z dawnych mieszkańców miasta wspomina je z dumą w głosie: „Wieczorami, kiedy matki i ojcowie wychodzili na spacery z dziećmi, ulicami szła prawdziwa parada wózków”.

Przez pewien czas wydawało się, że nic nie będzie w stanie przetrwać wybuchu w Czarnobylu, największej katastrofy w historii energetyki jądrowej. Natychmiastową konsekwencją awarii były osobliwe i często makabryczne zmiany w okolicznej florze i faunie. Zwierzęce zarodki rozpuściły się, tarczyce koni dosłownie się rozpadły. Rozległy las sosnowy, rosnący na drodze opadu promieniotwórczego, zmienił kolor i obumarł – od tamtej pory nazywa się go Czerwonym Lasem. Dziś jednak tamtejsze drzewa znów mają kolor zielony. Wiele roślin w zonie przystosowało się do zmienionych warunków środowiska. Badania porównawcze dwóch upraw soi – jedna znajdowała się pięć, a druga sto kilometrów od reaktora – wykazały, że soja pochodząca z pierwszej uprawy jest wprawdzie skażona w bardzo wysokim stopniu, a także waży o połowę mniej, niż powinna, ale stopniowo przystosowuje się do nowych warunków. Zawiera na przykład trzy razy więcej syntazy cysteinowej, enzymu chroniącego przed negatywnym działaniem środowiska, niż rośliny nienapromieniowane.

Miasto i zonę opanowały zwierzęta. Radioekolog Sergiej Gaszak zauważył, że „wiele ptaków buduje gniazda w sarkofagu”, betonowej powłoce ochronnej uszkodzonego reaktora. W epicentrum katastrofy Gaszak zaobserwował „szpaki, gołębie, jaskółki, pleszki – widziałem gniazda, a w nich jaja”. W połowie pierwszej dekady tego wieku przeprowadzono liczenie zwierząt zamieszkujących zakazaną strefę – oto wyniki: 280 gatunków ptaków, 66 gatunków ssaków, w tym 7000 dzików,

600 wilków, 3000 łań i jeleni, 1500 bobrów, 1200 lisów, 15 rysiów i tysiące łosi. Znaleziono również ślady niedźwiedzi – to akurat wyjątkowo zaskakujące, bo akurat w tej części Ukrainy od wielu lat nie spotykano tych zwierząt.

Mary Mycio, która w książce *Piołunowy las* zajmująco opowiada historię naturalną Czarnobyla i okolic, w wywiadzie dla „The Independent" zauważyła, że „paradoksalnie promieniowanie przysłużyło się tamtejszej florze i faunie". Dlaczego? „Ponieważ zmusiło ludzi do opuszczenia skażonego terenu". Odnosząc się do Strefy Wykluczenia, Mycio mówi: „To radioaktywne pustkowie doskonale się rozwija"[20].

Byłoby jednak dziwne, gdyby Prypeć i jego okolice okazały się szkodliwe jedynie dla ludzi. Miejsce jest strefą mutacji genetycznych. Flora i fauna rzeczywiście zdają się „doskonale rozwijać", ale tylko pod względem czysto ilościowym w porównaniu z normalnymi miastami. Prowadzący wnikliwe studia nad zoną Timothy Mousseau, profesor biologii na Uniwersytecie Karoliny Południowej, przyznaje w „National Geographic News": „Niezwykłą ironią losu jest to, że po katastrofie wiele gatunków zwierząt radzi sobie znacznie lepiej, niż kiedy tereny te zamieszkiwali ludzie". Dodał jednak, iż „byłoby błędem" sądzić, że zwierzęta przy tym nie cierpią. Mousseau odkrył, że współczynniki reprodukcji u żyjących w zonie ptaków są dużo niższe od przeciętnych, a dane uzyskane w innych badaniach wskazują na uszkodzenia hormonalne i fizyczne u drzew (wiele ma osobliwie poskręcane pnie). Mutacja receptora hormonu wzrostu sprawia, że drzewa – jak wyjaśnia współpracownik Mousseau, James Morris – „tracą orientację i nie wiedzą, gdzie jest góra". Naukowcy odkrywają zadziwiające reakcje organizmów na promieniowanie: na przykład pasożyty słodkowodne przestawiły się z rozmnażania bezpłciowego na płciowe.

Trudno powiedzieć, czy zmiany te świadczą o trwałym urazie, czy też oznaczają zdolności adaptacyjne – a może jedno i drugie? – w każdym razie pokazują, że Strefa Wykluczenia nie jest dla flory i fauny rajem. Podczas wizyty w zonie w 2005 roku ówczesny prezydent Ukrainy Wiktor Juszczenko zaproponował przekształcenie zamkniętego obszaru w rezerwat przyrody, miejscowe władze podchwyciły pomysł i forsują plan utworzenia Czarnobylskiego Parku Narodowego. Co ciekawe, równocześnie prezydent wyraził gotowość zamienienia nieczynnej elektrowni w składowisko

odpadów radioaktywnych, otwarte również dla kontrahentów z zagranicy. Wprawdzie wkrótce zarzucono ten pomysł, ale samo jego pojawienie się dowodzi tego, że Ukraina próbuje znaleźć sposób na opłacalne wykorzystanie skażonego terenu. „Dobre wieści” o bogactwie tamtejszej flory i fauny podaje się jako argument na poparcie twierdzenia, że zona powoli wraca do życia, a jej silne promieniowanie i duża bioróżnorodność stanowią po prostu dziwną, ale szczęśliwą parę.

Marzenie o mieście zwróconym przyrodzie trwa nadal. Im więcej miejsc urbanizujemy, wyrywając je naturze, tym silniej nas to dręczy i tym chętniej czerpiemy osobliwą radość z widoku chodników i budynków pękających pod naporem korzeni drzew. Sen o powrocie natury miał jednak wyglądać inaczej, niż to się dzieje w Prypeci. William Morris przepowiadał zrównoważony związek pomiędzy człowiekiem a naturą. W 1890 roku jego marzenia wciąż jeszcze mogły się spełnić i, kto wie, być może pewnego dnia to, o czym pisał, stanie się rzeczywistością. Tymczasem zarośnięte ulice Prypeci symbolizują porzucenie nadziei. Mieliśmy stać się częścią tej opowieści, mieliśmy coś odzyskać, powrócić do czegoś, co utraciliśmy. Prypeć wskazuje na inną przyszłość.

Park Archeologiczny Sycylijskiej Niedokończoności

37° 43’ 37” N; 15° 11’ 02” E

Nowoczesne miejsca powstają z nakładających się, tworzących atmosferę prowizoryczności warstw niekompletnych wizji przyszłości. W niewielkiej nadmorskiej miejscowości Giarre na Sycylii, w cieniu Etny, znajdziemy tak duże zagęszczenie rozpoczętych i nieukończonych projektów budowlanych, że włoscy artyści ochrzcili to osobliwe miasto w mieście mianem Parku Archeologicznego Sycylijskiej Niedokończoności; nazwa się przyjęła. Park obejmuje dwadzieścia pięć nieukończonych budów, historia niektórych sięga połowy lat pięćdziesiątych ubiegłego stulecia. Są wśród tych projektów konstrukcje znacznych rozmiarów, na przykład ogromny stadion lekkoatletyczny, boisko do gry w polo i basen olimpijski, a także sypiący się betonowy pałac, nazywany Halą Wielofunkcyjną. Trawa i kaktusy powoli przejmują te budowle we władanie, niemniej jednak betonowe szkielety wciąż dominują w krajobrazie Giarre.

W liczącym niewiele ponad dwadzieścia siedem tysięcy mieszkańców miasteczku nieukończone gmachy rzucają się w oczy i stanowią jaskrawy przykład tego, że jeśli chodzi o wykorzystanie środków przekazywanych Giarre z kasy regionu, to miejscowi politycy mają widoczną słabość do podejmowania decyzji wprawdzie z rozmachem, ale bez rozwagi. Obiecują inwestycje w infrastrukturę komunalną, deklarują wzrost zatrudnienia w mieście – i w ten sposób zdobywają głosy wyborców. Tworzenie miejsc pracy przy nowych, ambitnych projektach stanowi też podobno sposób na zniechęcanie młodych ludzi do wstępowania w szeregi mafii.

Pokłosiem tych obietnic jest surrealistyczny krajobraz; melancholijny dla tych, którzy wyznają pogląd, iż rozpad i inercja zawsze wygrają z nieposkromioną pychą nowoczesności. Nazwę Park Archeologiczny Sycylijskiej Niedokończoności wymyślił mediolańsko-nowojorsko-berliński kolektyw artystyczny Alterazioni Video, znajdując przyjemność w „skali, rozległości i architektonicznej dziwaczności" parku. Artyści definiują niedokończoność jako „częściowe wykonanie projektu, powiązane z ustawicznym wprowadzaniem zmian w planach, skutkujących krótkotrwałymi okresami aktywności", co prowadzi do powstawania „bezcelowych budowli", które „dominują w krajobrazie jak łuki triumfalne". Współpracowniczka Alterazioni Video i lokalna aktywistka Claudia D'Aita – która kiedyś zakpiła z nieukończonego stadionu, organizując na nim udawany mecz polo – wyjaśnia, że wszystkie niedokończone gmachy w Giarre powinno się postrzegać jako „swego rodzaju muzeum na wolnym powietrzu". Alterazioni Video uważa, że te „rażące skazy na tkance miasta" powinno się „przekształcić w atrakcje turystyczne, w ten sposób nadając nową wartość i znaczenie pomnikom wiecznej teraźniejszości".

Kolektyw przygotował mapę i przewodnik, które mają pomóc zwiedzającym zorientować się w atrakcjach Parku Archeologicznego Sycylijskiej Niedokończoności. Ponieważ nie znam nikogo, kto na poważnie skorzystałby z tych opracowań, postanowiłem na własnej skórze przekonać się, jak poczułby się turysta zwiedzający nieukończoną Sycylię, i w lipcu 2013 roku pojechałem do Giarre. Wizyta, jak mogłem się spodziewać, okazała się dziwnym doświadczeniem. Co ciekawe, czasem nie potrafiłem odróżnić niedokończonych budynków od pozostałych. Przy tej samej ulicy co Parco Chico Mendes – nieskończone, ogrodzone płotem

„dziecięce miasteczko”, ważna pozycja w przewodniku Alterazioni Video – znajduje się inna porzucona przestrzeń: rozbudowane rondo z lat osiemdziesiątych, będące pomazanym graffiti i porośniętym dzikimi figowcami trawiastym nieużytkiem i składowiskiem butelek z brązowego szkła. Zdobią je: umieszczona centralnie (zepsuta) fontanna, rdzewiejąca kula *à la* sputnik, kilka małych, wyschniętych wodotrysków i zarośnięta zielskiem rzeźba przedstawiająca dziewiętnastowiecznego duchownego Jana Bosko nauczającego dzieci na ulicy. Kiedy stałem przed płotem opasującym Parco Chico Mendes i patrzyłem na tę wyspę, wydawała mi się niedokończona, ale przypuszczam, że raczej po prostu przestano o nią dbać. W Giarre brak zainteresowania oraz niedokończoność mieszają się ze sobą, tworząc ciągły i rozległy krajobraz opuszczenia.

W *Manifeście Sycylijskiej Niedokończoności* Alterazioni Video wskazują Giarre jako „epicentrum” zjawiska, które „rozprzestrzeniło się z Sycylii na cały Półwysep Apeniński, dając początek Niedokończonym Włochom”. Widząc, jak w Giarre nieukończone projekty wtapiają się w zwyczajną tkankę miasta, uświadomiłem sobie, że wcale nie muszę jechać do Włoch, żeby zobaczyć pozostałości śmiałych architektonicznych wizji. Stałem w cieniu wysokich betonowych trybun stadionu, na murawie pokrytej warstwą popiołu z Etny, i naraz dotarło do mnie, że w moim rodzinnym Newcastle mam podobne widoki: sieć niedokończonych betonowych pasaży i urwaną autostradę – pozostałości po latach sześćdziesiątych i ówczesnych planach zburzenia starego i zbudowania nowego miasta, „Brasilii Północy”, jak mówiono.

Giarre cierpi na złośliwą odmianę choroby toczącej większość miast, jest urbanistyczną opowieścią ku przestrodze i epicentrum nie tyle włoskiego, ile globalnego zjawiska nawarstwiania się niezrealizowanych wizji. Jest również doskonałym miejscem, by zastanowić się nad naszym życiem pośród nieustannego układania się i mącenia warstw miasta. Obcowanie z kikutami i szkieletami utopijnych planów dawnej władzy może być wyzwalające, jako że obala roszczenia architektów, polityków i planistów do miasta, sprawia, że stają się oni niezdolni do kształtowania miejsca wedle własnego widzimisię. Zwycięstwo jest jednak niewiele warte, skoro musimy przedzierać się przez ruiny przegranych wizji. Donioślejsze znaczenie ma to, że tracimy więź z miejscem: tymczasowość i niepełność rodzinnego miasta przekładają się na naszą tymczasową i niepełną

lojalność. Eskalacja niedokończoności utrudnia ludziom budowanie jakichkolwiek relacji z miejscem, w którym mieszkają: nie dbają o nie, nie interesują się nim, nie ufają mu.

Artyści, z których przewodnikiem zwiedziłem Park Archeologiczny Sycylijskiej Niedokończoności, ambitnie próbują znaleźć nowy sposób na odświeżenie więzi mieszkańców z miastem poprzez zapanowanie nad poczuciem chaosu i oderwania. Ich projekt jest pełen paradoksów, zarazem wywrotowy i konserwatywny, drwi z porażek sycylijskiego samorządu, jednocześnie podsuwając pomysł, by na fundamentach tych nieco futurystycznych ruin zbudować nowy rodzaj geograficznej lojalności. „Liczba pozostałości po nigdy niezrealizowanych wizjach przyszłości – czytamy w manifeście – jest tak duża, że można by te budowle uznać za przedstawicielki odrębnego stylu architektonicznego, będącego odzwierciedleniem ówczesnych Włoch". Niedokończoność symbolizuje „rzekomą szczodrość Sycylijczyków i w ogóle Włochów", stanowi również – a może przede wszystkim – wynalazek oryginalnych współczesnych „miejsc duchowego odosobnienia i kontemplacji", będących „miejscami świadomości egzystencjalnej i uosobieniem ludzkiej duszy".

Zabieg nadania nowożytnym ruinom Giarre nazwy Parku Archeologicznego Sycylijskiej Niedokończoności był próbą odzyskania współczesnego krajobrazu oraz odnalezienia piękna i dramatyzmu w jego rozpaczliwej beznadziejności. Na czarno-białych, estetycznych zdjęciach niedokończone budowle zniewalają (patrz też *Time Landscape*), ale na żywo ich fotograficzny urok szybko nuży. Zobaczyłem kilka wybranych miejsc, po czym stwierdziłem, że wszystkie wyglądają w gruncie rzeczy tak samo, i się zniechęciłem. Bycie turystą niedokończoności to męczące zajęcie, uświadomiłem to sobie i zaraz pomyślałem, że przecież często odwiedzam takie miejsca: nieukończone miasta – przejeżdżam przez nie, udaję się do nich albo wracam do nich do domu.

5. Miejsca o wyjątkowym statusie

Camp Zeist

52° 06’ 35” N; 5° 17’ 47” E

Miejsca o wyjątkowym statusie to takie, w których standardowe reguły nie mają zastosowania. Powstają na przykład po to, by państwa bądź społeczności mogły wykonywać określone czynności bez zakłóceń i w tajemnicy przed światem zewnętrznym. Bywa, że miejsca te są wyjęte spod władzy rządu, ale zdarza się też, że rządy podejmują w nich działania niedopuszczalne w innych okolicznościach, na przykład dokonują pozasądowego bezprawnego przekazywania osób pozbawionych wolności (*extraordinary rendition*)[21]. Miejsca o wyjątkowym statusie nie tylko służą rozluźnieniu kodeksu etycznego, lecz także stwarzają unikatowe warunki zarówno dla przedsiębiorców, jak i ideologów społecznych oraz eksperymentatorów pragnących powołać do życia społeczności doskonalsze od istniejących. Miejsca o wyjątkowym statusie podważają nasze poglądy na temat suwerenności i prawa własności, a także uzmysławiają, jak bardzo elastyczne mogą być obie te idee, co dobitnie podkreśla przykład Camp Zeist.

Holenderską bazą wojskową o nazwie Camp Zeist zainteresowałem się w 1999 roku, kiedy przeszła pod szkocką jurysdykcję. Trzy lata później wróciła pod władzę Holendrów.

W 1999 roku baza Camp Zeist legalnie zmieniła przynależność z holenderskiej na szkocką po to, by mógł się w niej odbyć pewien szczególny proces sądowy: w Szkocji i jednocześnie poza nią. Sądzeni mieli być dwaj Libijczycy podejrzewani o podłożenie bomby na pokładzie samolotu Boeing 747, lot 103 linii Pan Am, który 21 grudnia 1988 roku wybuchł nad miejscowością Lockerbie w Szkocji. Szkocki sędzia okręgowy, po przeanalizowaniu materiału dowodowego z miejsca tragedii, 13 listopada 1991 roku wydał nakaz aresztowania dwóch osób: Abdelbasseta Alego Muhammada al-Megrahiego i Alego Aminy Chalifa Fimaha. Rada Bezpieczeństwa ONZ przyjęła rezolucję wzywającą do

postawienia obu domniemanych zamachowców przed „stosownym sądem w Wielkiej Brytanii lub Stanach Zjednoczonych”.

Libia wyraziła wątpliwość, czy, stając przed brytyjskim albo amerykańskim trybunałem, oskarżeni będą mogli liczyć na uczciwy proces, i rozwiała nadzieje na szybką, sprawną ekstradycję. Kompromis udało się osiągnąć dopiero po kilku latach: Libia zgodziła się dokonać ekstradycji dwóch mężczyzn, ale pod warunkiem że ich proces odbędzie się na neutralnym terytorium. Libijczycy początkowo zaproponowali Hagę, ale ostatecznie przystali na Camp Zeist, miejsce dużo lepiej spełniające wymogi bezpieczeństwa.

Wydaje się, że pomysł odstąpienia fragmentu własnego terytorium obcemu państwu w określonym celu to nie nowość, ale okazuje się, że większość przykładów takiego działania jest myląca. Osoby odwiedzające groby cudzoziemskich żołnierzy na cmentarzach Belgii i Francji mogą odnieść wrażenie, że wkraczają na terytorium Wielkiej Brytanii, Stanów Zjednoczonych albo Kanady, lecz przecież wcale tego nie robią. Te kraje rzeczywiście są właścicielami mogił i ich opiekunami, ale nie mają nad nimi zwierzchnictwa. To samo dotyczy na przykład działki na łące Runnymede w hrabstwie Surrey, na której stoi pomnik Johna F. Kennedy’ego, w 1964 roku „oddanej” Stanom Zjednoczonym. Bycie właścicielem jakiegoś miejsca albo sprawowanie nad nim kontroli nie jest tożsame z uczynieniem go integralną częścią własnego państwa, aczkolwiek rozgraniczenie tych dwóch kwestii potrafi przyprawić o ból głowy. Klasyczny przykład miejsc o niejednoznacznym statusie stanowią misje dyplomatyczne. Państwo przyjmujące zapewnia im specjalne traktowanie: nietykalność terenu misji oraz zwolnienie z podlegania miejscowym przepisom prawa. Ambasady pozostają pod jurysdykcją państwa przyjmującego, a mimo to cieszą się tyloma przywilejami, że w istocie przypominają enklawy obcych krajów. Bardzo podobne regulacje prawne dotyczą większości baz wojskowych. Na przykład Zatoka Guantánamo formalnie należy do Kuby, ale na mocy umowy o dzierżawę Stany Zjednoczone mają prawo do użytkowania tego terenu przez czas nieokreślony, a także do pełnej jurysdykcji nad bazą.

Państwa nie odstępują fragmentu własnego terytorium innym krajom lekką ręką; jeśli już do tego dochodzi, dzieje się tak pod przymusem albo w uzasadnionych przypadkach – i wtedy jest zawierana umowa na czas

określony. Przykład tej drugiej kategorii stanowi praktyka wytyczania granic międzynarodowych stref, najczęściej mających konkretne przeznaczenie. Kiedy w 1943 roku Juliana, przyszła królowa Holandii, przebywając na wygnaniu w Kanadzie, miała urodzić dziecko – trzecią córkę, Margriet – w szpitalu w Ottawie, rząd kanadyjski uznał cały oddział położniczy za terytorium międzynarodowe po to, aby nowo narodzona księżniczka mogła za pośrednictwem rodziców uzyskać holenderskie obywatelstwo. Znanym przykładem są „zielone strefy", chroniące misje dyplomatyczne i wojskowe w krajach rozdartych konfliktami, takie jak bagdadzka „strefa międzynarodowa" o powierzchni dziesięciu kilometrów kwadratowych.

Camp Zeist to wyjątkowy przypadek: niewielka część Holandii, która na trzy lata stała się enklawą z obowiązującym w niej szkockim prawem. W podpisanej we wrześniu 1998 roku formalnej umowie pomiędzy Wielką Brytanią a Holandią, dzięki której przeprowadzenie procesu w Camp Zeist stało się możliwe, ze szczegółami określono zakres jurysdykcji szkockiego sądu. Z jednej strony podkreślono, że „gospodarzem" terenu jest Holandia, a z drugiej – że miejsce obrad i decyzje szkockiego trybunału są nienaruszalne. Umowa precyzuje nawet to, kto odpowiada za wywóz odpadków z bazy, w jaki sposób ma zostać uiszczona opłata za jej użytkowanie, a także zawiera listę wszystkich podatków, z których szkocki sąd uzyskał zwolnienie, w tym z „opłaty akcyzowej ujętej w cenie napojów alkoholowych, produktów tytoniowych i węglowodorów gazowych".

Do ochrony bazy – terenu w kształcie litery „L" o długości niecałego kilometra – sprowadzono tysiąc szkockich policjantów. Zbudowano salę rozpraw i centrum prasowe, a także zakwaterowano na miejscu liczny sztab doradców prawnych, wśród nich pracującego w Departamencie Stanu USA Davida Andrewsa, który nie krył, że plan wykorzystania holenderskiej bazy zrodził się podczas rozmów między Wielka Brytanią a Stanami Zjednoczonymi na długo, zanim dowiedzieli się o nim sami Holendrzy. „Liczyliśmy na ich zgodę – wspomina w artykule opublikowanym w czasopiśmie prawniczym – ale z obawy przed przeciekami zwróciliśmy się do nich z propozycją dopiero wtedy, kiedy Wielka Brytania i Stany Zjednoczone ustaliły między sobą plan działania". Andrews obawiał się, że przekonanie Holendrów do współpracy będzie „najbardziej skomplikowanym, jak również zdecydowanie najważniejszym punktem

planu”, ale okazało się to bardzo łatwe. Holendrzy ochoczo zgodzili się pomóc w rozwiązaniu trudnej sytuacji i zażegnaniu międzynarodowego kryzysu, jednak pod warunkiem że będzie to jednorazowy przypadek. Andrews stwierdza z przekąsem, że „najwięcej czasu” musiał poświęcić na przekonywanie nie holenderskich polityków, lecz dowództwa Królewskich Sił Powietrznych, żeby zechciało tymczasowo udostępnić część terenu swojej bazy.

Największym wyzwaniem dla całego przedsięwzięcia było stawienie czoła prawnym i logistycznym aspektom stworzenia szkockiej ekspozytury w Holandii. Szkoccy sędziowie musieli uzyskać nie tylko prawo do wydawania wyroków, lecz także jurysdykcję nad budynkiem sądu i wydzieloną częścią Camp Zeist. Andrews zdawał sobie również sprawę z tego, że „dla zasiadających w ławie przysięgłych obywateli Szkocji konieczność przebywania przez większą część roku poza granicami kraju byłaby niezwykle uciążliwa”, toteż nietypowo zrezygnowano z ławników i ograniczono się do trójosobowego składu sędziowskiego. Zabieg ten wymagał wprowadzenia zmian w prawie brytyjskim, co załatwiono, korzystając z furtki w przepisach prawnych i wydając tak zwane rozporządzenie królewskie – w ten sposób ominięto wymóg poddania zmian pod głosowanie Izby Gmin.

Inne wyzwanie, tym razem o charakterze lokalnym, stanowiła droga, która biegła od pobliskiego muzeum lotnictwa do warsztatu i która miała dzielić na pół przyszłe tymczasowe terytorium Szkocji. Problem rozwiązano, stawiając podwójne ogrodzenie: kiedy z drogi korzystali pracownicy muzeum, przejazd zamykano dla personelu Camp Zeist i odwrotnie. System działał zasadniczo bez zarzutu, choć czasem bywało, że ktoś utykał między ogrodzeniami, jak stało się na przykład z Richardem Baileyem, rzecznikiem szkockiego sądu. „Raz mi się zdarzyło – zdradził w rozmowie z dziennikarzem. – Przyznaję, pomyślałem wtedy: »Gdzie ja właściwie jestem?«. Ale przede wszystkim zastanawiałem się, kiedy, do diabła, otworzą bramę…”.

Piątego kwietnia 1999 roku dwóch oskarżonych Libijczyków przetransportowano do Holandii i przewieziono na rozprawę ekstradycyjną. Po formalnym wydaniu mężczyzn zabrano ich do Camp Zeist, gdzie aresztowała ich szkocka policja. Libijczycy usłyszeli zarzut zabójstwa dwustu siedemdziesięciu osób i zostali osadzeni w areszcie tymczasowym

na terenie bazy. Proces zakończył się w 2002 roku, po jednej apelacji, skazaniem al-Megrahiego na dożywocie w szkockim więzieniu; wyszedł na wolność w 2007 roku z powodów osobistych. Drugiego z oskarżonych oczyszczono z zarzutów. Camp Zeist zwrócono Holendrom, którzy zamienili tę część bazy w ośrodek zatrzymań dla imigrantów.

Rządy Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych uznały „operację Camp Zeist" za sukces: udało się postawić oskarżonych przed sądem i zażegnać kryzys polityczny. Dziś trybunał w Camp Zeist jest pokazywany jako wzór do naśladowania przy rozwiązywaniu trudnych spraw międzynarodowych. Pomysł, by legalnie i na czas określony przekazać fragment własnego terytorium innemu państwu, nie tylko okazał się wykonalny, lecz także wręcz podziałał motywująco na tempo pracy wymiaru sprawiedliwości. Mimo to wiele osób zaangażowanych w stworzenie „kawałka Szkocji" w Holandii ma wątpliwości, czy eksperyment z Camp Zeist można i powinno się powtórzyć. David Andrews uważa, że biorąc pod uwagę wysokie koszty całej operacji, a także związane z nią niekończące się zawiłości prawne, „nie możemy zbyt często sięgać po model rozprawy na terenie państwa trzeciego, o ile w ogóle powinniśmy z niego korzystać".

Magazyn wolnocłowy w Genewie

46° 11’ 18” N; 6° 07’ 38” E

Ukryte przed wzrokiem postronnych rozrastają się powierzchnie magazynowe, te klimatyzowane skarbce przyjmujące coraz większą liczbę mniej lub bardziej wartościowych przedmiotów. Stanowią antytezę naszego rozrzutnego, przepadającego za rzeczami jednorazowego użytku społeczeństwa. Przejawem naszego konsumpcjonizmu są zarówno szeroka rzeka tandetnych, szybko kończących życie na wysypisku śmieci gadżetów, jak i wąski, choć wartki, strumyk rzadkich, pięknych przedmiotów, takich jak obrazy, samochody, wino, rzeźby – przedmiotów, o które się dba, które się fotografuje, umieszcza w katalogach, wycenia i skrzętnie przechowuje nierzadko do końca życia. Podczas gdy dawniej udawało się bogaczom pomieścić wszystkie kosztowności w obszernej rezydencji, dziś stan posiadania elity jest tak wielki, że niektórym po prostu brakuje miejsca na cenne rzeczy. Poza tym zmienił się charakter zauroczenia stanem posiadania: obecnie kupuje się wartościowe przedmioty przede wszystkim jako ważny składnik grubego i liczącego się portfela inwestycyjnego.

Genewski magazyn wolnocłowy Geneva Freeport to wielka składnica skarbów. Z zewnątrz nie robi wrażenia: ot, biały, nijaki betonowy blok, otoczony szarymi ulicami i parkingami, ale za to w środku… Nie ma chyba na świecie budynku z cenniejszą zawartością. Łączną wartość zgromadzonych w tym magazynie samych tylko dzieł sztuki szacuje się na sto miliardów dolarów amerykańskich. Sztuka to jednak nie wszystko, w skarbcu znalazło się miejsce również na inne cenne i bardzo rzadkie przedmioty: trzy miliony butelek wina, kilka pięter wartych miliony samochodów, a nawet oddzielną salę pełną cygar. W magazynie pracuje armia konserwatorów sztuki i magazynierów czuwających nad stanem zapasów; to praca dla osób lubiących samotność, często bowiem eksperci spędzają długie godziny zamknięci w pancernych salach. Simon Struder, znawca sztuki, który miał okazję pracować w genewskim magazynie wolnocłowym, wspomina dzień w pomieszczeniu, w którym przechowywano tysiące rysunków, obrazów i rzeźb Pabla Picassa:

„Sprawdzałem stan dzieł, szukałem podpisów mistrza i upewniałem się, że każdy przedmiot został poprawnie wymierzony” – opowiadał „New York Timesowi”. Przez cały dzień słyszał zagadkowe stukanie z sąsiedniego pomieszczenia, zastanawiał się, o co chodzi, aż w końcu dowiedział się, że zajmuje je „współwięzień” przeliczający sztabki złota. „Nie wiesz, co się znajduje za ścianą, dopóki przypadkiem nie trafisz na moment, kiedy otwierają drzwi do sali obok – dopiero wtedy masz okazję się przekonać”.

Strefy wolnocłowe (dawniej porty, dziś również lotniska i magazyny) to średniowieczny wynalazek. Obraca się w nich towarami z pominięciem opłat celnych i innych podatków. Powstały w celu ułatwienia przepływu dóbr, nie zaś po to, żeby gromadzić w nich kosztowności. W 1888 roku Wielka Rada Genewy przyjęła uchwałę o założeniu własnej strefy wolnocłowej. Z początku znajdujące się na jej terenie magazyny służyły przechowywaniu bardziej przyziemnych towarów, w dodatku przeważnie krótkoterminowo. Wkrótce wyjątkowa szwajcarska troska o prywatność, zwłaszcza obcokrajowców pragnących skorzystać z usług dostępnych w strefie wolnocłowej, przyciągnęła specyficzną, niszową klientelę. Pod koniec XX wieku Geneva Freeport stał się światowym ośrodkiem nowego systemu globalnych inwestycji, najważniejszym miejscem obrotu przedmiotami o dużej wartości, osobliwą halą targową, w której można kupować i sprzedawać dzieła sztuki, nie płacąc z tego tytułu żadnych podatków. Obrazy starych mistrzów przechodzą z rąk do rąk, bezpiecznie leżąc na półkach.

Magazyny wolnocłowe pozwalają uzyskać wysoką wartość wymienną z przedmiotów kultury materialnej posiadających jedynie abstrakcyjną wartość. Sukces tego alchemicznego procesu zależy od atrakcyjności i dostępności magazynu. Przez wiele lat zarządzająca genewskim składem spółka Geneva Free Ports and Warehouses dawała do zrozumienia, że zgromadzone w jej budynku dobra znajdują się poza jurysdykcją rządu, i chwaliła się, iż magazyn jest „solidnym przyczółkiem w sercu Europy”. O Geneva Freeport pisano w tonie sugerującym, jakoby skład był wręcz autonomicznym państewkiem, bezpiecznie przytulonym do niewtrącającego się w jego sprawy kraju. Firma tak długo i tak skutecznie tworzyła wokół siebie atmosferę nietykalności, że łatwo można było się nabrać. Rzeczywistość zweryfikowała te czcze przechwałki 13 września 1995 roku, kiedy szwajcarska policja, we współpracy z włoską,

przeprowadziła nalot na pomieszczenie numer dwadzieścia trzy w korytarzu numer siedemnaście. Na miejscu znaleziono cztery tysiące zrabowanych we Włoszech zabytków. Aresztowano, a następnie osądzono i skazano włoskiego marszanda Giacoma Mediciego. Po tym zdarzeniu Szwajcarzy uznali, że należy odbudować reputację strefy wolnocłowej, aczkolwiek nie spieszyli się z tym. Dopiero w 2009 roku zarządzono pełną inwentaryzację magazynu oraz przegląd praw własności.

Nowa polityka przejrzystości wcale nie zniechęciła klientów do magazynu, a wręcz zwiększyła jego atrakcyjność. Na stuprocentowo legalnych transakcjach na terenie składu można bardzo dobrze zarobić, istnieje również wysokie zapotrzebowanie na wolną od podatkowych uciążliwości przestrzeń magazynową dla legalnie nabytych przedmiotów. Zręczna księgowość wyparła kryminalne metody i uczyniła je anachronizmem.

Wypowiadając się na temat korzyści płynących dla całego społeczeństwa z istnienia genewskiego składu wolnocłowego, Jean-René Saillard z grupy inwestycyjnej British Fine Art Fund wyjaśnia: „Właściciele dzieł sztuki powinni chętnie je udostępniać, ponieważ trafiając do sal wystawowych prestiżowych instytucji, dzieła oczywiście zyskują na wartości”. To dwuznaczna obrona, sugeruje bowiem po pierwsze, że dzieła sztuki opuszczają bezpieczne mury skarbca wyłącznie po to, aby zwiększyć swoją wartość, a po drugie, że rolą galerii i muzeów jest służenie interesom właścicieli dzieł i wolnych od ceł oraz podatków magazynów. Dwudziesty pierwszy wiek będzie chyba wiekiem przechowywania. Dzieła sztuki będą od czasu do czasu wyjmowane z sejfu, przewożone do dostępnych dla publiczności instytucji i tam wystawiane. Co ciekawe, wraz ze wzrostem popularności przechowywania próbuje się racjonalizować cykliczny obrót dziełami, a jednym z przejawów takiego działania jest organizowanie galerii sztuki w magazynach, również w Geneva Freeport. W ten sposób dzieła bezpiecznie, bez ryzyka uszkodzenia albo zagubienia, a z pożytkiem dla publiczności, zyskują na wartości. Kto wie, może w przyszłości genewski skład okaże się najważniejszym centrum wystawienniczym na świecie?

Magazyn wolnocłowy w Genewie odniósł niewątpliwy sukces, ale wkrótce być może będzie musiał oddać palmę pierwszeństwa wśród składów. Dziś bowiem w wielu miastach na Zachodzie, ale też w Azji

Wschodniej, jak grzyby po deszczu wyrastają składy oferujące powierzchnię przeznaczoną do przechowywania wartościowych przedmiotów, których z każdym rokiem przybywa. Nikogo już nie dziwi obecność w krajobrazie miast tych posępnych bunkrów, betonowych świątyń bezcenności i unikatowości. Najwięcej wolnocłowych magazynów sztuki buduje się w Azji Wschodniej. W 2010 roku otwarto skład w Singapurze, a trzy lata później ośmiohektarowy Beijing Free Port of Culture w międzynarodowym porcie lotniczym w Pekinie.

Światowa tendencja do rozrastania się przestrzeni magazynowej przeczy przekonaniu, że żyjemy w „wirtualnych czasach" – w epoce, w której prawdziwe przedmioty coraz bardziej tracą na znaczeniu. Z jednej strony mamy więc wirtualną gotówkę, pieniądze przepływające na ekranach komputerów, a z drugiej – prężnie rozwijającą się kulturę magazynowania, stawiającą coraz większe wymagania w zakresie utrzymywania i inwentaryzowania zbiorów. Kultura ta nie ogranicza się bynajmniej do sztuki – przechowywać można przecież wszystko, co przedstawia jakąś wartość. Poza tym, jak na razie, nie istnieją granice, jeśli chodzi o liczbę gromadzonych rzeczy, bo zarówno pod ziemią, jak i w przestrzeni kosmicznej miejsca jest w bród. Być może kiedyś w przyszłości zaczniemy postrzegać cenne przedmioty jako zwykłe produkty mające określony cykl życia – rzadkie auta będą trafiały na przemiał, a cenne obrazy do pieca – jednak póki co nie potrafimy sobie tego wyobrazić. I dlatego tworzymy coraz więcej przestrzeni magazynowej, budujemy kolejne składy, montujemy następne półki, zakładamy nowe skarbce.

Bright Light, ulica Mureș 4, Bukareszt

44° 28’ 04” N; 26° 02’ 45” E

Przy ulicy Mureș 4 w Bukareszcie stoi parterowy budynek biurowy w kolorze złamanej bieli. Ma kilka dużych okien, jest raczej zaniedbany i widać, że wzniesiono go w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku. Nie wygląda na to, żeby wyposażono go w jakieś szczególne zabezpieczenia, od ulicy odgradza go prosty metalowy parkan. Za tym stojącym wśród wielu innych, podobnych domów przy wąskiej, zakurzonej ulicy w północnozachodniej części stolicy Rumunii budynkiem znajduje się inny,

większy, pomalowany na ten sam typowy dla miasta odcień bieli, za nim zaś leżą tory kolejowe. Numer 4 sprawia wrażenie miejsca pełnego znudzonych, niecierpliwie spoglądających na zegar i mechanicznie wykonujących swoją papierkową robotę urzędników.

Między końcem 2003 roku a majem 2006 roku budynek przy Mureș 4 nosił w nomenklaturze CIA nazwę operacyjną Bright Light (Jasne Światło). Było to tajne więzienie, tak zwane *black site*, miejsce, w którym realizuje się *black projects* (czarne operacje), czyli mówiąc wprost: prowadzi brudną wojnę. Należało do międzynarodowej sieci, wykorzystywanej podczas „wojny z terroryzmem". Dla więźniów i reszty świata Bright Light nie istniało, było nie-miejscem. Lokalizacje takie jak ta nazywa się nie-miejscami z dwóch powodów: ponieważ nikt nie zwraca na nie uwagi i dlatego, że pogłębiają dezorientację więźnia, który rozglądając się po pozbawionym wszelkich cech charakterystycznych pomieszczeniu, nie jest w stanie zorientować się, gdzie właściwie się znajduje. Jedną z osób, które dostrzegły ten związek, jest Bruce O'Neill, antropolog z Uniwersytetu Stanforda. O'Neilla interesuje zwłaszcza zagadnienie geografii w kontekście *extraordinary rendition*. W artykule dla magazynu „Ethnography" O'Neill pisze, że nie-miejsca są „naturalnym środowiskiem tajnych więzień". Nie-miejscami nikt się nie przejmuje, są one „pospolitymi, wysoce funkcjonalnymi przestrzeniami, które mijamy, nie nawiązując z nimi w zasadzie jakiegokolwiek społecznego lub historycznego kontaktu". Nie-miejsca „umykają naszej uwadze i nie poddają się obserwacji – stwierdza O'Neill – toteż stanowią doskonałą przykrywkę dla tajnych operacji".

Przeciętność i niezauważalność, charakterystyczne dla budynku przy Mureș 4, to najbardziej pożądane elementy infrastruktury nie-miejsca. Budynek należy do rumuńskiego Archiwum Narodowego Informacji Tajnych. Doniesienia, jakoby istniało tam więzienie CIA, oficjalnie ostro zdementowano, nazywając „spekulacjami mediów", a rumuński minister spraw wewnętrznych dodał od siebie, że „na terytorium Rumunii tego rodzaju działalność nie ma miejsca".

Media – zwłaszcza niemieckie: gazeta „Süddeutsche Zeitung" i stacja telewizyjna ARD – nie ograniczyły się wszakże do czczych „spekulacji". Przeprowadziły własne śledztwo i na podstawie informacji uzyskanych podczas rozmów z byłymi więźniami i agentami CIA zdołały nie tylko

ustalić lokalizację Bright Light, lecz nawet nakreślić plan kompleksu, zdobyć nazwiska przetrzymywanych tam osób i opisać, co się z nimi działo. Okazało się, że stojący na tyłach budynek ma piwnicę, a w niej znajduje się sześć specjalnie przygotowanych cel. Każdą wyposażono w podłogę na sprężynach – chodziło o to, żeby nieustanny brak równowagi działał na więźniów dezorientująco; co ciekawe, nie zapomniano na podłogach umieścić strzałek wskazujących, w którym kierunku znajduje się Mekka.

Do Bright Light trafili najcenniejsi więźniowie: Chalid Szajch Muhammad, oskarżony o zorganizowanie zamachów z 11 września 2001 roku (potem z Mureş 4 przeniesiono go do więzienia w Guantánamo); Abd al-Rahim al-Nasziri, oskarżony o przeprowadzenie ataku na amerykański niszczyciel rakietowy „Cole” w Jemenie; i Abu Faradż al-Libbi, trzeci w Al-Kaidzie (al-Libbi wskazał Amerykanom osobistego posłańca Usamy Ibn Ladina, co w konsekwencji pozwoliło dotrzeć do samego szefa tej organizacji).

Służba w więzieniu przy ulicy Mureş 4 trwała krótko, agenci często się zmieniali, stale przebywali w budynku, jedli i spali w pomieszczeniach niemal sąsiadujących z celami. W raporcie Międzynarodowego Komitetu Czerwonego Krzyża z 2007 roku, dotyczącym sposobów traktowania „wartościowych” więźniów Bright Light, czytamy, że stosowano wobec nich „standardowe” procedury, polegające głównie na upokarzaniu i dezorientowaniu. Podczas transportu zakładano im „pieluchy i dresy”, a także „słuchawki, w których czasem grała muzyka”, do tego „zasłaniano oczy przepaską i zakładano czarne gogle”. Po przybyciu na miejsce „umieszczano ich w odosobnieniu i uniemożliwiano wszelką komunikację”; więźniowie nie wiedzieli, w jakim kraju się znajdują. Skutkiem całkowitej, nierzadko trwającej kilka lat izolacji było to, że po pobycie w takim miejscu jak Bright Light osadzeni nie potrafili zdać z niego spójnej relacji.

Zanim historia Bright Light ujrzała światło dzienne, Rada Europy zawarła w jednym z raportów stwierdzenie, że „w latach 2003–2005 istniały w Europie, konkretnie w Polsce i w Rumunii, tajne więzienia CIA”. Dwa lata później dziennikarze „New York Timesa” ustalili, że europejska siedziba CIA we Frankfurcie nadzorowała organizację trzech więzień w Europie Wschodniej; każde było „przeznaczone dla około sześciu osób”, a jedno znajdowało się w „odnowionym budynku przy ruchliwej bukareszteńskiej ulicy”.

Budynek przy Mureş 4 wymyka się podejrzeniom nie tylko z racji swojej zwyczajności. Podobnie jak wiele innych budynków rządowych, w czasach reżimu był wykorzystywany przez Securitate, rumuńską służbę bezpieczeństwa, toteż Rumuni przyzwyczaili się, że takimi miejscami lepiej się nie interesować. Securitate, którą rozwiązano w 1989 roku, przez cztery dekady urabiała społeczeństwo. W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych liczebność jej armii informatorów sięgała nawet dwóch milionów osób[22], to znaczy mniej więcej dziesięciu procent populacji kraju. Na Zachodzie Securitate była dużo mniej znana niż na przykład wschodnioniemiecka Stasi, ale sami Rumuni doskonale pamiętają jej poczynania: roboty przymusowe – w pewnym okresie pracowało tak nawet sto osiemdziesiąt tysięcy osób – i aresztowania – milion sto tysięcy więźniów politycznych w ponad stu dwudziestu obozach. Te czasy minęły, ale pozostawiły po sobie zarówno fizyczną, jak i kulturową spuściznę: sieć tajnych więzień oraz ludzką obojętność na to, co może się dziać w murach pozornie nijakich budynków rządowych. Dobrym przykładem miejsca będącego poza zasięgiem, nie-miejsca, w którym zasady i ludzi można łamać i odsuwać w zapomnienie, jest właśnie ukryte przed światem miejsce osadzenia zdezorientowanych więźniów: budynek przy Mureş 4.

Takie miejsca z reguły przestają istnieć na długo, zanim dowiemy się o ich istnieniu; historia Bright Light wypłynęła kilka lat po jego zamknięciu. Wtedy jednak uwaga całego świata skupiła się na jednym tajnym więzieniu, które przesłoniło tysiące podobnych obiektów na całym świecie i miliony gnijących w nich ludzi. W wielu krajach mnożą się tego rodzaju „miejsca o wyjątkowym statusie”. W 2009 roku indyjski magazyn „The Week” ujawnił, że służby wywiadowcze tego kraju utrzymują od piętnastu do czterdziestu tajnych więzień. W 2012 roku chiński rząd wprowadził nowe przepisy, dające policji prawo robienia tego, co i tak, nie oglądając się na przepisy, ta robiła od lat: mianowicie przetrzymywania ludzi bez ujawniania miejsca ich pobytu. Szacuje się, że w Korei Północnej w kilkudziesięciu tajnych obozach przebywa od stu pięćdziesięciu do dwustu tysięcy więźniów politycznych. Nienaniesione na mapy i pozbawione okien nie-miejsca służą różnym, mającym ze sobą niewiele wspólnego, reżimom.

Międzynarodowa przestrzeń powietrzna

Jesteśmy stworzeniami terracentrycznymi: interesuje nas to, co znajduje się na ziemi, rzadko myślimy o podmorskich krainach, a przestrzeń powietrzną traktujemy jak pustkę pozwalającą szybko przemieścić się z miejsca na miejsce. Powietrze – od oddechu w naszych płucach, po krańce atmosfery setki kilometrów nad naszymi głowami – jest nam bliskie i zarazem obce. Do kogo należy? Czy jest wolne?

Okazuje się, że nieumyślnie nabyłem „część" powietrza, kupując działkę. Jedna z dawnych zasad prawa rzeczowego, stanowiącego część angielskiego *common law* (wspólne prawo), mówi bowiem: *Cuius est solum, eius est usque ad coelum et ad inferos* – kto jest właścicielem ziemi, ten posiada ją do nieba i do piekła. Dziś egzekwowanie tego zapisu co do litery doprowadziłoby do sytuacji, których ustawodawcy sprzed wieków nie mogli przewidzieć: właściciele domów mogliby na przykład zacząć żądać od linii lotniczych i państw umieszczających swoje satelity na orbicie okołoziemskiej opłat za użytkowanie przestrzeni powietrznej. Zakres obowiązywania tego prawa drastycznie zatem ograniczono, z reguły do niewielkiej przestrzeni nad działką, „niezbędnej do korzystania z niej". Właściciele parceli dysponują *air rights*, prawami do powietrza (bezpośrednio nad działką), które zresztą mogą odsprzedać. Jeśli chcesz wybudować coś nad czyjąś parcelą, aby to zrobić, musisz kupić od właściciela prawa do niewykorzystywanej przez niego przestrzeni powietrznej. W miejscach o wyjątkowo gęstej zabudowie, tam gdzie inwestorzy biją się o każdą piędź ziemi, na przykład na Manhattanie, powietrze kosztuje kilka tysięcy dolarów za metr kwadratowy.

W tym samym czasie, kiedy prawa właścicieli działek się kurczyły, wolna przestrzeń powietrzna puchła jak balon. Gwałtowny rozwój baloniarstwa na początku ubiegłego stulecia zwrócił uwagę mężów stanu na nowy problem. W 1910 roku zorganizowano w Paryżu konferencję, na którą przybyli przedstawiciele osiemnastu krajów zaniepokojonych rozwojem nowej formy ruchu pasażerskiego. Celem spotkania było wypracowanie sposobów sprawowania kontroli nad przemieszczaniem się w przestrzeni powietrznej. Francuzi domagali się otwartego nieba, a Brytyjczycy optowali za pełną kontrolą państwa nad przestrzenią. W Paryżu nie udało się osiągnąć konsensusu, ale wkrótce pogląd, iż własne

niebo należy bronić przed intruzami, zaczął zyskiwać na popularności. W 1911 roku w Wielkiej Brytanii przyjęto ustawę o ruchu lotniczym, która pozwoliła temu krajowi zamknąć swoje niebo dla obcych maszyn. Był to początek epoki wytyczania granic w przestrzeni powietrznej, granic będących przedłużeniem tych istniejących na lądzie.

Obecnie należąca do państwa przestrzeń powietrzna obejmuje również pas wód terytorialnych o standardowej szerokości dwunastu mil morskich, ale i tak na świecie pozostaje całe mnóstwo „wolnego" powietrza. Międzynarodowa przestrzeń powietrzna jest otwarta dla wszystkich – tak jak pełne morze – ale skorzystanie z prawa do niej, jeśli na przykład chcemy polecieć samolotem, wcale nie jest takie proste. Rzecz w tym, że zgodnie z prawem międzynarodowym samolot stanowi przedłużenie kraju, w którym został zarejestrowany. Innymi słowy, jeżeli zarejestrowałeś samolot w Norwegii, to nawet jeśli znajdujesz się nad wodami Pacyfiku, gdzieś pomiędzy Fidżi a Tahiti, formalnie nadal jesteś w Norwegii i musisz przestrzegać obowiązującego w tym państwie prawa. W myśl tej zasady urodzone na pokładzie samolotu dziecko będzie obywatelem albo kraju, w którym zarejestrowano samolot, albo kraju, którego obywatelstwo posiadają rodzice (mogą oni wykorzystać prawodawstwo, które im bardziej odpowiada). Istnieje jeszcze trzecia opcja: jeżeli urodziłeś się nad Stanami Zjednoczonymi, lecąc samolotem innego kraju i mając rodziców niebędących obywatelami USA, możesz ubiegać się o amerykańskie obywatelstwo.

Trudno dostępna przestrzeń nad pełnym morzem jest otwarta, nie zgłasza się do niej pretensji. Jeśli wzniesiemy się odpowiednio wysoko, wszelkie roszczenia do zwierzchnictwa państwa nad określoną przestrzenią przestaną mieć sens, bo przecież dosłowne rozumienie zasady „do nieba i do piekła" oznaczałoby, że wielkie, obejmujące również fragmenty innych galaktyk, stożki władzy nad taką przestrzenią musiałyby nieprzerwanie przesuwać się po nieboskłonie – wynikałoby to z ruchu obrotowego Ziemi. Musi zatem istnieć pewna granica; spór o nią – o to, gdzie kończy się prawo państwa do przestrzeni – od lat rozpala wyobraźnię prawników. Jedni twierdzą, że wyznacza ją maksymalny pułap cywilnych samolotów, inni przesuwają ją na orbitę, do „strefy umożliwiającej orbitującemu pojazdowi ukończenie jednego okrążenia"; rozstrzał jest więc spory: od siedemdziesięciu ośmiu do stu sześćdziesięciu kilometrów. Dla niektórych to wciąż za mało.

W ogłoszonej w 1976 roku deklaracji bogotańskiej osiem ówczesnych państw równikowych rozszerzyło roszczenia zwierzchnictwa nad przestrzenią do prawie trzydziestu sześciu tysięcy kilometrów. Na tej wysokości (dokładnie 35 786 kilometrów nad równikiem) znajduje się orbita geostacjonarna. Prędkość satelitów umieszczonych na tej zawartej w płaszczyźnie równika orbicie jest zsynchronizowana z prędkością obrotową Ziemi, dzięki czemu satelita może zachować stałą pozycję nad wybranym punktem równika. Deklaracja grupy bogotańskiej nie spotkała się z akceptacją pozostałych krajów, między innymi dlatego, że została wyrażona wbrew przekonaniu o przestrzeni kosmicznej jako „wspólnej spuściźnie" mieszkańców Ziemi.

Spory trwają, my tymczasem możemy śmiało przyjąć, że pomiędzy niższymi warstwami atmosfery a kosmosem nad terytorium każdego państwa znajduje się przestrzeń pozostająca poza wszelką jurysdykcją. Jeśli doliczymy do tego przestrzeń powietrzną nad pełnym morzem, okaże się, że *gros* ziemskiej atmosfery – powłoki w sumie przecież dość cienkiej – nie znajduje się pod niczyją kontrolą: ani państwową, ani prywatną.

Cóż więc z nią poczniemy, jeśli na przykład uznamy przestrzeń powietrzną za wartą zasiedlenia? Wizja napowietrznych miast od dawna fascynuje architektów, i to tak bardzo, że niektórzy, zwłaszcza ci bujający w obłokach, ochoczo je projektują. Autorami jednego z pierwszych tego rodzaju pomysłów byli architekci wchodzący w skład awangardowej, kontrkulturowej brytyjskiej grupy Archigram – zaproponowali Instant City (nazwę tę tłumaczy się jako „miasto tymczasowe"): miasto podwieszone pod balonami i przemieszczające się tam, gdzie zapragną jego mieszkańcy. Dla Instant City nie istniałyby granice przestrzeni powietrznej. Pomysł Archigramu podchwycili i rozwinęli inni, z tym że najczęściej kosztem mobilności. Utopijna architektka Leah Beeferman zaproponowała wizję napowietrznej, rozproszonej republiki: „Helikoptery dawałyby poczucie swobody, stworzyłyby własne miasto: powietrzną, wiecznie unoszącą się, wędrującą przez ziemską atmosferę utopię".

Dla Beeferman „śmigłowcowy archipelag, czy też łańcuch wysp" byłby „lukiem ratunkowym, sposobem na ucieczkę od tradycyjnego zwierzchnictwa państwa". Archipelag przemierzałby międzynarodową przestrzeń powietrzną: „Naniesienie go na mapę byłoby niemożliwe. Autorzy atlasów i globusów dołączaliby do swoich produktów opakowanie

łatwo usuwalnych naklejek z wizerunkiem helikopterów, ażeby użytkownicy mogli oznaczać aktualne położenie archipelagu”. Coś w tym jest, że idea wolnej przestrzeni powietrznej każe człowiekowi dosłownie bujać w obłokach, one bowiem, choć dla nas są środowiskiem obcym i nieznanym, wydają się zarazem naturalnym miejscem dla wydumanych wizji ludzkiego szczęścia.

Gutterspace

W pierwszej połowie lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku artysta konceptualny Gordon Matta-Clark zaczął kupować od władz Nowego Jorku wciśnięte między duże budynki długie, nierzadko kilkudziesięciometrowe, ale bardzo wąskie, nawet półtorametrowe, działki, potocznie nazywane „*gutterspaces*” (ang. *gutter* – rynsztok). Kiedy władze Nowego Jorku wystawiły te bezużyteczne okrawki ze stołów planistów przestrzennych na licytacje, Matta-Clark kupił piętnaście parceli (czternaście w Queens i jedną na Staten Island) i w ciągu kilku następnych lat obfotografował swoje nabytki, otrzymał ich plany, uzyskał akty własności i załatwił wszelkie niezbędne formalności.

Większość *gutterspaces*, których właścicielem stał się Matta-Clark, to ciemne, wąskie przejścia, ukryte między budynkami i charakteryzujące się pewną dyskretną melancholią. Skusiły artystę, ponieważ wystawiające je na aukcje miasto przyszyło im łatkę „niedostępnych”. W rozmowie z dziennikarzem Matta-Clark wyjaśnił, że spodobał mu się paradoks tkwiący w posiadaniu miejsc, których „nikt nie chce zauważyć, a co dopiero zająć”. Wśród nabytków wyróżnia się Jamaica Curb, działka numer piętnaście: długa krawędź chodnika, miejsce doskonale widoczne, dostępne i z pozoru publiczne, będące rażącym przykładem prawnej i rynkowej osobliwości. Matta-Clark zrobił dwadzieścia cztery zdjęcia tej parceli i ułożył z nich długi na trzy i pół metra kolaż.

Matta-Clark zmarł w 1978 roku, w wieku trzydziestu pięciu lat, nie dokończywszy projektu *gutterspaces*, który nazwał *Fake Estates* (Niby-nieruchomości). Projekt stawał się uciążliwy, przede wszystkim ze względu na podatki; działki były bardzo tanie, kosztowały nawet dwadzieścia pięć dolarów za sztukę, ale co innego opłaty: od każdej takiej parceli Matta-

Clark musiał odprowadzać osiem dolarów podatku rocznie. Po jego śmierci miasto ponownie stało się ich właścicielem. Jane Crawford, wdowa po artyście, podjęła się trudu uporządkowania chaotycznych i niechlujnych notatek Matty-Clarka. Wynikiem jej starań były wystawy, książki, a nawet wycieczki śladem niby-nieruchomości, samo dzieło stało się zaś probierzem dla nowego pokolenia artystów nawiązujących do psychogeografii.

Każdy, kto kiedykolwiek gotował się ze złości, patrząc, jak jego sąsiad stawia ogrodzenie, doskonale wie, jak ważny jest każdy centymetr ziemi. Chyba nie ma osoby, która w takiej sytuacji spokojnie wyjrzałaby przez okno i uprzejmie powiedziała: „Ależ nie przejmuj się, stawiaj ten płot, gdzie tylko chcesz!”. Niby-nieruchomości Matty-Clarka mają niepokojący urok i są według autora sprowadzoną do niedorzeczności krytyką naszej obsesji na punkcie własności ziemi. W studium nad pracą Matty-Clarka, *Object to Be Destroyed* (Przedmiot przeznaczony do zniszczenia), Pamela Lee objaśnia motywy artysty, odwołując się do następującego stwierdzenia Karola Marksa: „Prywatna własność uczyniła nas tak głupimi i ograniczonymi, że uznajemy przedmiot za swój jedynie wtedy, gdy go posiadamy i kiedy istnieje dla nas w kategoriach kapitału”. Bezużyteczne działki Matty-Clarka mają destabilizować nasze poczucie racjonalności własności ziemi i w pewnym sensie udaje im się to osiągnąć. Ale działają również w drugą stronę, ponieważ przypominają nam o sile idei posiadania gruntu. Niby-nieruchomości są zaskakująco wzruszające, ponieważ odwołują się do powszechnych sentymentów, do wspólnego ludziom pragnienia posiadania choćby kawałka ziemi, nieważne jak małego – bylebyśmy mogli powiedzieć, że należy do nas.

Kolekcja działek Matty-Clarka nawiązuje również do estetyki porządkowania i znakowania tego, co nam znane. Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Matta-Clark wprowadzał w życie swoją koncepcję, inny nowojorczyk, Jack Gasnick, właściciel sklepu metalowo-narzędziowego – znany z „piwnicznego wędkarstwa” (twierdził, że w strumieniu płynącym przez piwnicę w jego domu złapał prawie półtorakilogramowego karpia) – i trzeciej najdłużej działającej żarówki (świeciła na zapleczu w sklepie Gasnicka; zapalono ją w 1912 roku), robił coś bardzo podobnego, i to bez żadnego podtekstu. Mianowicie Gasnick traktował wykupowanie *gutterspaces* jak hobby. W 1994 roku w rozmowie z dziennikarką „New York Timesa” Constance Hays wyjaśnił: „To jak

zbieranie znaczków” i dodał: „Kiedy złapiesz bakcyla, przepadłeś (…). Chciałem mieć to, co niechciane”.

Gasnick zgromadził dwadzieścia osiem parceli, które kosztowały go od pięćdziesięciu do dwustu pięćdziesięciu dolarów za sztukę. Jego perłą w koronie była działka za domem Louisa Armstronga w, *nomen omen*, Coronie w dzielnicy Queens. Do Gasnicka należały przeróżne fragmenty Nowego Jorku, na przykład skrawek cmentarza dla czarnoskórych albo działeczka, na której rosła samotna jabłoń. Z jednej strony traktował swoje nabytki w kategoriach trofeów do kolekcji, a z drugiej – widział w nich wyraz pewnych aspiracji. „Mój awans z właściciela kwiatka w doniczce na właściciela jabłonki – mówił – świadczy o tym, że przeciętny gość z bloku nie musi wydać majątku, żeby sprawić sobie kawałek porządnej ziemi”. Troska, jaką Gasnick otoczył wspomnianą jabłonkę – a także rosnący na innej należącej do niego parceli dąb – jest przedłużeniem uczucia, jakim ten sklepikarz obdarzył swoje mikronieruchomości. „Po zakupie działki – pisze Constance Hays – pan Gasnick przez kilka weekendów dogląda jej i sprząta tam (…) odwiedza ją również wtedy, kiedy okolica radykalnie się zmienia. Usuwa śmieci ze swojej ziemi: czy to puste kubki po kawie, czy porzucone przez właścicieli samochody”. Pod koniec lat siedemdziesiątych utrzymanie kolekcji zaczęło Gasnickowi ciążyć, niektóre działki zapodział („zapomniałem, gdzie są”), inne odsprzedał, często z tylko symbolicznym zyskiem, a jeszcze inne odstąpił miejskim ogrodnikom. Dziś ponaddziewięćdziesięcioletni Gasnick ma już tylko jedną mikroparcelę, będącą jego ulubionym miejscem na pikniki: działka znajduje się na Staten Island i roztacza się z niej widok na port.

Nadal tu i tam można kupić skrawki gruntu. Claudio Manicone, pracownik samorządu terytorialnego hrabstwa Broward na Florydzie, próbuje sprzedać chodnik, prześwit między budynkami oraz rzeczkę. Swoją działalność traktuje jak porządkowanie przestrzeni publicznej: „Po wszystkim, co robisz, zostają jakieś resztki. Na przykład kiedy budujesz z drewna, zostawiasz wióry, ścinki i okrawki”. Firmom handlującym mikrodziałkami raz na jakiś czas trafiają się klienci powodowani ukrytymi motywami, jak na przykład pewien mężczyzna, który w Palm Beach kupił mikroskopijny odcinek miejskiego kanału, licząc na przejęcie kontroli nad zaopatrzeniem miasta w wodę (bardzo szybko przekonał się, że nic z tego).

Przeważnie jednak ludzie interesują się tymi nieruchomościami z dużo mniej racjonalnych powodów.

Gordon Matta-Clark uratował miejskie okrawki od zapomnienia i umieścił je na mapie. Osiągnął sukces na granicy paradoksu, bo przecież jego nieruchomości pozostały „niby”: prawdziwe, ale bezwartościowe. Łatwo zrozumieć, dlaczego pragniemy posiadać nawet taki skrawek ziemi, zwłaszcza w dużych miastach, gdzie ludzie dysponujący na tyle okazałym ogrodem, by choć dało się w nim usiąść, mogą się uważać za nie lada szczęściarzy. I chyba rozumiem też, dlaczego Jack Gasnick tak lubił swoją kolekcję. Bo czy to takie dziwne, że skoro bogacze rozkoszują się łąkami po horyzont, zwykli ludzie czerpią przyjemność z posiadania choćby kilku metrów kwadratowych trawnika? A kiedy ktoś zacznie się śmiać, wystarczy powiedzieć, że miniaturowa nieruchomość jest krytyką kapitalizmu. Od razu zrozumie.

Kraina Obfitości

Związek pomiędzy miejscem a naszym dobrym samopoczuciem jest zakodowany w ludzkim mózgu. Chęć poprawy życia często pociąga za sobą przenosiny w nowe, lepsze miejsce, nie powinno zatem dziwić to, że dla ludzi pragnących uciec od nowoczesnej cywilizacji i stworzyć społeczeństwo doskonałe wybór lokalizacji i ukształtowanie jej pod kątem własnych potrzeb mają kluczowe znaczenie. Ten utopijny impuls, dawniej utożsamiany z ruchem hipisowskim, rozprzestrzeniał się i ewoluował, dając początek rozlicznym „społecznościom intencjonalnym”, zwłaszcza przeróżnym komunom ekologicznym, ekowioskom, których liczba stale i szybko rośnie. W krajach anglojęzycznych znajdziemy tysiące takich siedlisk, ale ta, o której chcę opowiedzieć, przycupnęła na brzegu rzeki Ob, płynącej dwa tysiące osiemset kilometrów na wschód od Moskwy i sto cztery na południowy zachód od Nowosybirska, największego miasta Syberii.

Pragnienie ucieczki od miejskiego życia i budowy utopijnego społeczeństwa nie jest w Rosji niczym nowym, ale w ostatnich latach – w następstwie rozpadu Związku Radzieckiego i wskutek postępującego rozkładu tkanki społecznej, choroby toczącej wiele tamtejszych miast –

coraz więcej przedstawicieli młodego pokolenia Rosjan pakuje plecaki i rusza do lasu, tak jak zrobiło to szesnaście rodzin, które dziś mieszka w wiosce Kraina Obfitości.

To, że związek pomiędzy miejscem a utopią traktujemy jako coś oczywistego, jest w gruncie rzeczy paradoksem. Słowo „utopia", grecki neologizm Thomasa More'a, możemy przetłumaczyć jako „nie-miejsce", stojące w opozycji do rzeczywistego „miejsca", nieodmiennie i zniechęcająco pełnego ludzi, idei i historii. Utopia jako idea implikuje, że utopijne miejsce to czysta mrzonka. Mimo to ludzie chętnie do niej dążą; wiele przeciętnych miast i miasteczek powstało z myślą o stworzeniu idealnej społeczności. Istnieje twórcze tarcie pomiędzy intencjami a rzeczywistością; osłabia ono utopijny puryzm, jednocześnie dając początek nowym utopijnym projektom.

Kraina Obfitości powstała na fali zjawiska pod nazwą Rosyjski Zielony Exodus. W jego ramach w tamtejszych lasach założono setki ekowiosek. Ich inicjatorami są często dobrze wykształceni, uprawiający wolne zawody ludzie, którzy odwracają się plecami do zepsucia, deprawacji i korupcji współczesnej Rosji. Wiele siedlisk nawiązuje do komun w duchu chrześcijańskiego anarchizmu i tołstoizmu, zakładanych w pierwszych latach ubiegłego wieku, a likwidowanych w czasach sowieckiej kolektywizacji, oraz do małych spółdzielni rolniczych, popularyzowanych przez Aleksandra Czajanowa, jedną z wielu ofiar radzieckiego reżimu. Ruch Zielonego Exodusu jest zbyt różnorodny, by łatwo poddawać się uogólnieniom, ale jedną ze wspólnych cech składających się na niego zjawisk jest na pewno mistyczna tęsknota za czystszą, życzliwszą i bardziej autentyczną Rosją.

W Krainie Obfitości mieszkają członkowie ekoduchowej sekty Ruch Anastazji. Podstawą ich przekonań jest seria dziesięciu książek Władimira Megrego, w których autor snuje opowieść o spotkaniu z kobietą o imieniu Anastazja na brzegu rzeki Ob w 1994 roku. „Jest młodą kobietą, urodzoną w głuchej, syberyjskiej tajdze i żyjącą jak pustelnica – pisze Megre – wychowywaną po tragicznej śmierci rodziców przez dziadka i pradziadka, którzy też prowadzą pustelniczy tryb życia". I dodaje: „Czy można się dziwić niezwykłemu przywiązaniu do niej dzikich zwierząt?"[23]. Anastazja odsłoniła przed Megrem filozofię „ekokultury, w której każdy człowiek ma do odegrania rolę Boskiego Współtwórcy", i poinstruowała, iż

„każdy człowiek ma prawo do niewielkiego kawałka ziemi, by z niego czerpać jedzenie, na nim zbudować dom i wychować rodzinę – bez żadnych opłat”.

Książki Megrego trafiły w odpowiedni czas, akurat kiedy rosyjski rząd ogłosił zamiar prywatyzacji gruntów i poluzowania przepisów dotyczących własności ziemi. Prowadzenie małych gospodarstw rolnych i produkcja żywności na własne potrzeby jest w Rosji często spotykaną praktyką: w 1999 roku szacunkowo siedemdziesiąt jeden procent obywateli posiadało działkę i ją uprawiało. Uchwalona w 2003 roku – tym samym, w którym powstała Kraina Obfitości – ustawa o ogródkach przydomowych pozwoliła Rosjanom wysuwać roszczenia do niezajętych działek o wielkości od jednego do trzech hektarów. Anastazjanie przyklasnęli rosyjskiemu premierowi Dmitrijowi Miedwiediewowi, kiedy powiedział: „ze względu na wielkość naszego kraju, koncentracja ludności w miastach mija się z celem”, toteż „byłoby z pożytkiem dla naszego zdrowia (i dla kraju), gdybyśmy się rozproszyli” – i tak właśnie zrobili.

Idee propagowane przez Ruch Anastazji współgrają z prężnym w Rosji kulturowym konserwatyzmem. Nacisk na tradycyjne wartości rodzinne, szacunek dla rosyjskiego rzemiosła i kuchni domowej pasują do nastroju dzisiejszych czasów. Gospodarstwo w Krainie Obfitości – każde ma powierzchnię minimum jednego hektara – tylko się dziedziczy, kupienie go jest niemożliwe. W dążeniu do utopii Kraina Obfitości, inaczej niż inne – w klimacie bardziej hipisowskie – osady, które powstały na fali Zielonego Exodusu, świadomie i z nostalgią sięga do przeszłości.

Integralną część tej nostalgii stanowi odwoływanie się do kolektywu, do wspólnoty pracy i troski o wieś. Mieszkańcy siedlisk pomagają zarówno starym, jak i nowym członkom społeczności. Rodzina byłego fizyka Walerego Popowa instruuje świeżo upieczonych anastazjan, jak zbudować chatę z bali. Rodzina Nadieżdów, byłych stomatologów, to wioskowi piekarze. Klaudia Iwanowa, nauczycielka muzyki, szyje tradycyjne rosyjskie stroje. Na zadbanej stronie internetowej Krainy Obfitości uwydatnia się indywidualne zdolności członków wspólnoty, znajdziemy tam również radosne opowieści o życiu na wsi i porady, jak porzucić miejską egzystencję i powrócić do zdrowych rosyjskich korzeni. Jeden z najważniejszych mieszkańców Krainy Obfitości – były oficer marynarki, który teraz pomaga instalować piece w chatach – Dmitrij Iwanow tłumaczy:

„Ojczyzna uczy nas życia w harmonii”. Jeśli przymkniemy oko na retorykę New Age, zobaczymy, że miejsce to pulsuje patriotycznym pragnieniem ponownego nawiązania zerwanej więzi z prawdziwą Rosją.

Tym, co przyciąga do Ruchu Anastazji, jest opakowanie z tradycyjnych rosyjskich wartości, kryjące duchową i ekologiczną zawartość. Ponad sto tysięcy zarejestrowanych anastazjan zamieszkuje w osiemdziesięciu pięciu osadach – niektóre z nich są znacznie większe niż Kraina Obfitości – rozsianych po całej Rosji (w samym rejonie Nowosybirska znajdują się cztery przysiółki). Miejsce i utopia nigdy łatwo się nie łączą, co też znajduje odbicie w siedliskach. Nie wszędzie filozofię Anastazji głosi się tak żarliwie jak w Krainie Obfitości, ale – zdaniem Iwanowa – „to nie jest aż tak ważne”, mieszkańcy wsi nie oglądają się na innych i po prostu robią swoje. „Najważniejsze, że sami decydujemy, jaką chcemy iść drogą, a czy jest to droga Megrego, czy jakaś inna, to już mniej istotne”.

Odrobina klasycznej geografii pomoże nam zrozumieć, w jaki sposób miejscom utopijnym udaje się zachować spójność. Rozpatrując przyczyny takiego lub innego funkcjonowania osady, geografowie wskazują na istnienie czynników „wypychających” i „przyciągających” (*push and pull factors*). W Krainie Obfitości istnieją silne czynniki przyciągające w postaci ideologii oraz liderów wspólnoty, ale równie ważną rolę w migracji na wieś odgrywają czynniki wypychające ludzi z konwencjonalnych miejsc zamieszkania. Kiedy czyta się albo słucha wywiadów z anastazjanami z Krainy Obfitości, powtarza się w nich podobna historia o tym, co sprawiło, że postanowili uciec z miasta i „systemu”. W rozmowie z niezależnym dziennikarzem Iwanow mówi: „Przez całe życie byłem częścią systemu. W szkole, na studiach, jako posłuszny żołnierz”. Lecz system go zawiódł: „Rozpadł się na moich oczach, został zniszczony przez handlowców, przez złodziei, przez nieuczciwych dyrektorów”. Kraina Obfitości istnieje, jak wyraziła się jedna z mieszkających tam młodych matek, „dla naszych dzieci, żeby mogły żyć »prawdziwszym« życiem niż my”. Olga Kumani, mieszkanka pobliskiej ekowioski w Askacie, mówi, że w 2002 roku zrezygnowała z pracy dziennikarki śledczej w Nowosybirsku: „W mieście nie mogłam oddychać. System mnie dusił”. Niestety, jej eksperyment z ucieczką na wieś się nie udał: „Liderzy wspólnoty po prostu chcieli położyć łapę na naszych pieniądzach i wykorzystać nas jako darmową siłę roboczą”. Czynniki wypychające kazały Oldze szukać dalej,

szukać swojego miejsca w coraz bardziej oddalonych od cywilizacji rejonach ogromnego kraju, jakim jest Rosja.

Utopię utrzymuje przy życiu nie tylko wizja nowego, lepszego miejsca, lecz także doświadczenie mieszkania w złym. Jak na ironię, owe złe miejsca kiedyś były dobrymi, tyle że się nie sprawdziły, a ich porażka skłoniła ludzi do szukania następnych, być może tym razem bliższych ideałowi. W Krainie Obfitości widać, że poszukiwanie utopii może się dość szybko przerodzić w wykonalny projekt: kiedy ideologiczny puryzm ustępuje miejsca przyziemnym potrzebom, mieszkańcy osady czerpią z tego wymierne korzyści, a pozostali mają dowód tego, że społeczna przemiana jednak jest możliwa. Dziś utopijne „nie-miejsce” ma tysiące przyczółków: jedne to pozostałości po dawnych marzeniach, inne powstały całkiem niedawno, ale wszystkie pokazują, jak potężne, paradoksalne i wspólne dla całej ludzkości jest pragnienie ucieczki i powrotu do źródeł.

Góra Athos

Athos, Święta Góra, to pięćdziesięciokilometrowej długości półwysep na Morzu Egejskim. Na jego wybrzeżu znajduje się dwadzieścia ponadtysiącletnich klasztorów o wysokich, grubych murach i strzelistych wieżach służących do obrony przed piratami. We wszystkich klasztorach mieszkają prawosławni mnisi obrządku greckiego. Zobaczymy tam również: średniowieczne miasteczko Karies, port Dafni i mnóstwo kapliczek oraz starożytnych ruin. Athos to surowe i odludne miejsce, niemal całą powierzchnię półwyspu zajmują góry, które w jego południowej części osiągają wysokość dwóch tysięcy metrów. Dostać się tam można jedynie drogą morską.

Nie wszystkim wolno odwiedzić Świętą Górę. Athos to bowiem skrajny przykład miejsca określanego przez regułę wykluczenia: kobietom absolutnie wstęp wzbroniony. Ciekawskie turystki, owszem, mogą podziwiać klasztory, ale tylko z daleka, z odległości nie mniejszej niż pięćset metrów od brzegu; gdyby wysiadły w porcie, zostałyby aresztowane i skazane na karę od dwóch do dwunastu miesięcy więzienia. Co ciekawe, zakaz dotyczy również zwierząt, przy czym jedynym wyjątkiem od tej reguły są kotki, które – jak twierdzą mnisi – „zesłała” im w swej

przezorności Maryja Dziewica, aby regulowały populację szkodników. Zwiedzać klasztory mogą wyłącznie dorośli mężczyźni oraz „chłopcy pod opieką swych ojców”.

Istnienie miejsc kultu zarezerwowanych wyłącznie dla mężczyzn wydaje się anachronizmem, ale historia Świętej Góry pokazuje, jak niezwykle silna jest to idea. Według legendy Maryja Dziewica otrzymała od Boga górę Athos w darze jako święty ogród. Kiedy Maria i Jan Ewangelista płynęli odwiedzić Łazarza na Cyprze, rozpętała się burza i fale rzuciły łódź na wschodnie wybrzeże półwyspu Athos. Maria i Jan wylądowali nieopodal pogańskiej świątyni poświęconej Apollowi. (Dziś w tym miejscu stoi klasztor Iwiron). Ponoć „pogańskie bożki” wezwały miejscowych, by przyszli i powitali Marię, co też uczynili, schodząc z dawnej drogi i wkraczając na ścieżkę nowej wiary. Maria, olśniona pięknem przyrody, zwróciła się do Boga z modlitwą, aby darował jej tę krainę. Bóg odrzekł: „Niech zatem będzie to twa ziemia, twój ogród i twój raj, a także ocalenie, azyl dla tych, którzy potrzebują ratunku”.

Święta Góra jest pod wezwaniem Maryi Dziewicy, na większości miejscowych ikon przedstawia się jej postać. Mimo to sanktuarium utrzymuje męski charakter. Jeśli ktoś próbuje kwestionować legalność zakazu wstępu dla kobiet na półwysep, mnisi odpowiadają, że cały, mający trzysta trzydzieści pięć kilometrów kwadratowych Athos należy traktować jak jeden wielki klasztor. „Kiedy spojrzymy na dwadzieścia klasztorów na Świętej Górze jak na jedną całość – tłumaczył na niedawnej międzynarodowej konferencji poświęconej górze Athos Walter Schwimmer, austriacki polityk i jeden z największych świeckich orędowników tego miejsca – wówczas zakaz wstępu kobiet na półwysep nie wyda nam się niczym niezwykłym. To po prostu powszechnie akceptowana zasada”. W swojej argumentacji Schwimmer zwraca uwagę na to, że wykluczenie przestrzenne stanowi ogólnie przyjęty aspekt życia religijnego. Bywa, że owo wykluczenie najsilniej uderza w innowierców. Mekka i centrum Medyny, miasta należące do najczęściej odwiedzanych na świecie, są zarazem dwoma najbardziej niedostępnymi, niemuzułmanie nie mają do nich wstępu. Również świątynie mormońskie – a także wiele hinduistycznych – zamykają drzwi przed wyznawcami innych religii, ale trzeba przyznać, że taki rygoryzm to jednak wyjątek, nie reguła. Najczęściej czynnikiem decydującym o możliwości odwiedzenia świątyni bądź

klasztoru jest nie wyznanie, lecz płeć wiernego. Pomijając niektóre zreformowane odłamy chrześcijaństwa i judaizmu, w zasadzie we wszystkich religiach świata obecność kobiety w świątyni budzi niepokój. Kościół katolicki jeszcze do niedawna zakazywał kobietom wstępu do prezbiterium, a obowiązująca w islamie i hinduizmie praktyka *purdah* zamyka miliony kobiet w domu albo każe im spoglądać na świat zza zakrywającej całe ciało „zasłony". W odludnych hinduistycznych wioskach Nepalu przetrwała tradycja *chhaupadi*, zakazująca kobietom w trakcie menstruacji wstępu do domu przez siedem dni; muszą spać w szopach, jaskiniach albo pod gołym niebem.

Z punktu widzenia tradycyjnych religii relacje między żyjącymi obok siebie w miastach i wsiach mężczyznami a kobietami stanowią niewyczerpane źródło problemów. Można temu zaradzić jedynie poprzez stosowanie rytuałów wykluczenia. Święta Góra jest wolna od takich zmartwień. To utopijna przestrzeń, w której ziszcza się sen świętego o czystości, o życiu bez pokus i czynników rozpraszających. To też najlepsze miejsce, jakie może sobie wyobrazić ktoś, kto czeka na Paruzję i ostateczne porzucenie cielesnej formy.

Liczba mnichów na Athos spadła ze słynnych „sześciu tysięcy bród" do mniej więcej dwóch tysięcy. Autonomiczna Republika Góry Athos jest cieszącą się polityczną niezależnością częścią Republiki Greckiej, jej suwerenność gwarantuje grecka konstytucja. Jedynym zwierzchnikiem kościelnym dysponującym władzą nad Athos jest Arcybiskup Konstantynopola, Nowego Rzymu i Patriarcha Ekumeniczny; w 1046 roku Konstantyn IX Monomach, cesarz Bizancjum (ze stolicą w Konstantynopolu, dzisiejszym Stambule), wprowadził na Athos zakaz wstępu dla kobiet.

Zakaz ten ma własną nazwę w greckim kodeksie: *αβατον* (awaton) i jeśli oceniać go wyłącznie pod kątem prawnym, to trzeba przyznać, że zapis jest skuteczny. Mimo iż od jego wprowadzenia minęło prawie tysiąc lat, a klasztory na pewno kuszą turystki pięknem i tajemniczością, niewiele kobiet ośmieliło się przekroczyć granicę Athos. Jedną z nich była żyjąca w XIV wieku Jelena z Bułgarii, która przybyła na Athos, uciekając przed dżumą; niektórzy sądzą jednak, że jej wizyta nie powinna się liczyć, ponieważ stopy Jeleny nawet przez chwilę nie dotykały Świętej Góry – ze względu na panujące tam obyczaje przez cały pobyt noszono ją w lektyce.

Na pewno natomiast na niedostępnej ziemi postała stopa Maryse Choisy, francuskiej psychoterapeutki i byłej pacjentki Freuda. Choisy przykleiła sobie sztuczne wąsy i założyła przebranie służącego. Do tego, jak utrzymywała, poddała się całkowitej amputacji obu piersi, stając się, wedle jej własnych słów, „Amazonką". Poświęcenie opłaciło się, Choisy przeniknęła bowiem do kraju mnichów i spędziła w nim miesiąc. W swojej książce *Un mois chez les hommes* (Miesiąc z mężczyznami), która ukazała się w 1929 roku, Choisy przytacza usłyszane od mnicha z klasztoru Watopedi ciekawe wytłumaczenie, dlaczego w Athos zakazem są objęte również kury: „Musi istnieć pewna granica – powiedział zakonnik. – Jeśli zaakceptujemy kurę, niektórzy bracia zaczną się domagać kotek, owieczek (to przecież pożyteczne zwierzęta), a nawet oślic. A od oślicy do kobiety to już tylko krok". Jak widać, dopuszczenie na Świętą Górę kotek to stosunkowo niedawne ustępstwo. Rozjuszona mizoginią, z jaką zetknęła się na Athos, Choisy obnaża Świętą Górę, opisuje mnichów jako mężczyzn leniwych, nierozgarniętych i dręczonych homoerotycznymi pokusami. Książka ma szyderczy i sprośny charakter, a jej erotyczną zawartość niektórzy wprost odrzucają jako „mściwe wymysły". Społeczności składające się z przedstawicieli tylko jednej płci rozpalają wyobraźnię, to prawda, lecz pożądliwa ciekawość zwraca też uwagę na pewien paradoks: mieszkańcy takich miejsc wyrzekają się seksu, ale płeć staje się ich obsesją i składnikiem nadrzędnej reguły rządzącej ich światem.

Wtargnięcia kobiet na teren Świętej Góry zapewne od czasu do czasu będą się zdarzały. Tego rodzaju incydenty nie osłabiają wiary mnichów w słuszność zasad, przeciwnie: intruzki i szyderczynie tylko wzmacniają przekonanie zakonników, iż są oni strażnikami świętej schedy. Awaton to wyłącznie jeden z przykładów na to, że Święta Góra nie nadąża za duchem czasów, ale robi to z dumą. Gości przyjmuje się tam właściwie z łaski; ustalono dzienne limity wizyt: dziesięć dla „niegrekokatolików" i sto dla „Greków i grekokatolików". Lądując na Athos, odwiedzający cofają się w czasie, i to dosłownie: w 1924 roku cały grecki Kościół prawosławny przeszedł na kalendarz gregoriański – cały, z wyjątkiem Świętej Góry, której mieszkańcy nadal posługują się juliańską rachubą czasu. Tamtejsi mnisi należą do starokalendarzowców (zaliczają się także do nich już tylko niewielkie sekty w Grecji, Rumunii, Bułgarii i Stanach Zjednoczonych) i są zapóźnieni o trzynaście dni w stosunku do reszty świata.

Liczne archaizmy Świętej Góry w połączeniu z jej niezwykłą urodą sprawiają, że niektórzy przejawiają wobec półwyspu instynkty iście opiekuńcze. Jedną z takich osób jest książę Karol, stały gość na Athos. Odstręcza za to sofistyka tłumacząca zasadność awatonu. Obrońcy tego prawa używają języka odwołującego się do szacunku dla odmienności kulturowej. „Komuś, kto domaga się zniesienia zakazu wstępu dla kobiet na górę Athos – mówi Walter Schwimmer – po prostu brak szacunku dla stylu życia, na jaki decydują się mnisi". Schwimmer dorzuca pytanie według niego retoryczne: „Czy brak szacunku dla innych, naruszanie czyjejś ludzkiej godności, może stanowić podstawę dla »prawa człowieka«?". To śliski argument, nie pomaga w zdobywaniu sympatii dla Athos. Broniąc się w taki sposób, można podważyć wszelkie prawa człowieka, po prostu twierdząc, iż naruszają swobodę wyboru innych ludzi. Obrona pod hasłem „szanuj moją wolność dyskryminacji" przypomina również, że w zestawieniu z innymi miejscami na świecie, do których kobiety nie mają wstępu z przyczyn religijnych, Święta Góra nie jest wyjątkiem, lecz skrajnym przykładem ogólnej tendencji.

Quilombo Brotas

23° 00' 59" S; 46° 51' 31" W

W Brazylii mianem *quilombos* określa się różnej wielkości osady założone przez zbiegłych niewolników. Jedną z nich jest Quilombo Brotas, potocznie nazywane Bairro Brotas, „dzielnicą pędów". Największy rozgłos pośród *quilombos* zyskało powstałe w 1605 roku na północno-wschodnim wybrzeżu Brazylii państwo Quilombo dos Palmares, republika byłych niewolników, rozmiarami dorównujące podobno Portugalii. Przetrwało osiemdziesiąt pięć lat, dużo dłużej niż większość zwykłych *quilombos*. Obecnie szacuje się, że w Brazylii istnieje nawet około dwóch tysięcy wsi i dzielnic podmiejskich wywodzących się z tej tradycji; działająca przy Ministerstwie Kultury Fundacja Palmares wymienia tysiąc czterysta osiem takich miejsc, rozrzuconych po dwudziestu czterech z dwudziestu siedmiu brazylijskich stanów.

W ubiegłym stuleciu *quilombos* popadły w zapomnienie. Nie oznaczano ich na mapach i tablicach informacyjnych i oficjalnie nie uznawano.

Stopniowo kurczyły się do zaniedbanych enklaw i stapiały z nowoczesnymi miastami, których władze wywłaszczały mieszkańców *quilombos* albo ich ignorowały. Uchwalona w 1988 roku konstytucja Brazylii zmieniła ten stan rzeczy i uznała prawa *quilombolas* (mieszkańców *quilombos*). Dla wielu ludzi było to wydarzenie o doniosłym znaczeniu, autorzy konstytucji napisali bowiem: „Uznaje się pierwotne prawa do pozostałości *quilombos*; prawa do nich nie ulegają przedawnieniu". Rok 1995 ogłoszono rokiem Zumbiego, zmarłego trzysta lat wcześniej ostatniego przywódcy Quilombo dos Palmares i „bohatera narodu brazylijskiego". Na fali euforii wywołanej zmianą klimatu politycznego wiele osób ujawnia się jako potomkowie *quilombolas* podczas tak zwanego święta samookreślenia, które przypada na 20 listopada, kiedy w Brazylii obchodzi się Dzień Świadomości Murzyńskiej.

Osiedla te stały się symbolami nowo odkrytej pewności siebie i dumy Afrobrazylijczyków. Uznanie ich praw prowokuje do stawiania ciekawych pytań o rolę *quilombo* w walce z niewolnictwem i w procesie rozwoju tożsamości osób ciemnoskórych. W ucieczce nie chodzi przecież wyłącznie o oddalenie się od miejsca zniewolenia; rzecz również w tym, żeby mieć dokąd uciec i móc zapuścić korzenie w innym, nowym miejscu. Jeśli takie wolne miejsce nie jest w stanie się utrzymać, wówczas ucieczka staje się niemożliwa i opór powoli gaśnie. Historia *quilombos* uwydatnia te proste prawdy i jednocześnie porusza bardziej złożone problemy. Każe na przykład zapytać o sens istnienia *quilombos* po zniesieniu niewolnictwa, kiedy Afrobrazylijczycy uzyskali wolność i stali się jedną z wielu grup etnicznych w wielorasowym społeczeństwie. Nazywając *quilombos* „pozostałościami", autorzy konstytucji podkreślili historyczny aspekt zjawiska, niejako umocowali je w przeszłości i tam pozostawili. Kiedy *quilombo* przestaje być *quilombo*? Kiedy przestaje je definiować jego własna przeszłość? Jak wynika z przemian w *quilombo*, które dokonały się w ciągu ostatnich dwóch dziesięcioleci, w tej chwili odpowiedź na obydwa te pytania brzmi: nigdy.

Leżące na obrzeżach Itatiby – niewielkiego miasta oddalonego o siedemdziesiąt sześć kilometrów od kwitnącej metropolii São Paulo – Quilombo Brotas jest wystawiane na próbę. Mieszka w nim około trzydziestu rodzin. Na osadę składają się zbudowane z pustaków i eternitu domy rozrzucone na rozległych, porośniętych lasem tropikalnym

i poprzecinanych drogami gruntowymi przedmieściach. Dawniej to ubogie osiedle stanowiło część dużo większej, bezpiecznej strefy przyciągającej zbiegów nawet z bardzo oddalonych części kraju. Tak jak w przypadku innych *quilombos*, niewielką działkę w końcu wykupili byli niewolnicy – w Quilombo Brotas byli to Isaac de Lima i Emília Gomes de Lima; na ranczu u właściciela oboje zajmowali się opieką nad sadzonkami i młodymi roślinami i stąd nazwa tego *quilombo*: *brota* to bowiem „pęd" albo „latorośl". W przekazywanych ustnie opowieściach o dawnych czasach Isaac de Lima wyraża nadzieję: „każdy, w którego żyłach płynie taka krew jak w moich, znajdzie własne miejsce do życia". Rodowód wielu mieszkańców Quilombo Brotas sięga założycielskiej pary przodków, od których wywodzi się najstarsza tamtejsza *quilombola* –Ana Teresa Barbosa da Costa, przez większość nazywana po prostu „Ciocią".

Przez ostatnie sto lat przyszłość Quilombo Brotas wielokrotnie bywała zagrożona. Wysokie podatki od nieruchomości, brak oficjalnego uznania, plany przekształcenia okolicy w składowisko odpadów szpitalnych – te i inne pomysły kilka razy nieomal doprowadziły do zlikwidowania osiedla. Do niedawna Quilombo Brotas znajdowało się na uboczu, w zaniedbanej części miasta, i właściwie odwiedzali je jedynie wyznawcy umbandy, afroamerykańskiego kultu, którzy akurat mieli tam swoje ulubione miejsce modłów. Z rozmów z mieszkańcami Quilombo Brotas przebija wyraźny strach przed utratą więzi z przeszłością. „Dziś, osiem pokoleń później, większość mieszkańców *quilombo* to osoby rasy mieszanej – wyjaśnia w rozmowie z BBC pochodzący z Quilombo Brotas Paulo Sergio Marciano. – Najważniejszy jest dla nas powrót do tradycji, odbudowanie więzi pomiędzy Brazylią a Afryką". Dziś ta nostalgiczna obsesja wreszcie przynosi rezultaty, Quilombo Brotas zostało bowiem uznane przez władze stanu São Paulo za „miejskie *quilombo*", a to nie lada sukces; w wyniku cywilizacyjnego awansu Quilombo Brotas nastąpił wysyp rządowych raportów i prac naukowych na temat przeszłości i przyszłości tej dzielnicy.

Pozbycie się piętna najniższej kategorii wiąże się też z koniecznością uporania się z konkretnymi problemami, z których część dotyczy prawa majątkowego. Podobnie jak w większości *quilombos*, również w Quilombo Brotas akty własności większości działek w kwestiach formalnych pozostawiały wiele do życzenia. Posiadanie prawa do parceli trzeba było udowadniać, korzystając z wielu różnych źródeł, na przykład przekazów

ustnych albo… wydobytych z ziemi łańcuchów i żelaznych kul – te i inne artefakty (na przykład kamienną figurkę kobiety z afrykańskiego plemienia) przekazywano władzom, które między innymi na tej podstawie ustalały zasadność roszczeń i autentyczność aktów własności. Nabrało to szczególnego znaczenia w pierwszych latach XXI wieku, kiedy mieszkańcy Quilombo Brotas musieli stawić czoło pracownikom firmy budowlanej, która na ich terenie zamierzała postawić bloki mieszkalne. W 2003 roku przedstawiciel rządu stwierdził, iż państwo „nie jest w stanie rozstrzygnąć, czy doszło do naruszenia własności, ponieważ przebieg granic działek znajdujących się na tym terenie jest niejednoznaczny”. Od tamtej pory wiele się zmieniło. Udało się ustalić kwestię granic, a w ramach nowych miejskich inwestycji w Quilombo Brotas pojawiły się oświetlenie ulic i budynek Centrum Dziedzictwa. São Paulo zaczęło zupełnie inaczej podchodzić do osiedla: z zaścianka i kulturalnej pustyni przekształciło je w modne miejsce, atrakcyjne zwłaszcza dla młodego, bardziej świadomego społecznie pokolenia. Dziś odbywają się tam festiwale i związane z historią wydarzenia, które przyciągają ludzi z całego miasta i łączą ich niezależnie od rasy.

Dzięki „quilombolizacji” Brazylii ukryte społeczności wychodzą z cienia. Nawet osadom niemającym nic wspólnego ze zbiegłymi niewolnikami i niezałożonym przez nich przykleja się łatkę *quilombo* tylko dlatego, że większość ich mieszkańców stanowią osoby o czarnym kolorze skóry; zresztą same te wsie o to zabiegają. W wywiadzie przeprowadzonym przez swojego kolegę po fachu antropolog Alfredo Wagner Berno de Almeida, który zajmuje się zjawiskiem *quilombos*, przestrzega przed traktowaniem tych osad, jakby były niezmiennym, skamieniałym symbolem przeszłości: „*Quilombos* to nie Sfinks ani piramidy – mówi. – Są nie pomnikami, lecz elementem spuścizny artystycznej, częścią produktywnej wiejskiej kultury”. Określanie tych miejsc mianem „*quilombos*” niejako cofa je do epoki niewolnictwa. Oficjalna kategoria „pozostałości” brzmi wprawdzie uwłaczająco, ale przynajmniej pokazuje, że nastąpiła wyraźna zmiana, a między wierszami ostrzega przed niebezpieczeństwami wynikającymi z zastoju i muzeifikacji. Inni, tacy jak Onyx Lorenzoni, deputowany z okręgu federalnego, w awansie *quilombos* dopatrują się „podziału Brazylii według koloru skóry”.

Czy Quilombo Brotas z przyczółka afrobrazylijskiej kultury zamienia się w dotowany przez państwo wehikuł czasu dla czarnoskórych? Raczej nie. Do Quilombo Brotas ściągają przecież różnokolorowi i wywodzący się z różnych środowisk mieszkańcy São Paulo i uczestniczą w jego życiu. Odkrywanie tej dzielnicy uzupełnia obraz miasta o wyjątkowy i ważny element. Poza tym wreszcie docenia się wkład Quilombo Brotas w afrobrazylijską kulturę i walkę z niewolnictwem. Warto jednak zadać sobie pytanie, jak daleko zabrnie ten proces i ile jeszcze pojawi się *quilombos*. W kraju, w którym nadal dokładnie nie wiadomo, jaki odsetek obywateli uważa się za Afrobrazylijczyków – szacunkowe wskazania wahają się od ośmiu do pięćdziesięciu trzech procent! – liczba *quilombos* może być właściwie dowolna. Wiadomo natomiast, że nie są one jedynie „pozostałościami" po czymś, co już nie istnieje – to miejsca spoglądające w przeszłość, by określić swoją teraźniejszość. Jest to cecha wspólna wszystkim zamieszkałym miejscom. Przez to czasem wydają się bardziej zainteresowane ochroną istniejącej tradycji niż tworzeniem nowej. Warto jednak podjąć to ryzyko – a nawet nie tyle warto, ile trzeba – jeżeli chce się sprawić, aby miejsce, zamiast być jedynie przestrzenią tymczasowego zamieszkania zbioru luźnych jednostek, stało się tożsame z prawdziwą społecznością. Pozbawiając miejsca spajającej je przeszłości, pozbawiamy je też konstruktywnej przyszłości.

Obszary Kolumbii kontrolowane przez FARC

Wydawałoby się, że w coraz bardziej homogenicznym i coraz dokładniej monitorowanym świecie zbuntowane miejsca to pieśń przeszłości. Nie dla Fuerzas Armadas Revolucionarias de Colombia (FARC; Rewolucyjne Siły Zbrojne Kolumbii). W pierwszej dekadzie XXI wieku FARC kontrolowały około czterdziestu procent powierzchni Kolumbii. Co prawda w ostatnim dziesięcioleciu ich strefa wpływów skurczyła się do niecałych trzydziestu procent, ale nadal jest to znacząco duży obszar.

To, że FARC chcą i potrafią sprawować kontrolę nad określonym terytorium, stoi w sprzeczności ze światowymi tendencjami. Nie chodzi o to, że uzbrojone w ciężki sprzęt bojówki nagle wyszły z mody – po prostu przyzwyczailiśmy się, że dziś działają w inny sposób. Islamskie grupy

przemieszczają się jak zjawy, niepostrzeżenie prześlizgują się pomiędzy wynajmowanymi mieszkaniami i anarchistycznymi krajami. Kontrolują większy obszar jedynie wtedy, kiedy jakiś kraj uzna je za przydatne i udzieli im cichego przyzwolenia albo kiedy państwo jest zbyt słabe i niewydolne, by zdołało usunąć je ze swojego terytorium. Somalia, Afganistan, Sudan, Jemen Południowy, Mali, Pakistan należą do jednej albo do obu tych kategorii. Al-Kaida, dosłownie „baza", założyła swoją kwaterę główną w kontrolowanym przez talibów Afganistanie, a jej bojownicy, działający w oddaleniu od chronionej, bezpiecznej centrali, stworzyli rozproszoną sieć. Skutki ich akcji – ich widmowych manewrów – zmieniły nasze życie i ukształtowały postrzeganie geografii partyzanckich działań.

W rezultacie nie dostrzegamy rebelii innego rodzaju, pozostających w odmiennych relacjach z miejscem, albo po prostu uważamy, że ich czas minął. Nic podobnego, zbrojne bunty z socjalistycznymi hasłami na sztandarach wcale nie odeszły w przeszłość. Jeden podnieśli maoiści w Nepalu: na początku naszego stulecia opanowali mniej więcej osiemdziesiąt procent powierzchni tego państwa; inny naksalici (maoiści bengalscy) w Indiach: aktualnie kontrolują rozległe obszary leśne we wschodniej części kraju. Kolejnymi przykładami są lewicowo-narodowa Partia Pracujących Kurdystanu i jej polityczne odgałęzienia: partia ma swoją siedzibę w Górach Kandil w północnym Iraku, ale jej strefa wpływów rozciąga się też na północną Syrię i Iran.

Większość lewicowych organizacji rewolucyjnych charakteryzuje niemal całkowity brak poszanowania dla ludzkiego życia. Są to z reguły ruchy oddolne, żołnierze rekrutują się spośród prostych wieśniaków – w ich szeregach znajdziemy też dużo kobiet – co z geograficznego punktu widzenia jest ważne, oznacza bowiem, że organizacje te ściśle wiążą się z miejscem oraz że mogą i chcą panować nad terytorium, które uznają za „swoje". Różnica pomiędzy nimi a terrorystami islamskimi, tworzącymi zarządzane odgórnie, zdominowane przez mężczyzn i swobodne geograficznie grupy, jest uderzająca.

FARC bardzo angażują się w miejsce, z którego pochodzą. Siły powstały w kwietniu 1966 roku z inicjatywy lewicowej partyzantki mającej korzenie w komunistycznych wspólnotach rolniczych, które od niemal dwóch dziesięcioleci prowadziły skierowane przeciwko rządowi działania „masowej samoobrony". FARC rozwinęły się na wiejskich obszarach,

których mieszkańcy tradycyjnie dążyli do uzyskania autonomii i nie mieli zaufania do rządu centralnego w Bogocie. W latach osiemdziesiątych wpływy i akcje FARC sięgały dużo dalej niż ich początkowy obszar oddziaływania. Siły, z dumą dodawszy do swojej nazwy słowa Ejército del Pueblo (Armia Ludowa), walczyły na ponad osiemnastu frontach. „Pełniły one w gruncie rzeczy funkcję rządu – mówi Gary Leech, znawca tematu FARC – dla tych wiejskich społeczności, w których państwo nie zdołało wystarczająco zaznaczyć swojej obecności i władzy".

Od mniej więcej dwudziestu lat FARC skłaniają się ku bardziej elastycznemu i nacjonalistycznemu socjalizmowi „boliwariańskiemu", ograniczenia marksizmu-leninizmu pozostawiając towarzyszom – czasem przemieniającym się we wrogów – z mniejszej Ejército de Liberación Nacional (Armia Wyzwolenia Narodowego), której strefa wpływów obejmuje górzyste północno-zachodnie rubieże kraju. Chcąc zrozumieć, jak i dlaczego FARC przykładają tak wielką wagę do kontroli nad kolumbijską prowincją, musimy przyjrzeć się klasycznym dziełom poświęconym rewolucji. Najważniejszym z nich jest wydana w 1961 roku *Kuba: wojna partyzancka* Ernesta „Che" Guevary. Zdobycie i utrzymanie niedostępnego terytorium to według Guevary klucz do sukcesu. „Partyzantka ma w tych okolicach więcej możliwości ustabilizowania się (…) – pisze. – Broń ciężka jest w zasadzie nieprzydatna. Lotnictwo na tych terenach nic nie może zaobserwować, czołgi i artyleria są mało skuteczne ze względu na trudności w posuwaniu się naprzód". Budowanie pozycji obronnych pozwala również na tworzenie infrastruktury rewolucyjnej: „Istnieje tam możliwość zainstalowania małych warsztatów przemysłowych, odpowiednio chronionych przed lotnictwem i artylerią dalekiego zasięgu, jak również szpitali, ośrodków szkoleniowych i rozrywkowych, składów, drukarń itp."[24].

Techniczne szczegóły to jedynie wierzchnia warstwa ambicji Guevary, głębsze motywy jego działania były *stricte* polityczne. Zakorzenienie zbrojnych grup w terenie sprawia, że rewolucja wyrasta z „ludu" i wrasta w niego. Budowanie „fundamentów w ludzie" – jak to ujął Mao Zedong, kolejny przywódca partyzantki owładniętej obsesją własnego terytorium – to zarówno cel, jak i środek. „Partyzantka wywodzi się z mas i jest przez nie wspierana. Bez tej solidarności i współpracy nie mogłaby ani istnieć, ani się rozwijać" – uważał Mao. Brzmi to jak nieprawdopodobne

zarozumialstwo – zwłaszcza jeśli weźmiemy pod uwagę bezwzględny charakter działań Sił, które utrzymują się między innymi z wymuszania okupów i przemytu narkotyków. Zarazem jednak według partyzantów stanowi niezawodną podstawę ich zaangażowania w walkę o oderwanie zbuntowanych regionów od terenów kontrolowanych przez imperialistyczny rząd.

Tyle teoria. FARC radzą sobie dość nieudolnie w zabieganiu o „poparcie" Kolumbijczyków. Przeprowadzone w 2001 roku przez Instytut Gallupa badanie wykazało, że poczynania Sił postrzega pozytywnie mniej niż trzy procent obywateli Kolumbii. Wiele osób obwinia partyzantów za rozpętanie wojny, w której zginęło mniej więcej ćwierć miliona ludzi, a kilka milionów musiało opuścić swoje domy; wojny bezcelowej i niemającej końca. FARC udało się wprawdzie przejąć i utrzymać kontrolę nad zbuntowanym terytorium, ale potem Siły straciły rozpęd, jakby nie wiedziały, co dalej począć. Che i Mao parliby do przodu, potraktowaliby góry i dżunglę jak trampolinę do skoku po władzę. Tylko że FARC są nie tyle zakorzenione w kolumbijskiej wsi, ile w niej zagrzebane.

Tym, co krępuje im ruchy, jest sentyment, ale po części też naga prawda, że jeszcze tylko tam, na prowincji, ich idee mają jakikolwiek posłuch. Alfredo Rangel, były doradca prezydenta Kolumbii do spraw bezpieczeństwa publicznego, obecnie senator, w artykule dla kolumbijskiego magazynu politycznego wyjaśnia, że „na arenie krajowej partyzanci są niewidoczni, a ich hasła pozbawione wiarygodności", za to „ich lokalne, wzmocnione przemocą wpływy, jak również sprawność, z jaką wykorzystują – wysokie na terenach wiejskich – bezrobocie wśród młodych ludzi, pozwoliły im na zachowanie ograniczonych stref poparcia w wielu regionach".

Na skutek takiego stanu rzeczy następują zrywy, powtarzane wiecznie ofensywy bez przekonania, i pospieszne odwroty – w ostatnich latach dużo więcej jest tych drugich. Im dłużej to trwa, tym silniej zaangażowanie FARC w zdobywanie i utrzymywanie terenu kształtuje sposób myślenia drugiej strony zaangażowanej w konflikt. Armia kolumbijska również dąży do przejęcia kontroli nad terytorium, a następnie utrzymania go i obronienia, tak samo jak związek prawicowych, antykomunistycznych organizacji paramilitarnych o nazwie Autodefensas Unidas de Colombia (Zjednoczone Siły Samoobrony Kolumbii), które w połowie lat

dziewięćdziesiątych ogłosiły, że ich celem jest „rekonkwista” obszarów „skolonizowanych” przez partyzantkę, ponieważ „grupom prowadzącym działalność wywrotową udało się stworzyć tam równoległy rząd”.

W 1988 roku wydawało się, że wreszcie uda się przełamać impas. Rząd, chcąc częściowo zaspokoić apetyt partyzantów, oddał im władzę nad rozległym terytorium. Liczono, iż wręczenie takiego „podarunku” wielkości Szwajcarii zostanie odczytane jako pojednawczy gest i doprowadzi po rozpoczęcia konkretnych rozmów pokojowych. Chociaż tamto rozprężenie przetrwało tylko kilka lat – FARC nie zdołały pozbyć się opinii organizacji, dla której wojna jest jedyną *raison d’être*[25] – to jednak od niedawna znów pojawiają się głosy, że może warto dać pokojowi kolejną szansę. Hiszpania i Francja zaproponowały utworzenie międzynarodowej strefy zdemilitaryzowanej, wolnej tak od partyzantów, jak i od wojsk rządowych. Byłoby to terytorialne rozwiązanie terytorialnego sporu.

Niezależnie od tego, jak zakończą się te starania, działalność FARC i podobnych organizacji udowodniła ponad wszelką wątpliwość, jak wielką wagę partyzanci przykładają do posiadania terytorium. Prowadzą walkę o to, co ich definiuje. Przywiązanie do miejsca odróżnia ich od terrorystów i czyni z nich prawdziwych rewolucjonistów. Współczesny terroryzm ma zupełnie inne oblicze, kwitnie w świecie pozbawionym korzeni. Problem Sił polega na tym, że ich geograficzne ambicje przytłoczyły wszystkie inne dążenia; FARC tak mocno przylgnęły do miejsca, że nie może ono złapać oddechu.

Hobyo

5° 20’ 59” N; 48° 31’ 36” E

Hobyo pamięta lepsze czasy. Dzięki ruchliwym szlakom żeglugowym na Oceanie Indyjskim to położone na zachodnim wybrzeżu Rogu Afryki, jak potocznie nazywa się Półwysep Somalijski, miasto przez kilka stuleci pomyślnie się rozwijało. Przed wiekiem było stolicą niedużego sułtanatu i tętniącym życiem ośrodkiem handlu, przyciągało zwłaszcza kupców obracających perłami i metalami szlachetnymi. Dziś jest omijanym szerokim łukiem miastem piratów. Nocą Hobyo niemal dosłownie znika, ponieważ w mieście, w którym na jednym porwanym statku piraci potrafią

zarobić dziewięć i więcej milionów dolarów, nikt nie pomyślał, żeby zainwestować w generator prądu. Na nocnych zdjęciach satelitarnych tego regionu w miejscu Hobyo widać czarną plamę. Przez Hobyo przepływają ogromne pieniądze, ale samo miasto boryka się z koszmarną biedą – zbójnicza działalność jego mieszkańców pozbawiła je zarówno perspektyw rozwoju gospodarczego, jak i tożsamości.

Przez wiele lat baza piracka w Hobyo, jedna z wielu na somalijskim wybrzeżu, uchodziła za najpewniejszą. Kiedy na południu kraju islamiści zmusili piratów do odwrotu, a na północy przetrzebiła ich straż przybrzeżna, wówczas wszyscy ściągnęli do Hobyo, nierzadko przywożąc ze sobą łupy. Uczyniło to Hobyo „miastem bezprawia" (*feral city*, dosłownie „zdziczałe miasto") – tym terminem określa się w kręgach wojskowych miejsca, w których nikt nie sprawuje faktycznej władzy i w których rządzi przestępczy rynek. Miasta bezprawia to miejsca o wyjątkowym statusie w najgorszym wydaniu; nie są produktami rządów i ideologii, lecz pokazują, co się dzieje, gdy te struktury zawodzą. „Miasta bezprawia – pisze Richard Norton w artykule dla »Naval War College Review« – straciły zdolność egzekwowania prawa", a mimo to funkcjonują „w prężnym międzynarodowym systemie". Norton wypływa na szerokie wody i dodaje, że cechy miast bezprawia dostrzega również w Meksyku, São Paulo i Johannesburgu i że być może wkrótce te metropolie dołączą do grona „zdziczałych" miejsc.

O ile wymienione przez Nortona miasta dopiero stoją na progu zdziczenia, o tyle Hobyo jest dzikie już niemal w całości. Od wybuchu wojny domowej w 1991 roku Somalia praktycznie nie ma centralnego rządu, a Hobyo, mimo iż formalnie leży w somalijskiej prowincji Galmudug (która co prawda w 2006 roku ogłosiła secesję) i ma nawet własnego burmistrza, od ponad dziesięciu lat znajduje się w rękach piratów. Z racji położenia: nad morzem i na odludziu, stanowi doskonałą bazę wypadową dla piratów. Półtora kilometra od brzegu, na falach unosi się piracki skarbiec. „Ten jest większy niż całe Hobyo" – chwali się młody pirat w rozmowie z francuskim dziennikarzem Jeanem-Markiem Mojonem, pokazując uprowadzony koreański supertankowiec, który wkrótce przyniesie porywaczom kilka milionów dolarów zysku. Zbójecki proceder dał też początek innemu zajęciu: niewielkie łódki rybackie kursują tam i z powrotem i przewożą zapasy z porwanych okrętów z Hobyo. Na

zdjęciach satelitarnych miasteczka rysują się liczne otoczone wysokim płotem posesje pirackie i podwórza pełne pojazdów. Najlepiej widocznym elementem krajobrazu Hobyo jest maszt telekomunikacyjny, który umożliwia piratom łączność z zacumowanymi niedaleko porwanymi jednostkami.

W ostatnich latach suma okupów, które wypłacono somalijskim piratom, wahała się od stu pięćdziesięciu do dwustu milionów dolarów rocznie. Liczby te robią jeszcze większe wrażenie, jeśli zestawimy je z somalijskim PKB, wynoszącym zaledwie trzysta dolarów *per capita*[26]. Nie sposób nie zadać sobie pytania o to, dokąd wędrują pieniądze z okupów, bo na pewno nie zostają w Hobyo. Odpowiedź jest prosta: za granicę, czasem daleko w głąb kontynentu. Hobyo to zabudowane niskimi chatami, rozpadające się i przegrywające walkę z pustynią miasteczko. Z rozmów Mojona z mieszkańcami wyłania się ponury obraz miejsca pozbawionego nadziei i celu. Pewien starszy mężczyzna wylicza: „Nie mamy szkół, nie uprawiamy ziemi, nie łowimy ryb – katastrofa". Nie przychodzi mu do głowy, że jeśli już, to Hobyo powinno zbierać owoce pirackich akcji; za to starca martwi pustynia: „Najbardziej daje nam się we znaki piasek. Miasto znika, pustynia grzebie nas żywcem, a my nie możemy nic z tym zrobić".

Jako usprawiedliwienie dla swoich działań szefowie somalijskich piratów podają standardowy argument: „Obce statki wpływają na nasze wody i kradną nam ryby, więc musimy jakoś reagować". Ale przecież nikt nie traktuje poważnie zapewnień, że zamiast piratować, zbójcy z Hobyo woleliby łowić ryby. Choć rzeczywiście na początku lat dziewięćdziesiątych nielegalne połowy, których notorycznie dopuszczały się obce jednostki na somalijskich wodach, skłoniły miejscowych rybaków do chwycenia za broń i obrony swojego akwenu – tak utworzył się zaczątek pirackiej floty – to jednak z materiałów zebranych przez norweskiego eksperta Stiga Jarlego Hansena wynika, że w rejonie Hobyo spokojnie można wyżyć z rybołówstwa. Przestawienie się z łowienia ryb na porywanie statków lepiej zrozumieć, jeśli spojrzy się na to zjawisko jak na ekonomiczny i społeczny wybór. W dotkniętym biedą kraju perspektywa szybkiego i znacznego wzbogacenia się dzięki piractwu po prostu zbyt kusi.

Historia najsłynniejszego somalijskiego pirata, Muhammada Abdiego Hassana, znanego jako Afweyne („Wielkie Usta") i prowadzącego swoje interesy w Hobyo, to opowieść o rzutkim i zapalonym przedsiębiorcy.

Afweyne jest byłym urzędnikiem, który rzucił posadę i zajął się piractwem tylko dlatego, że dawało lepsze możliwości zarobku. Nie widział innych sposobów na zarobienie dużych pieniędzy, a państwo nie chciało albo nie potrafiło ukrócić jego działalności. Z czasem zaczął pozyskiwać sponsorów. Jedna z osób, do których zwrócił się Afweyne, zapytana o szczegóły przez Hansena, odpowiedziała: „Zaczął swoją działalność w 2003 roku. Zaproponował mi, żebym zainwestował dwa tysiące dolarów, mówił, że zbiera pieniądze na rozkręcenie interesu. Nie zdecydowałem się i dziś tego żałuję". Afweyne wybrał się do Puntlandu, autonomicznego regionu w północno-wschodniej Somalii, gdzie znajdowały się najbardziej znane miasta pirackie, i rozpoczął rekrutację „pracowników", wybierając mężczyzn o najlepszej opinii w swoim fachu. Wkrótce stał się siłą napędową całej branży i obrotnym biznesmenem, który amatorskie przedsięwzięcie na małą skalę rozkręcił w doskonale wyposażoną, dysponującą niemałymi aktywami i zarządzaną przez zawodowców piracką firmę. Afweyne odegrał również istotną rolę w powstaniu giełdy, mieszczącej się w oddalonym o kilkadziesiąt kilometrów mieście Harardhere; na giełdzie inwestorzy mogą kupować udziały w pirackich firmach i w planowanych atakach na cele o szczególnie wysokiej wartości.

Piraci przejęli Hobyo i odcisnęli na nim swoje piętno, przekształcili portowe miasteczko o bogatej i złożonej spuściźnie w karykaturę bezprawia i chciwości. Hobyo pokazuje, jaki los może czekać miasto, nad którym rząd utracił kontrolę. Warto to podkreślić, ponieważ – jak czytamy w raporcie profesora Petera Leesona, światowej klasy eksperta od wpływu piractwa na gospodarkę – z wielu wskaźników rozwoju wynika, iż będąca krajem anarchii Somalia radzi sobie lepiej niż jej kiepsko rządzeni sąsiedzi. Leeson wypowiada się z entuzjazmem na temat „znacznej poprawy wolności osobistych i swobód obywatelskich Somalijczyków od momentu pojawienia się anarchii".

To prawda, że w przeszłości pirackie miasta słynęły z zamożności i względnej, choć surowej, swobody. Jedną z przyczyn, dla których Port Royal, kwitnący w XVII wieku piracki port na Jamajce, cieszył się protekcją gubernatora wyspy, było to, że generował większe dochody niż tamtejsze plantacje. Pobłażliwość skończyła się dopiero wtedy, kiedy piraci z Port Royal wzięli na cel statki miejscowych kupców.

Port Royal był prowincjonalną przystanią w porównaniu z Kantonem w południowych Chinach. Piracka flota, która stacjonowała tam na początku XIX wieku, składała się z około czterystu dżonek, na których pływało sześćdziesiąt tysięcy ludzi. To była siła zdolna dyktować warunki. W przeszłości musiał istnieć pewien niewyraźnie określony punkt przełomowy, po którego przekroczeniu bezprawna działalność w danym miejscu stawała się dominująca i od jej powodzenia zależał, w różnym stopniu, los każdego mieszkańca. Dziś pieniądze rzadko zostają tam, gdzie je zarobiono. Optymistyczny scenariusz profesora Leesona o anarchistycznej wolności Somalii nie sprawdza się w Hobyo. Miasto jest biedne, rozpada się i pozostaje na łasce walczących między sobą bandytów. Ukrócenie piractwa na pewno uderzyłoby po kieszeni niektórych miejscowych, ale trzeba pamiętać, że Hobyo to tylko pośrednik; przez miasto płynie wymuszana od zagranicznych armatorów gotówka i trafia do somalijskich finansistów, którzy – jak donoszą tamtejsze media – mieszkają w „pięknych domach w Nairobi i Dubaju”, znanych jako „pirackie rezydencje”.

Status „miasta bezprawia” powoduje, że można się w takim miejscu nieźle obłowić, ale też pozbawia je charakteru; poza tym mieszkanie tam to ciągła niepewność. W 2006 roku Hobyo zajęli islamiści i stracili je pół roku później na rzecz etiopskiego wojska popierającego miejscowy rząd. Islamiści wrócili w 2009 roku i zaczęli utrudniać życie piratom, na co ci zareagowali oskarżeniami, że islamiści po prostu zapragnęli większego udziału w łupach. Od 2011 roku piraci z Hobyo zaczęli napadać na coraz lepiej chronione statki handlowe, a świat odpowiedział atakami na zbójeckie bazy, wskutek czego znacząco spadła liczba porywanych jednostek. Burmistrz nękanego kłopotami Hobyo, Ali Duale Kaije, ma nadzieję na odzyskanie władzy nad miastem. W 2012 roku w rozmowie z dziennikarzem powiedział: „Spadek piractwa to dobrodziejstwo, którego bardzo potrzeba naszemu regionowi. Piraci napędzali inflację i odpowiadali za brak bezpieczeństwa i przyzwoitości w naszym mieście. Życie i kultura zyskają na ich nieobecności”. Rząd prowincji wdraża wielkie projekty mające na celu między innymi wybudowanie portu w Hobyo i ponowne włączenie miasta do legalnego obrotu towarami.

Wydaje się, że czasy rozpasanego piractwa powoli mijają. W styczniu 2013 roku Afweyne ogłosił wycofanie się z branży[27]. Miasta pirackie

w Somalii zapamiętamy raczej jako przerażające wyjątki niż zwiastuny nowego „nieporządku” świata. Zdziczałe miejsca to miejsca słabe, wykorzystywane, popadające w ruinę, będące areną częstych walk. Piraci z Hobyo mogli zostać przywołani do porządku już wiele lat temu, gdyby rządy innych krajów uznały, że warto przejąć się losem miasta. Rozwój piractwa w Hobyo można oczywiście wytłumaczyć determinacją jego mieszkańców i niebotycznymi zyskami z nielegalnego procederu, ale prawda wygląda tak, że źródłem bezprawia i tym, co je podtrzymuje, jest obojętność świata.

6. Enklawy i nowe państwa

Baarle-Nassau i Baarle-Hertog

51° 26’ 20” N; 4° 55’ 56” E

Mój związek z granicami bywa burzliwy. Odstraszają mnie, denerwują i wytrącają z równowagi. Zatrzymywano mnie, przesłuchiwano i przeszukiwano tylko dlatego, że ośmieliłem się przejść kilka kroków. Granice to wyniosłe i nieprzyjazne biurokratyczne linie uskoku, toteż nie dziwi, że wiele osób najchętniej widziałoby świat bez nich. Geografowie stale krytykują je jako wrogie symbole wykluczenia i zamknięcia dostępu. Tylko dokąd byśmy uciekali w świecie pozbawionym granic? Dokąd warto byłoby pojechać?

Ogłoszenie niezawisłości wiąże się z wytyczeniem nowych granic, a także stawia pytania o ich znaczenie i konsekwencje, zarówno dla rodzących się państw etnicznych (patrz *Zjednoczone Królestwo Lunda Czokwe*, *Gagauzja*), jak i osobliwych prób uzyskania autonomii (patrz *Sealand*). O wadach i zaletach granic możemy się przekonać, śledząc również losy enklaw: i tych cierpiących z powodu długości linii granicznej (patrz *Chitmahale*), i tych, które zdają się nią delektować (jak w tym podrozdziale). Granice stanowią coś więcej niż zamknięcie dostępu, ich obfitość odzwierciedla mnogość politycznych i kulturowych wyborów, jakich dokonują ludzie. Paradoks granic polega na tym, że z jednej strony ograniczają swobodę przemieszczania się, a z drugiej – obiecują świat pełen możliwości.

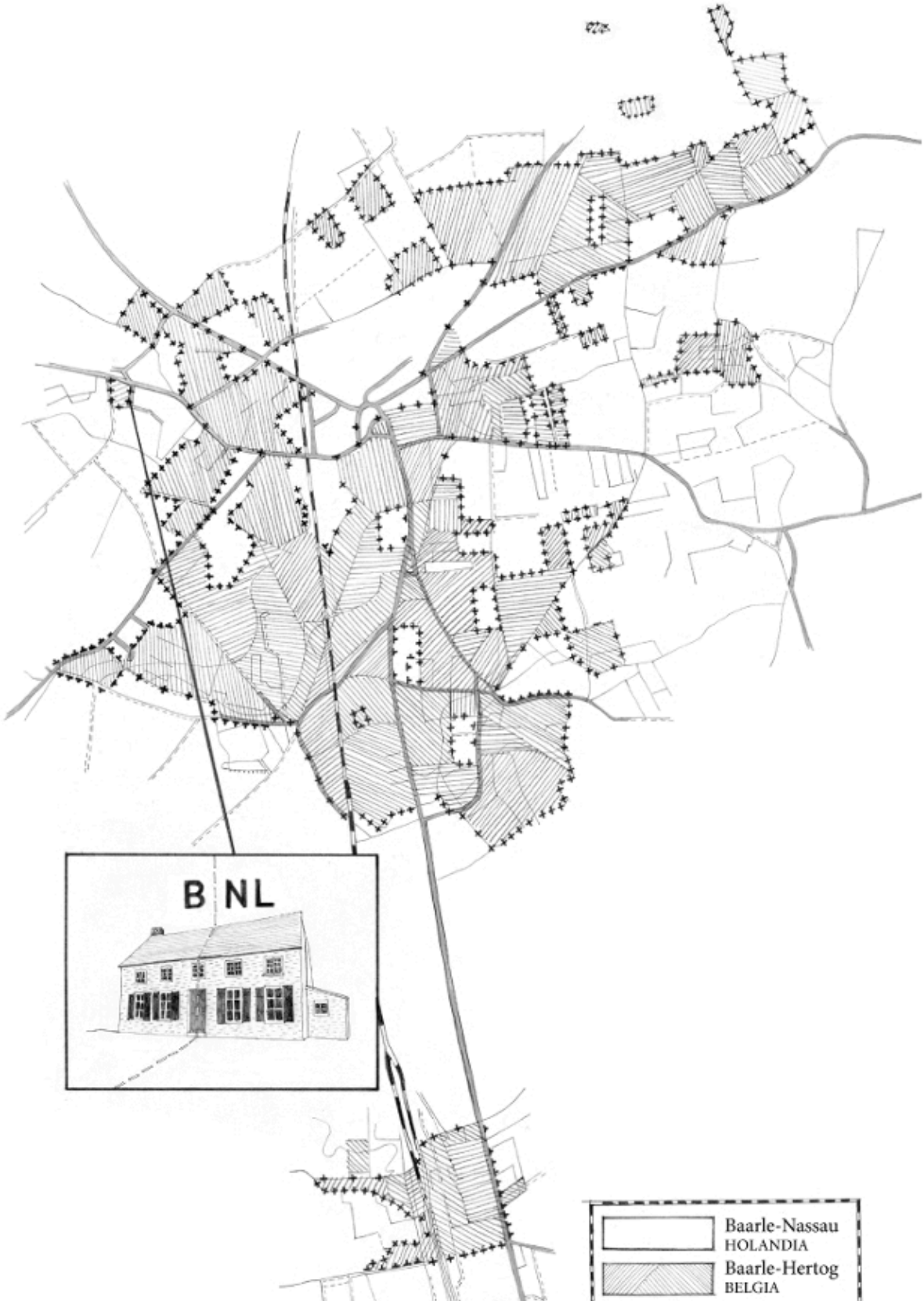
B NL
Baarle-Nassau
HOLANDIA
Baarle-Hertog
BELGIA

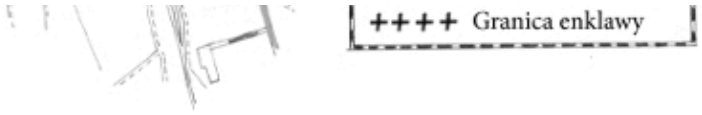

Granice, choć niepozbawione wad, są ekscytujące: intryguje to, jak skomplikowanym wzorem się kładą, jak intensywnie nasycają ziemię ideami i historią. Być może właśnie to miał na myśli Frank Jacobs – który w prowadzonej przez siebie rubryce *Borderlines* (Granice) w „New York Timesie” dzieli się z czytelnikami kartograficznymi kuriozami – kiedy mówił o poczuciu straty wynikającym ze znikania granic. Nazwał to zjawisko syndromem „fantomowej tęsknoty za granicami” i zdefiniował jako „lekkie poczucie żalu, wynikające z przeświadczenia, że wraz z każdą likwidowaną granicą świat traci odrobinę swej wyjątkowości”. To niebezpieczna myśl w czasach, gdy zewsząd naciska się na znoszenie wszelkich dzielących nas ograniczeń. A jednak ekscentryczna nostalgia Jacobsa wydaje się osobliwie ludzkim odruchem, uznaje bowiem coś, do czego rzadko się przyznajemy: to mianowicie, że ludzie lubią wyznaczać granice, te zaś emocjonują ich i inspirują, a zarazem frustrują.

Baarle-Nassau i Baarle-Hertog to dwa miasteczka leżące jedno w drugim. W holenderskim miasteczku Baarle-Nassau (6612 mieszkańców) znajdują się dwadzieścia dwie, rozrzucone zupełnie przypadkowo, enklawy belgijskiego miasteczka Baarle-Hertog (2310 mieszkańców), te zaś zawierają osiem enklaw Baarle-Nassau. Jedne mają regularny, prostokątny kształt, a inne przypominają patykowate stworzenia o zakrzywionych mackach. Największa z belgijskich enklaw w Baarle-Nassau ma powierzchnię nieco ponad półtora kilometra kwadratowego, a najmniejsza – nieużytkowana łąka – dwa tysiące sześćset trzydzieści dwa metry kwadratowe. Spośród dwustu sześćdziesięciu istniejących na świecie enklaw mniej więcej dwanaście procent znajduje się w Baarle lub jego okolicach.

Obfitość granic sprawia, że turysta spacerujący po Baarle nigdy nie jest pewien, w którym kraju się znajduje. Oba miasteczka zajmują tę samą przestrzeń – to oczywiste. Takie odniosłem wrażenie, kiedy pewnego mokrego wrześniowego dnia pojechałem do Baarle i dałem się prowadzić fraktalnej mapie miejscowości (w liczbie mnogiej). Niektóre enklawy

zaznaczono białymi krzyżami namalowanymi na chodniku, ale granic jest tam zbyt wiele, by próbować oznaczyć je w jakiś praktyczny sposób. Na stusześćdziesięciometrowym odcinku Kapelstraat opuszcza się dużą belgijską enklawę, przecina terytorium Holandii, przechodzi przez prostokątny kawałek Belgii, znów trafia do Holandii i po chwili ponownie stawia stopę na belgijskiej ziemi; w ciągu minuty udało mi się pokonać pięć granic.

Baarle to przyjemne, zwyczajne miejsce, którego mieszkańcy w bezpretensjonalny sposób okazują dumę z tego, że ich miasteczko stanowi jedyną na świecie znaczącą pozostałość po średniowiecznych sporach granicznych. Praktycznie wszędzie poza Baarle dokonano racjonalnego podziału terytorium: problemy rozwiązano, anomalie zlikwidowano i zapomniano o nich. Aby zrozumieć przyczyny zamieszania w Baarle, należy cofnąć się do czasów, w których w całej Europie enklawy pojawiały się jak grzyby po deszczu, wyrastały bowiem ze złożoności i płynności dóbr arystokratów i przeróżnych roszczeń terytorialnych. W jednym z osiemnastowiecznych opisów Lotaryngii jego wyraźnie poirytowany autor zaznaczył, iż jest to kraina „niejednorodna, stojąca sporami i pełna obcych włości i enklaw, cieszących się pełną suwerennością i należących do książąt i państw niemieckich”. Mapa przednowoczesnego świata była pokryta gęstą siecią granic. Ze słów osiemnastowiecznego kronikarza wynika, że już w jego czasach istnienie enklaw postrzegano jako spory kłopot. Francja próbowała rozwiązać problem, podpisując traktaty o przebiegu granic i prowadząc stary dobry podbój. Racjonalizm epoki oświecenia dążył do rozjaśnienia mroków enklaw i zostawił nam schedę w postaci poglądu, iż są one osobliwościami, w nieodgadniony sposób równocześnie podtrzymującymi logikę państwa jednonarodowościowego i jej przeczącymi.

Baarle miało szczęście, że się uchowało. Dogłębnie przeanalizowawszy wszystkie małżeństwa i rozwody, konkordat oraz wszelkie roszczenia dotyczące enklaw w obu częściach miasta, wybitny ekspert profesor Brendan Whyte po prostu wzruszył ramionami. „Integracja Baarle z napoleońską Francją – mówi Whyte – mogła poskutkować racjonalizacją tamtejszych enklaw, wzorem większości enklaw istniejących w pobliżu północnych i wschodnich granic Francji”, ale „z jakiegoś powodu” tak się nie stało.

Baarle jest wyjątkiem, ani na tyle istotnym, ani tak bardzo denerwującym, by trafić na listę pilnych spraw do załatwienia. Miasteczko przetrwało historyczne zawieruchy i dziś jest czymś na kształt żyjącego laboratorium średniowiecznych mikrogranic. W 1959 roku belgijski handlarz bydłem Sooi van den Eynde zakwestionował prawo holenderskiego Baarle-Nassau do – jak twierdził – historycznie belgijskiej ziemi. Sprawa trafiła do Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości w Hadze, gdzie zapadł wyrok na korzyść handlarza, wskutek czego w Baarle-Nassau powstała nowa, mniej więcej dwunastohektarowa, enklawa. W 1995 roku specjalnie powołana komisja po piętnastu latach pracy ustaliła i poprawiła przebieg granicy w Baarle. Ale wcale nie tak łatwo opanować logikę rozdrobnienia. Tym bowiem, co ożywia miasteczko, jest pragnienie wymyślania nowych sposobów komplikowania i tak już złożonej sytuacji, na przykład nieustannego definiowania fizycznej granicy, co czasem sprowadza się do absurdu: ile centymetrów ma linia graniczna? Którędy dokładnie przebiega? W Baarle o przynależności państwowej budynku decyduje usytuowanie drzwi wejściowych. Dobrze, ale co jeśli granica dzieli te drzwi na pół? W takiej sytuacji dom niestety również formalnie dzieli się na dwie części: belgijską i holenderską. Zdarza się to jednak rzadko, ponieważ w myśl obowiązujących w miasteczku lokalnych przepisów właściciel budynku płaci podatki w tym kraju, w którym znajdują się drzwi wejściowe do jego domu, co spowodowało – jak nietrudno się domyślić – że wielu mających budynki na granicy mieszkańców Baarle po prostu przesunęło otwór drzwiowy na terytorium mniej zachłannego państwa.

Obecnie w Baarle dużo rzadziej przesuwa się drzwi niż jeszcze przed kilkoma laty, ale nie znaczy to, że pamięć o tym zjawisku zaginęła. Podtrzymuje się ją choćby poprzez różnego rodzaju znaczniki granic, na przykład tabliczki z numerami domów, na których umieszcza się flagę narodową, co jest niewątpliwie bardzo praktycznym zwyczajem. Obie rady miejskie Baarle zdają sobie sprawę z turystycznego potencjału miasteczka i jego licznych enklaw, dlatego wspólnie zabiegają o wpisanie Baarle na Listę Światowego Dziedzictwa Kulturalnego i Przyrodniczego UNESCO. Inicjatywie warto przyklasnąć, choć prawdę mówiąc, nie mam pewności, czy Baarle przyciągnie wielu turystów, ponieważ poza dziwacznym przebiegiem granic w gruncie rzeczy niewiele jest tam do oglądania. „Jest

pan turystą?” – zdziwiła się sklepikarka, kiedy powiedziałem jej, co mnie sprowadza do miasteczka. Mieszkańcy Baarle bez wątpienia czerpią niemałą przyjemność ze swoich enklaw; wcale nie potrzebują turystów, żeby wiedzieć, iż mieszkają w kartograficznej legendzie.

Baarle stanowi wzór do naśladowania dla innych miejsc granicznych, w których nadal toczą się spory, bo pokazuje, że można wykorzystać granicę do zbudowania pozytywnego poczucia tożsamości, nie zamieniając życia innych ludzi w piekło. Przed kilkoma laty w wywiadzie udzielonym BBC Jan Hendrikx, ówczesny burmistrz Baarle-Nassau, z dumą opowiadał o swoim mieście: „Nasi mieszkańcy integrują się z mieszkańcami naszego belgijskiego sąsiada w niezwykły sposób”, zaś jego odpowiednik w Baarle-Hertog, Jan van Leuven, dodawał: „Umysł mam, jak sądzę, trochę holenderski, ale sercem jestem Flamandem. Ogólnie rzecz biorąc, Holendrzy są bardziej racjonalni. Rozmyślają. Spoglądają na północ. My, Flamandowie, też rozmyślamy, ale jesteśmy bardziej emocjonalni. Mówimy tym samym językiem, ale nasze słowa mają różną wagę”.

Łatwo zlekceważyć tego rodzaju uogólnienia, zwłaszcza że dzięki członkostwu w Unii Europejskiej granice między oboma krajami ulegają w Baarle zatarciu. Kiedy Frank Jacobs miał czelność napisać felieton pochwałę granic, dostał ostrą burę od czytelników „New York Timesa”. W listach przypominano mu, że granice są „wymysłem małostkowych ludzi, wykorzystujących strach i niewiedzę innych”, a także „próbą ograniczania ceniącego swobodę gatunku ludzkiego”. Pewien samozwańczy „zawodowy geograf” napisał, że według „zawodowych geografów” istnienie granic to nic innego, jak „staroświecki kolonializm”.

Na szczęście wcale tak nie jest. Oczywiście, w niektórych częściach świata enklawy to poważny problem. Bywa też, że stanowią ciekawy przejaw średniowieczyzny, na przykład spora ich liczba – około dwudziestu, a mogło być więcej – pojawiła się w latach dziewięćdziesiątych po rozpadzie Związku Radzieckiego. Prawdopodobieństwo powstania świata bez granic jest niewielkie. Kiedy o nim myślimy – o utopii podobieństwa, w której nie ma dokąd uciec – zastanawiamy się, czy taka wizja w ogóle wydaje się atrakcyjna. Przykład Baarle pokazuje, że tworzenie miejsc i granic przeplata się ze sobą. Wskazuje również na zalety granic, tu akurat wynikające z niewielkiej skali anomalii. Taka kameralna kartografia nie jest jedynie uroczym

anachronizmem, lecz dowodzi tego, że w topofobicznym świecie istnieje odkryta na nowo i zhumanizowana fascynacja granicami.

Chitmahale

26° 16’ N; 89° 06’ E

Chitmahale to „papierowe pałace” indyjsko-bangladeskiego pogranicza. Ich nazwa wzięła się z połączenia słów *chit* – po angielsku to na przykład „rachunek” albo „pokwitowanie” – i *mahal*, co w języku hindi znaczy „pałac”. Przy granicy Indii i Bangladeszu znajduje się bez mała dwieście bezładnie rozrzuconych enklaw różnej wielkości: od zajmującej prawie dwadzieścia sześć kilometrów kwadratowych Balapara Chagrabari, po miniaturową Upan Chowki Bhadźni, enklawę drugiego stopnia (enklawę w enklawie), jedną z najmniejszych na świecie, bo zajmującą jedynie pięćdziesiąt trzy metry kwadratowe.

Według miejscowych legend za powstanie chitmahali odpowiadają arystokraci: maharadża Koch Biharu, znajdującego się w dzisiejszym stanie Bengal Zachodni okręgu, w którym leży zdecydowana większość chitmahali, i nabab Rangpuru, bengalskiej prowincji. Na początku XVIII wieku namiętnie grywali oni w szachy o swoje włości. Inna wersja tej historii mówi o czasach nam bliższych, bo o połowie XX wieku: w 1947 roku pewien pijany, kreślący szczególnie skomplikowaną mapę indyjskich prowincji brytyjski kartograf, ponoć będąc niemal u kresu pracy, przewrócił kałamarz, a kiedy obudził się następnego dnia, zobaczył, że kleksy i plamki zaschły, tworząc na arkuszu ospowaty geopolityczny krajobraz. Nie istnieją żadne dowody na prawdziwość tej drugiej opowieści, za to pierwsza, o arystokratach, oddaje to, co najważniejsze: chitmahale rzeczywiście są pozostałościami po przednowoczesnych książęcych układach i przysługach sięgających XVIII wieku. Przez większą część swojej historii chitmahale nie były aż tak odizolowane od ojczyzny, jak stały się w drugiej połowie XX wieku. Powstanie Indii, potem Pakistanu, a w końcu Bangladeszu, sprawiło, że chitmahale z regionalnej anomalii przekształciły się w międzynarodowy problem.

W przeciwieństwie do Baarle-Nassau i Baarle-Hertog pięćdziesiąt jeden tysięcy trzystu mieszkańców tej geopolitycznej dżungli nie cieszy się z jej

wyjątkowości. Chitmahale pokazują, do czego dochodzi, kiedy granice, zamiast pielęgnować więź człowieka z miejscem, niszczą ją. Mieszkańcy wcale nie czują dumy z barokowych granic swojego regionu, z licznych enklaw drugiego stopnia (jest ich tam dwadzieścia osiem), a nawet z jedynej na świecie enklawy trzeciego stopnia: Dahala Chagrabari ma siedem tysięcy metrów kwadratowych powierzchni i jest terytorium indyjskim, znajdującym się w bengalskiej enklawie, która z kolei leży w indyjskiej enklawie w Bangladeszu. Nikogo nie interesuje wartość tego miejsca jako geograficznego kuriozum, ponieważ życie w chitmahalach jest ponure; turystyka i inwencja twórcza przegrywają w nich z poczuciem uwięzienia i porzucenia.

Większość enklaw pozostawiono samym sobie. Mieszkańcy musieli własnymi środkami budować szkoły, drogi, mosty. Każda enklawa opracowała odrębny system sprawiedliwości i dysponuje niezależnymi środkami przymusu, każda też po swojemu rozwiązuje spory dotyczące własności ziemi i praktycznie wszystkich innych aspektów życia. To anarchia, samodzielne społeczeństwo bez zwierzchniego rządu; dzieci rzadko chodzą do szkół, drogi i mosty znajdują się w opłakanym stanie, w sądach obowiązuje prawo silniejszego, a kłótnie pomiędzy mieszkańcami przeradzają się w krwawe wendety. Ludność z tych wiejskich terenów z zazdrością patrzy na sąsiadów żyjących w obwiedzionych granicami państwach porządku. Trzydziestoośmiolatek zasiadający w samorządzie zawiadującym jedną z enklaw wyjaśnia: „Kiedy w Bangladeszu albo w którymś z sąsiednich państw będzie powódź, oni dostaną pomoc humanitarną. Jeśli nas zaleje woda – zginiemy. Kiedy rzeka wylewa, ludzie stają się jej więźniami”.

Problemem chitmahali jest oczywiście zbyt duża liczba granic, co uniemożliwia aparatowi państwowemu sprawne funkcjonowanie na tamtych terenach. Okazuje się, że izolacja grupy ludzi, zwłaszcza biednych i bezbronnych, nie pobudza, a tłumi ich dążenia do samodzielności. Dowód znajdziemy na upstrzonym enklawami pograniczu indyjsko-bengalskim. Świadomość ciężkiego losu tych biedaków ostatecznie pozbawiła mnie resztek złudzeń co do anarchizmu – czy też bliżej niesprecyzowanej antypaństwowości – które ostały się we mnie aż do wieku średniego. Chitmahale zniszczyły moją wygodną, acz nadwątloną ponurym, beznadziejnym przypadkiem Hobyo, wiarę w autonomiczność

społeczności. Kiedy dziś czytam słowa napisane przez dziewiętnastowiecznego anarchistę Michaiła Bakunina, nie mogę się nie skrzywić. „Jeśli jest państwo, musi być też dominacja jednej klasy nad drugą, a w rezultacie – niewolnictwo” – twierdził Bakunin w 1873 roku. A jeżeli nie ma państwa? Wtedy skutki są zwykle jeszcze bardziej opłakane.

Rządy Indii i Bangladeszu traktują mieszkańców chitmahali źle, utrudniają im życie, czasem robiąc to w sposób wręcz okrutny. Najważniejszym problemem stały się wymagania stawiane przez państwową biurokrację. Ten, kto chce wyjechać z maleńkiej enklawy, musi uzyskać wizę umożliwiającą przejazd przez obce terytorium, ale po to, by ją dostać, jest zmuszony opuścić enklawę, ponieważ o wizę można się ubiegać jedynie w dużych miastach, nierzadko oddalonych o wiele kilometrów. W 2010 roku głośny stał się przypadek młodej kobiety o nazwisku Dźaimona Biwi, mieszkanki wsi Maszaldan, bengalskiej enklawy w Indiach, która zaczęła rodzić i pojechała do szpitala położonego najbliżej jej chitmahalu, ale ponieważ nie była obywatelką Indii, lekarze odmówili jej pomocy. „Umierałam z bólu – opowiadała indyjskiemu dziennikarzowi. – Przez dwa dni leżałam na podłodze w szpitalu. Obficie krwawiłam i urodziłam martwe dziecko”. Kiedy ponownie zaszła w ciążę, wykorzystała wymyślony przez miejscowych sposób: wynajęła męża Hindusa. „Wziął dwa tysiące rupii od mojej rodziny i w szpitalu podał swoje nazwisko, przedstawiając się jako mój mąż” – wspomina z goryczą. Słowa Biwi wskazują na piętno towarzyszące ludziom należącym do specyficznej kasty „politycznie niedotykalnych”. „W naszych stronach żaden mieszkaniec hinduskiej wioski nie weźmie ślubu z osobą pochodzącą z chitmahalu. Chyba że rodzina jest bardzo biedna – wtedy wyda córkę za mąż za kogoś z enklawy, ale pod warunkiem że przyszły mąż zapłaci odpowiednio dużo” – wyjaśnia jeden z nielicznych Hindusów, którzy przenieśli się do Maszaldanu.

Niedawno Indie i Bangladesz wyraziły chęć wymiany enklawami – pozwala to żywić nadzieję, że problem chitmahali zostanie w końcu rozwiązany. Na mocy podpisanego w 2011 roku porozumienia większość enklaw zostanie wchłonięta przez otaczające je kraje. Kiedy to się stanie, liczba enklaw na świecie spadnie aż o siedemdziesiąt procent. Mieszkańcy tych terenów nie będą tęsknili za ich szczególnym statusem, zresztą wielu

i tak najchętniej zmieniłoby obywatelstwo; w chitmahalach mieszkają głównie rodziny, które z jakiegoś powodu wyjechały z rodzinnego kraju. W wywiadzie przeprowadzonym przez Reece'a Jonesa, specjalistę z zakresu geografii politycznej, pewien mieszkający w Kadźal Dighi, indyjskiej enklawie w Bangladeszu, siedemdziesięcioletni muzułmanin wspomina, że razem z rodziną przyjechał do enklawy w 1969 roku, ponieważ „w tamtym czasie muzułmanie byli w Indiach okrutnie prześladowani. Napadano na nas, okradano nas, bito, a nawet zabijano. Grożono nam. Wyjechaliśmy, bo chcieliśmy zachować honor, szacunek i życie. Wszyscy wyjechali". I dodaje: „W tamtym czasie wszyscy mieszkańcy enklaw byli Hindusami. Kiedy my przyjechaliśmy, oni wyjechali". Ten mężczyzna bardzo by się ucieszył, gdyby jego enklawa została wchłonięta przez Bangladesz.

Innych taka perspektywa raczej martwi. Indyjski Związek Uchodźców z Enklaw lobbuje na rzecz prawa enklaw do „powrotu" do Indii. Jego działacze uważają, że starający się o powrót do macierzy „uchodźcy" z indyjskich enklaw w Bangladeszu są we własnym kraju traktowani jak cudzoziemcy. Ojczyzna ich odtrąca i odmawia im prawa do osiedlenia się. Jeden z rzeczników związku, Deb Singha, narzeka, że „mieszkańcy bengalskich enklaw będą mieli wpisane w paszporcie narodowość »indyjska«, a my, którzy przecież naprawdę jesteśmy narodowości indyjskiej – nie".

Likwidacja chitmahali będzie skomplikowana i nieprzyjemna. Zaangażowane w nią kraje, zamiast wyciągać pomocną dłoń, spoglądają obojętnym wzrokiem na los mieszkańców enklaw albo wręcz utrudniają im życie. Nie są oni, rzecz jasna, jedynymi ludźmi w trudnym położeniu, ale ich przypadek ma naprawdę wyjątkowy charakter: miejsce, w którym żyją, państwo opuściło i jednocześnie uparcie je nęka; papierowe pałace pozostają oazami wolności od państwa, a zarazem więzieniami w jego granicach. Paradoks polega na tym, że z jednej strony istnienie rządu to dla naszej wolności sprawa zasadnicza, a z drugiej – ten sam rząd dyryguje nami i wymaga od nas podporządkowania. Wszyscy żyjemy z tym dylematem, dla jednych jest on mniej, dla drugich bardziej istotny; to, że ludzie potrzebują państwa i zarazem nim pogardzają, stanowi jeden z aspektów współczesności. Niektórzy próbują wyplątać się z tego niewygodnego związku z rządem, zakładając własny. Odłączenie się od

istniejącego państwa wiąże się jednak z koniecznością zmierzenia się z zupełnie nowymi wyzwaniami.

Sealand

51° 53’ 40” N; 1° 28’ 57” E

„Dlaczego nie ja?” – oto współczesna mantra, zarazem dziecinna i głęboka. Jej najskrajniejszą formą jest przezabawne, ale nieuniknione pytanie: „A może założyłbym własne państwo?”. Sam ustalałbym prawa. Czy nie byłoby fajnie? Czy to nie byłaby prawdziwa wolność? A gdyby to państwo mieściło się, dajmy na to, na wyspie? Kiedy masz wyspę, granice twojego kraju są określone jasno i ponad wszelką wątpliwość. Nieważne, jak duże jest terytorium tego kraju – na wyspie niezależność wydaje się wręcz namacalna. Przy odrobinie szczęścia nikt nie upomni się o miejsce, w którym chcesz założyć królestwo, będzie na ciebie czekało, wystarczy, że postawisz na nim stopę, rozwiniesz flagę i ogłosisz suwerenność. Tak, jak zrobił to Sealand.

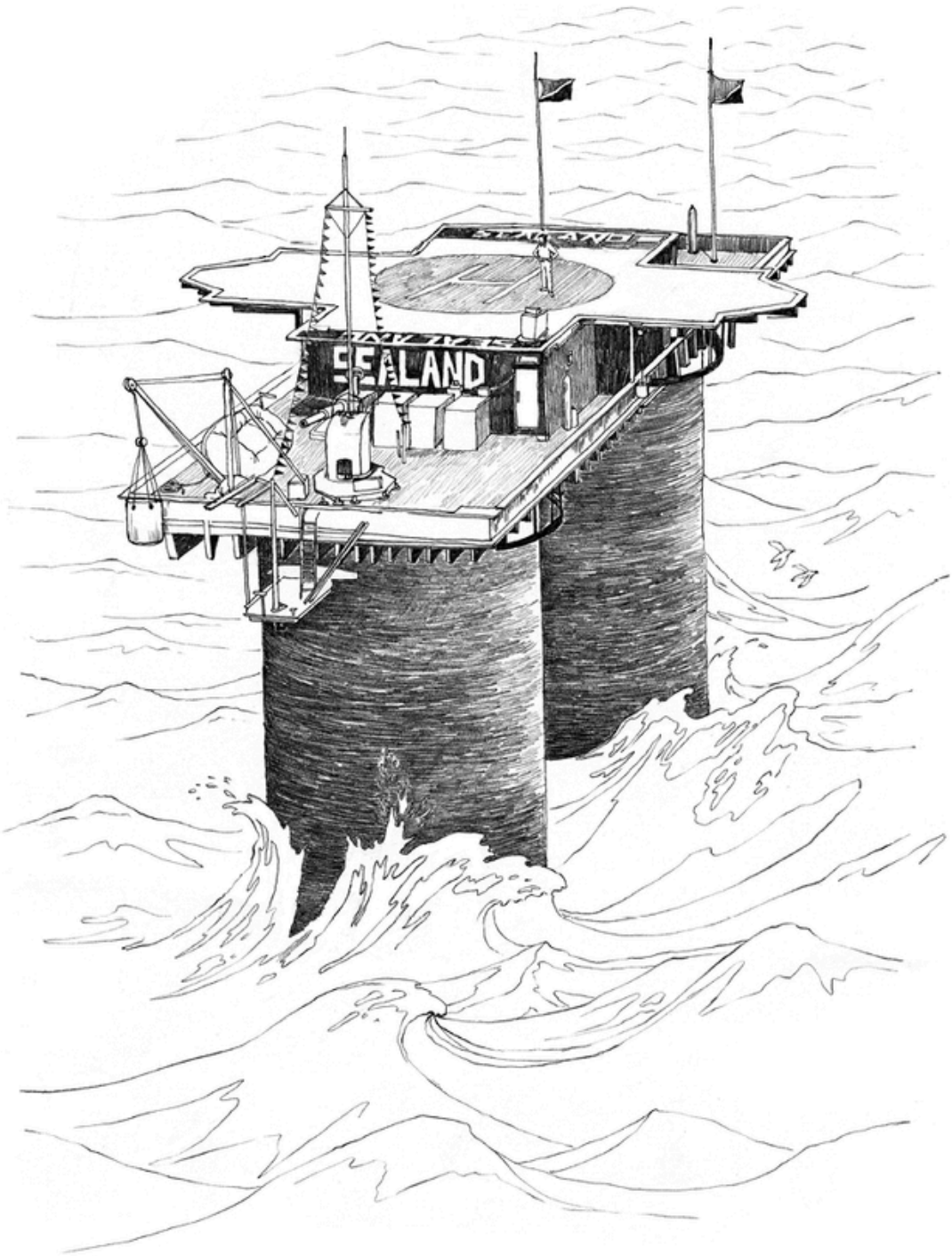

Księstwo Sealandu to „niepodległe państwo”, założone w 1967 roku przez emerytowanego majora Paddy’ego Roya Batesa na opuszczonej

platformie przeciwlotniczej z czasów drugiej wojny światowej. Platforma stoi na Rough Sands, niedaleko wybrzeża hrabstwa Essex, a jej nadająca się do zamieszkania powierzchnia wynosi pięćset pięćdziesiąt metrów kwadratowych. Konstrukcję umieszczono na międzynarodowych wodach w czasie drugiej wojny światowej i opuszczono po jej zakończeniu, toteż kiedy 2 września 1967 roku Bates z rodziną wspiął się na stary, porzucony morski fort, poczuł się uprawniony do zajęcia go i ogłoszenia niepodległości. Bates przyznał sobie tytuł księcia, żonę mianował księżną i tak ta „książęca rodzina” przystąpiła do przekształcania Sealandu w dom i w państwo.

W licznej grupie mikropaństw (*micronations*), krajów deklarujących niepodległość, ale nieuznawanych przez społeczność międzynarodową, Sealand stanowi świetny przykład podgrupy nazywanej państwami platformowymi (*platform states*). Te typowo morskie kraje są z reguły bardzo nietrwałe. Brat Ernesta Hemingwaya, Leicester, był przez chwilę prezydentem zbudowanego z bambusa państwa platformowego Nowa Atlantyda, zakotwiczonego u zachodnich wybrzeży Jamajki (za kotwicę robiła oś z wagonu kolejowego połączona z blokiem silnika z forda). Kiedy konstrukcja uległa zniszczeniu podczas huraganu w 1964 roku, Hemingway stworzył kolejne „lenno”: Tierra del Mar, tratwę o powierzchni ośmiuset czterdziestu metrów kwadratowych, posadowioną na mierzei niedaleko Bahamów. Tym razem jednak nie ogłosił niepodległości, do czego przekonał go Departament Stanu USA, obawiano się bowiem, że Tierra del Mar może posłużyć jako przyczółek dla obcych sił chcących zająć okoliczne wyspy.

W porównaniu z tymi efemerydami Sealand jawi się jako państwo o długiej i bogatej historii. W 1968 roku Królewska Marynarka Wojenna wysłała dwie kanonierki w celu usunięcia rodziny Batesów z platformy. Roy Bates oddał strzały ostrzegawcze w kierunku zbliżających się łodzi, ale nie udało mu się zapobiec aresztowaniu. Podczas rozprawy przed sądem w Chelmsford przekonał sędziów, że w Sealandzie brytyjskie prawo nie ma zastosowania. W wyroku ogłoszonym 25 listopada 1968 roku sąd stwierdził, iż Sealand leży poza terytorium Wielkiej Brytanii, toteż znajduje się poza jej jurysdykcją. Na fali sukcesu Sealandczycy wypuścili serię złotych i srebrnych monet – dolarów sealandzkich – oraz znaczków pocztowych. Pieniądze ze sprzedaży tych przeznaczonych dla

kolekcjonerów kuriozów wpływały do kasy nowego księstwa. Pojawiły się też paszporty, ale nie wiadomo, czy trafiły do sprzedaży. Do kolejnego dramatycznego wydarzenia w historii Sealandu doszło w 1978 roku, kiedy platformę odwiedziła grupa holenderskich i niemieckich biznesmenów z „ofertą handlową". Przedsiębiorcy opanowali Sealand i wzięli księcia Michaela, syna Roya Batesa i następcę sealandzkiego tronu, jako zakładnika. Przetrzymywali go przez trzy dni, chłopaka uwolnił dopiero ojciec, który w końcu odbił platformę z rąk „gości". W „Sealand News", internetowej gazetce wyspy, Bates wyjaśnił: „Zadzwoniliśmy po znajomego, który miał śmigłowiec".

> [Znajomy] jest kaskaderem, pracował przy filmach z Jamesem Bondem, ale po raz pierwszy robił coś takiego naprawdę. Zeskoczyłem z helikoptera na platformę, oddałem strzał ostrzegawczy i krzyknąłem: „Wszyscy ręce do góry!". I tyle.

Latały kule, ale nikt nie został ranny, a najeźdźców szybko – w prawdziwie bondowskim stylu – pokonano i wzięto jako „jeńców wojennych". Kiedy rząd niemiecki poprosił Brytyjczyków o interwencję, w odpowiedzi usłyszał, że platforma znajduje się poza jurysdykcją Wielkiej Brytanii. Najpierw na wolność wyszli obywatele holenderscy, niemieckich więźniów wypuszczono dopiero po tym, jak do Sealandu pofatygował się dyplomata tego kraju. Jednego z Niemców zatrzymano dłużej, ponieważ wcześniej podobno przyjął on sealandzki paszport, toteż jego udział w akcji potraktowano jako zdradę stanu.

To był okres świetności Sealandu. Sęk w tym, że niemal wszystkie zabawy, choćby nie wiem jak poważne i wciągające, kiedyś się nudzą i w końcu nie ma komu się bawić. Sealand odniósł militarne zwycięstwo, w latach osiemdziesiątych platforma często stała pusta i powoli popadała w ruinę. W 1987 roku, kiedy rząd Wielkiej Brytanii poszerzył pas morza terytorialnego z trzech do dwunastu mil morskich, zakwestionował tym samym niepodległość Sealandu; Sealand w odwecie wysunął własne żądanie ustanowienia dwunastomilowego pasa i ogłosił aneksję leżących na angielskim wybrzeżu miast Harwich i Felixstowe.

Wielka Brytania nie podjęła kolejnej próby przejęcia terytorium Sealandu, a jej rząd nadal traktuje Księstwo Sealandu jako *de facto* suwerenne państwo. Będąc mieszkańcem platformy, książę Roy nie płacił podatków; inne oczywiste naruszenia brytyjskiego prawa również

uchodziły mu bezkarnie. Na przykład, kiedy Roy Bates oddał „strzały ostrzegawcze” w kierunku statku, który w 1990 roku jego zdaniem zanadto zbliżył się do księstwa, złożoną przez załogę jednostki skargę odłożono *ad acta*. W oficjalnej historii swojego państwa klan Batesów pisze, iż był to „wyraźny sygnał, że brytyjskie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych nadal uważa Sealand za organizm państwowy pozostający poza jego kontrolą”.

W latach dziewięćdziesiątych nad obrotnym dworem Sealandu zebrały się czarne chmury. W 1997 roku, po tym jak zabójca ikony mody Gianniego Versacego popełnił samobójstwo na łodzi mieszkalnej zacumowanej w Miami, w rzeczach tego mężczyzny amerykańska policja znalazła paszport Sealandu. Wiosną 2000 roku hiszpańscy stróże prawa aresztowali członków madryckiego gangu powiązanego z organizacjami zajmującymi się przemytem narkotyków i praniem brudnych pieniędzy. W siedzibie szajki znaleziono kilka tysięcy sealandzkich paszportów. Podczas przesłuchania w Interpolu Bates stanowczo podkreślił, że paszporty jego kraju nie są na sprzedaż. „Sealand to zabawa i przygoda. Bardzo szkoda, że sprawy przybrały taki, a nie inny obrót” – powiedział Bates w rozmowie z dziennikarzem. W toku śledztwa ujawniono, że falsyfikaty pochodziły od tego samego Niemca, który prawie dwadzieścia lat wcześniej próbował przejąć Sealand siłą. Podając się za sealandzkiego ministra finansów, prowadził nieistniejącą Sealand Business Foundation i szczycił się tym, że sprzedał ponad sto pięćdziesiąt tysięcy fałszywych paszportów księstwa. Na oficjalnej stronie Sealandu czytamy, że „wiele podrobionych paszportów, kosztujących tysiąc dolarów sztuka, trafiło do osób wyjeżdżających z Hongkongu po zwróceniu go Chinom”.

Wynajęcie Sealandu firmie HavenCo w 1999 roku dodatkowo nadwątliło zszargany wizerunek platformy. Inwestorzy z Doliny Krzemowej wyłożyli setki tysięcy funtów, żeby przekształcić Sealand w będący poza wszelką państwową kontrolą „raj internetowy”. Pornografia dziecięca, spam i hacking były zabronione, ale na przechowywane na tamtejszych serwerach dane naruszające prawa autorskie i własności intelektualne nie nakładano już żadnych obostrzeń. Sealand miał się stać światowym centrum wymiany plików i innej nielegalnej działalności. Rodzina Batesów wykorzystała zastrzyk pieniędzy do wzmocnienia bezpieczeństwa swojego księstwa. Zamontowano nowe maszyny do odsalania i generatory prądu, ustanowiono szybkie łącze satelitarne, zainstalowano pracującą w paśmie

mikrofalowym radiolinię, położono wiele kilometrów kabli. Za pieniądze z inwestycji książę Michael powołał sealandzką armię i marynarkę wojenną, wyposażoną w karabiny maszynowe i szybkie pontony. Pomimo tych zabiegów lista klientów HavenCo wkrótce zaczęła się kurczyć. Inwestorów odstraszało najpewniej to, że cała łączność internetowa z Sealandu przechodziła przez Wielką Brytanię, która nadal twierdziła, że platforma znajduje się na jej wodach przybrzeżnych. W 2008 roku firma HavenCo splajtowała, a do mediów trafiła informacja o wystawieniu Sealandu na sprzedaż przez księcia Michaela Batesa. Platformę wyceniono na siedemset pięćdziesiąt milionów euro. Wydaje się, że był to jedynie zabieg marketingowy mający wzbudzić zainteresowanie nowych inwestorów. Pod koniec pierwszej dekady nowego wieku książę Michael, któremu nie udało się zdobyć funduszy, opuścił Sealand i przeprowadził się do Leigh-on-Sea. W tym samym mieście swego końca doczekał jego ojciec; zmarł 9 października 2012 roku w wieku dziewięćdziesięciu jeden lat.

W rozmowie z „Sealand News” Joan Bates snuła romantyczną wizję życia w Sealandzie:

> Było jak w bajce. Czy można sobie wyobrazić wspanialszy komplement dla kobiety niż uczynienie jej księżną we własnym księstwie? Uwielbiam to. Kiedy podróżujemy i legitymujemy się paszportami Sealandu, nasz przyjazd wszędzie wywołuje duże poruszenie i jesteśmy traktowani po królewsku.

Nietrudno zrozumieć taką fantazję. Tym z nas, całkiem licznym, którzy są znudzeni i sfrustrowani rozbudowanym prawodawstwem i bezduszną biurokracją tradycyjnego państwa, pomysł utworzenia własnego wyspiarskiego księstwa wydaje się zapewne niezwykle kuszący. Ostatnio w najbardziej wymownych historiach dotyczących Sealandu przewija się wątek tego, że to platformowe państwo zostało symbolem nowego pokolenia ekolibertariańskich planistów. Założony w Kalifornii w 2008 roku Seasteading Institute postrzega Sealand jako pionierskie przedsięwzięcie. Swój cel organizacja wykłada w prostych słowach: jest nim „budowa nienaruszających równowagi ekologicznej platform morskich, na których będą mogli zamieszkać ludzie niezadowoleni z życia na stałym lądzie”. Stworzone ręką człowieka morskie królestwa zyskują na atrakcyjności; wdzięku na pewno nie można odmówić nowo wybudowanym wyspom na Malediwach i w Dubaju, a także

wycieczkowcom najnowszych generacji, stopniowo przeistaczającym się w nieustannie przemierzające morza i oceany pływające miasta. Urok Sealandu tkwi jednak w czymś, po czym wszystkie te śmiałe przedsięwzięcia ledwie się prześlizgują: to miejsce będące synonimem niezależności i suwerenności. Być może rzeczywiście jest tylko naiwną fantazją, ale za to jak ważną – i jak bardzo ludzką.

Zjednoczone Królestwo Lunda Czokwe

12° 39’ S; 20° 27’ E

Tworzenie się nowych narodów jest procesem niekończącym się i niepowstrzymanym. Towarzyszą mu liczne polemiki na temat postępującego rozdrobnienia i pogłębiającego się kryzysu państwowości. Zagadnienie jest trudne i delikatne między innymi z powodu etniczności, która nadal ma kluczowe znaczenie dla procesu państwotwórczego. Powszechna skłonność do traktowania etnicznych roszczeń jak reliktów przeszłości skazuje wiele rodzących się państw na geopolityczny niebyt. Tam właśnie tkwi Zjednoczone Królestwo Lunda Czokwe, ignorowane przez świat zewnętrzny, a mimo to nieustające w staraniach o uznanie.

Lunda Czokwe zajmuje wschodnią część Angoli i bodaj jedynym powodem, dla którego o królestwie słyszał ktokolwiek poza Angolczykami, są tamtejsze, należące do największych na świecie, kopalnie diamentów. Lunda Czokwe, kraj niewiele mniejszy od Hiszpanii, ale liczący zaledwie cztery i pół miliona obywateli, stoi w jednym szeregu z kilkudziesięcioma nieuznawanymi państwami Afryki, a razem z dwudziestoma z nich tworzy Federation of Free States of Africa (Federacja Wolnych Państw Afrykańskich). Lunda Czokwe należy do ścisłej elity tej grupy, jest jednym z jedenastu krajów, które zawarły Economic and Defence Alliance (Sojusz Gospodarczo-Obronny), zawiązany w celu dochodzenia swoich roszczeń do dużych obszarów południowo-zachodniej Afryki. Secesja Sudanu Południowego podniosła morale członków federacji; potrzebują siebie nawzajem, nikt inny nie jest nimi zainteresowany. Brak zainteresowania stanowi dowód na podejrzliwość wobec secesjonizmu etnicznego: skoro ludom Lunda Czokwe należy się własne państwo, to równie dobrze należy się każdej innej afrykańskiej grupie etnicznej. Przy czymś takim rozpad

Związku Radzieckiego wyglądałby niewinnie, na kontynencie afrykańskim wyrosłyby tysiące państewek.

Kraje, do których terytoriów nowe organizmy zgłaszają pretensje, traktują je bardzo poważnie. Angola zdelegalizowała działalność separatystów Lunda Czokwe i wielu aktywistów zmusiła do emigracji. Między kwietniem 2009 roku a październikiem 2010 roku władze aresztowały i oskarżyły o „destabilizację państwa" prawie czterdziestu członków grupy znanej pod nieporęczną nazwą Komisji Prawno-Socjologicznego Manifestu Protektoratu Lunda Czokwe, a także dwieście siedemdziesiąt osób podejrzewanych o współpracę z nią. Jeden z jej członków, Don Muatxihina Chamumbala, zmarł po wtrąceniu do więzienia i został „pierwszym męczennikiem, który zginął w obronie naturalnych praw Lunda Czokwe". Komisja oskarża angolski reżim o gwałcenie praw człowieka oraz zaniedbywanie wschodnich prowincji kraju. Na stronie internetowej ruchu czytamy: „Ludność Lunda Czokwe doskonale zdaje sobie sprawę, że rząd pozostawił te bogate w diamenty tereny własnemu losowi".

Historia Lunda Czokwe dowodzi istnienia współczesnego paradoksu: niepohamowanej siły etnicznego nacjonalizmu w świecie, w którym coraz więcej ludzi uważa, że odrębność narodowa nie powinna mieć nic wspólnego z odrębnością etniczną. Fundamentem państwa jednonarodowościowego jest więź języka i kultury, ale jego nowoczesna forma ma mieć charakter postetniczny albo przynajmniej umieć dostosować się do etnicznej różnorodności. Bycie Brytyjczykiem albo Amerykaninem to posiadanie właściwego paszportu, a nie dziedzictwa. Roszczenia nieuznawanych państw grożą odwróceniem kosmopolitycznej dynamiki. Retoryka Federacji Wolnych Państw Afrykańskich nie pozostawia wątpliwości co do stanowiska członków ruchu: Angola, Nigeria, Senegal i Kenia, nazywane przez nich „pseudokrajami", nie zdały egzaminu. Na oficjalnej stronie organizacji jej sekretarz generalny Mangowo Ngoyo wyjaśnia, że państwa te „zawsze będą miały problemy, bo nie są krajami takimi jak na przykład Anglia", lecz „zlepkiem krain mających każda własną kulturę, tożsamość narodową, język, architekturę, historię". Niefortunny przykład Anglii, wskazanej przez Ngoyo, dowodzi niezręczności stawianej przez niego tezy. Anglia nie jest odrębnym krajem już od ponad trzystu lat, przestała nim być w 1707 roku, jednocząc się ze

Szkocją i stopniowo przekształcając w nowoczesne, wieloetniczne Zjednoczone Królestwo, łączące mnóstwo różnych kultur i tradycji pod wspólnym sztandarem. Nie oznacza to jednak, że etniczny nacjonalizm, w Anglii albo gdziekolwiek indziej, znikł; raczej trwa w napiętej relacji z innymi formami współżycia. Żądania nieuznawanych państw uwydatniają ten trudny, burzliwy związek. Federacja chyba wzięła za bardzo do siebie słowa brytyjskiego premiera Davida Camerona o tym, że „model państwa wielokulturowego zawiódł". Ngoyo dodaje: „To oczywiste, że multikulturalizm nie ma szans powodzenia. Naród jest narodem jedynie wtedy, gdy wszyscy jego członkowie mówią zgodnym chórem – jeśli dzieje się inaczej, brakuje harmonii".

Ngoyo zadaje również pytanie: „Czy można oczekiwać harmonii w krajach, których granice wyznaczyły imperia kolonialne?" – i zdaniem nacjonalistów z Lunda Czokwe właśnie to stanowi sedno sprawy. Nie tylko postrzegają oni „wielokulturową" Angolę jako porażkę, lecz także wręcz mają jej zwierzchnictwo za przejaw kolonialnej władzy, tę zaś uznają za przedłużenie europejskiego kolonializmu. Widzą, jak rząd ogałaca ich ziemię z bogactw naturalnych i wyprowadza płynące z tego zyski. Kiedyś pieniądze wędrowały do Portugalczyków, niegdysiejszych kolonialnych panów tego regionu, a dziś trafiają do szybko rozwijających się miast na angolskim wybrzeżu. Angolski rząd chętnie wykorzystuje te same antyseparatystyczne kontrargumenty, którymi dawniej posługiwali się Portugalczycy: że sprzeciw tubylców to przejaw trybalizmu i że ludy Angoli należy chronić przed wybuchem wojny frakcyjnej. To stara śpiewka, choć wykonywana na nową nutę: nazywając Angolę wielokulturowym, a zatem nowoczesnym i liberalnym państwem, przyklejają nacjonalistom łatkę ksenofobów. Aktywistów, regularnie wsadzanych za kratki z powodu przynależności etnicznej, takie oskarżenia wyjątkowo mierżą.

Stosunek Lunda Czokwe do multikulturalizmu jest bardziej złożony, niżby sugerowała retoryka uprawiana przez federację. Obecność słów „Zjednoczone Królestwo" w nazwie wskazuje na dawną odrębność ludów Lunda i Czokwe oraz historię łączących je związków. W 1680 roku Królestwo Lunda obejmowało obszar o powierzchni przekraczającej sto pięćdziesiąt tysięcy kilometrów kwadratowych, a w drugiej połowie XIX wieku dwa razy więcej. Proces ekspansji terytorialnej królestwa zamienił je w federację niespokojnych, płacących daninę na rzecz władcy plemion.

Jedno z nich, Czokwe, zbuntowało się przeciwko Lunda i pod koniec XIX stulecia praktycznie rozniosło stare królestwo. Współczesny ruch nacjonalistyczny przykłada wielką wagę do uznania ówczesnego Lunda Czokwe przez Portugalię i podpisania przez ten kraj szeregu traktatów z miejscowymi wodzami. Nie jest to wszakże przesadnie silny prawny rodowód państwa. Portugalczykom udało się bez większego kłopotu rozciągnąć swoje imperium dalej na wschód tylko dzięki postępującemu rozpadowi Królestwa Lunda. Dla Portugalczyków wschodni interior[28], kraj daleki i niezbadany, zawsze pozostawał poza sferą zainteresowania i kontroli; kolonizatorzy woleli skupić się na zdobytym w 1575 roku nadmorskim przyczółku. Według niektórych źródeł pierwszy kontakt pomiędzy Portugalczykami a Czokwe nastąpił dopiero w latach trzydziestych XX wieku. Mniej więcej wtedy Portugalii udało się ostatecznie dołączyć wschodnie prowincje do kraju, który czterdzieści lat później, w 1975 roku, wywalczył sobie niepodległość.

Nawet na podstawie takiego pobieżnego omówienia widać, że w przeciwieństwie do Angoli, Lunda Czokwe może się pochwalić bogatą i złożoną historią niezależności. Zauważyć również można, że związek Lunda Czokwe z Angolą jest krótki i powierzchowny, a także to, że „Lunda Czokwe” to bynajmniej nie homogeniczny organizm państwowy, lecz kraj o kulturowej różnorodności. Ludy Lunda Czokwe współdzielą ze sobą poczucie przywiązania do miejsca. Tożsamość ta jest stosunkowo nowa, ale wcale nie mniej przez to ważna, ponieważ przywiązanie ludzi do miejsca w świecie zakorzenia i podtrzymuje ich wspólną wizję przeszłości i przyszłości.

Obecnie szanse na to, że historia Lunda Czokwe wzbudzi zainteresowanie opinii światowej są nikłe. Występowanie otwarcie przeciwko reżimowi wiąże się w tym kraju ze zbyt dużym niebezpieczeństwem, poza tym Lunda Czokwe nie dysponuje ani regularną, ani nawet powstańczą armią. Angola nie pozwoli na rozpad państwa. Akcjom przeciwko zwolennikom oderwania Lunda Czokwe przyklaskują kraje ościenne, bo również dla nich ruchy secesjonistyczne stanowią zagrożenie. Zjednoczone Królestwo Lunda Czokwe nieprędko zagości w naszych atlasach. Mimo to nowe państwa nadal będą proklamowane, zwłaszcza w tych częściach świata, gdzie walec historii zmiażdżył dążenia etniczne i roszczenia terytorialne. W tym kontekście potrzebę głoszenia

i obrony niepodległości własnego narodu nieustannie wymyśla się bądź odkrywa na nowo. Walka o przetrwanie nowego organizmu państwowego jest trudna, owszem, ale zmagania o utrzymanie w całości złożonych tworów kolonialnych, takich jak Angola, też nie należą do łatwych zadań.

Gagauzja

46°17’N i 28°39E

Historia Gagauzji to opowieść o bezlitosnej sile nacjonalizmu, dzielącej narody na grupy i coraz mniejsze podgrupy. Gagauzja leży w południowej części Mołdawii, niewielkiego, zamieszkanego przez ponad trzy i pół miliona ludzi, wciśniętego pomiędzy Ukrainę a Rumunię i pozbawionego dostępu do morza kraju. Mołdawia, która w 1991 roku ogłosiła niepodległość i odłączyła się od Związku Radzieckiego, jest pozbawionym spójności zlepkiem narodowości.

Gagauzja, niedoszłe państwo, zajmuje cztery nierównej wielkości enklawy na terytorium Mołdawii o łącznej powierzchni nieco ponad tysiąca ośmiuset kilometrów kwadratowych i zamieszkuje je około stu sześćdziesięciu jeden tysięcy osób. Nigdy nie stanie się olbrzymem pośród narodów, ale przecież dążenie do wolności nie jest w żaden sposób proporcjonalne do liczby mieszkańców i wielkości terytorium. Chęć narodów do samostanowienia wywołuje siła odśrodkowa, twórcza i nieprzewidywalna dynamika, dająca początek nowym pragnieniom niezależności i równocześnie spełniająca żądania innych. Organizmów takich jak Gagauzja nie powinniśmy traktować protekcjonalnie ani patrzeć na nie jak na osobliwości wynikające z panującego w regionie chaosu, ponieważ ich fragmentaryczna logika działa również w innych miejscach.

Uzyskanie niepodległości przez kraj nie jest jednorazowym wydarzeniem, nie jest książką, którą po otwarciu można po prostu zamknąć. Pocieszająca może być myśl, że jeśli na przykład Szkocja uzyska niepodległość, wówczas nastąpi szczęśliwy koniec długiej opowieści. Ale nacjonalizm się rozlewa, zyskuje popularność, przeobraża opierającą się na świadomości miejsca odrębność w zalążek państwowotwórczego mitu. Skoro Szkocja zyskała suwerenność, to czemu również Szetlandy nie mogą zaznać niezależności? Skoro niepodległością cieszy się Mołdawia, to

dlaczego nie Gagauzja? Budowanie państwa to proces, który nie tylko zaspokaja potrzeby, lecz także je tworzy.

Jedną z nielicznych osób, które wnikliwie badają fenomen Gagauzji, jest turecka antropolożka Hülya Demirdirek. Nawet ona, znawczyni tematu, nie do końca może pojąć, skąd u Gagauzów wziął się pomysł zorganizowania się w państwo; dwadzieścia lat temu Gagauzja jako słowo i idea praktycznie nie istniała, pojawiła się dopiero po rozpadzie Związku Radzieckiego. Podczas konferencji na temat „antropologii postkomunistycznej" Demirdirek stwierdziła, że „trudno odpowiedzieć na pytanie, za kogo właściwie uważają się Gagauzi". Najprościej określić ich jako prawosławną, wywodzącą swój rodowód od Bułgarów grupę etniczną, która posługuje się językiem gagauskim, podobnym do współczesnego tureckiego. Stanowią nietypową chrześcijańsko-turecką mieszankę. Niektórzy z nich twierdzą, że to Gagauzi dali początek Bułgarii, są bowiem potomkami Protobułgarów, którzy podbili i zasiedlili te tereny w IX wieku. Istotniejsze znaczenie w skomplikowanej spuściźnie kulturowej Gagauzów ma jednak to, że stanowią oni jedną z najbardziej zrusyfikowanych grup w Mołdawii, i to do tego stopnia, że wielu Gagauzów woli posługiwać się językiem rosyjskim niż gagauskim, co jest układem o tyle dla nich niesprzyjającym, że mołdawski nacjonalizm zasadza się na niechęci do byłych sowieckich rządów. W procesie kształtowania się niezawisłości Mołdawii Gagauzów postrzegano jako obcy element, odrębny lud wierny Matuszce Rosiji.

W tej wrogiej atmosferze w 1988 roku powstał ruch społeczny o nazwie Gagauz Halkı (Lud Gagauski), który zaczął domagać się suwerenności. Mołdawski parlament wprowadził dodatkowy ferment, w 1990 roku nazywając Gagauzów mniejszością nie narodową, lecz jedynie etniczną. Dobór słów odebrano jako jawną zniewagę. Niektórzy członkowie Frontul Popular din Moldova (Front Ludowy Mołdawii) posunęli się nawet do stwierdzenia, że Gagauzi, tak jak Rosjanie, powinni „wrócić do siebie". Mniej więcej w tym czasie narodziła się idea Gagauzji.

Źródłem chęci przekształcenia miejsca w państwo niekoniecznie są tłumione od dłuższego czasu dążenia; pragnienie to może pojawić się nagle, zwłaszcza u słabych i bezbronnych społeczności, niegdyś wchłoniętych przez wielkie, wielonarodowościowe organizmy, takie jak Związek Radziecki, i dziś pielęgnujących w sobie poczucie zaniedbania

i dyskryminacji. Zniewaga dała początek wielu przydatnym mitom; mówiło się, że aspiracje od dawna marzących o wolności Gagauzów przez długi czas skutecznie tłumiono. Niektórzy utrzymywali nawet, że Gagauzi w Mołdawii wcale nie są „obcym elementem", zamieszkiwali bowiem te tereny dużo wcześniej. Było to tak dalekie od prawdy jak twierdzenia, że Gagauzja to starożytne państwo. Pomijając epizod z 1906 roku, kiedy to pięciodniową niepodległość uzyskała tak zwana Republika Komrat, terytorialnie ograniczona do Komratu, stolicy dzisiejszej Autonomii Gagauskiej, Gagauzi nigdy nie okazywali potrzeby posiadania własnego państwa.

Ten brak głębi historycznej rozbudził lokalne aspiracje polityczne. W 1990 roku na budynkach państwowych pojawiła się nieoficjalna flaga Gagauzów[29]: czerwony wilczy łeb w białym kole na niebieskim tle, i ogłoszono niepodległość. Zorganizowano wybory prezydenckie i zainstalowano rząd w Komracie. Przez kolejne cztery lata Gagauzja obstawała przy suwerenności, mimo iż nie uznał jej żaden rząd na świecie. W 1994 roku Mołdawia wyraziła gotowość uznania prawa do „samostanowienia ludu Gagauzji" i rozpisała referendum, którego skutkiem jest dzisiejszy miszmasz enklaw: trzydzieści miejscowości opowiedziało się za włączeniem do Terytorium Autonomicznego Gagauzji.

Te ustępstwa mają w sumie niewielką wartość, realnie Gagauzi zyskali bowiem tylko obietnicę, że jeśliby Republika Mołdawii „zmieniła status", dostaną wolną rękę. Jest to o tyle istotne, że gdyby nie mniejszości narodowe, Mołdawia prawdopodobnie zdecydowałaby się na połączenie z Rumunią, z którą łączą ją historia i język. W mołdawskiej polityce ruch zjednoczeniowy z Rumunią jest niezwykle prężny, jego sukces uczyniłby z Gagauzów, niewielkiej, ale głośnej mniejszości w zróżnicowanym kraju, etniczną płotkę w panrumuńskim morzu. Gagauzi – a także mieszkańcy leżącego we wschodniej części Mołdawii Naddniestrza, zacieklej niż Gagauzja walczącego o suwerenność – uzyskali zapewnienie, że jeśli Mołdawia połączy się z Rumunią, ich kraj stanie się niepodległy.

Ostatnie dwadzieścia lat udowodniło Gagauzom, że status „terytorium autonomicznego" nie na wiele się przydaje. Gagauzja to jedna z najbiedniejszych części Mołdawii, która z kolei zajmuje najniższe pozycje w rankingach zamożności państw europejskich. Chęć kompromisu słabnie, za to nabiera tempa dążenie do samodzielności, a stymuluje je choćby

rozwój niezależnych mediów (w Gagauzji jest to Gagauzia Radio Televizionu). W 2012 roku gagauski nacjonalista rzucił koktajlem Mołotowa w kawalkadę samochodów wiozących niemiecką kanclerz Angelę Merkel, przebywającą w Mołdawii z wizytą. W tym samym roku prezydent autonomii Michaił Formuzal zareagował wściekłością na sygnały wskazujące na to, że zjednoczenie Mołdawii i Rumunii nabiera impetu. Zagroził ogłoszeniem pełnej niepodległości i buńczucznie oznajmił, że tym razem jego kraj zdobędzie międzynarodowe uznanie.

Nacjonalistyczna logika fragmentacji sieje zamęt. Prawie nikomu nieznane kraje dzielą się na kolejne, jeszcze mniejsze i jeszcze mniej znaczące. Logika rozpadu tworzy geografię ignorancji, w której za rozkwitem nowej tożsamości i nowej państwowości nie nadąża nasza orientacja: nie potrafimy wskazać tych miejsc na mapie, nie umiemy wymówić ich nazw. Ludzie spoza regionu poddają się i takie twory jak Gagauzja wkładają do szuflady z ignorowanymi protopaństwami, w której panuje coraz większy ścisk. Za tą reakcją kryje się zrozumiała obawa: co by się stało, gdyby każdy naród zaczął ciągnąć w swoją stronę i polityczna mapa świata zamieniłaby się w kalejdoskop pączkujących organizmów państwowych? Wygodnie nam myśleć, że jesteśmy ponad to, że nacjonalistyczne ciągotki uważamy za nieuzasadnione i na swój sposób tragiczne, ale to wzniosłe lekceważenie wynika z zarozumiałości i opiera się na równie wielu mitach, co zmyślona przeszłość Gagauzji. I brakuje mu wielkoduszności. Wielu Gagauzów pragnie własnego państwa, ponieważ bez niego czują się pozbawieni miejsca i zepchnięci na dalszy plan. To, że kraj jest wymyślony, wcale nie czyni go mniej rzeczywistym.

7. Pływające wyspy

Wyspy pumeksu i śmieci

Urok pływających wysp bierze się po części z niemożności ich umiejscowienia; pozwalają one na ucieczkę od monotonnej stałości lądu i pozwalają na swobodniejszy związek w ziemią. Niektóre wymagają umocowania, na przykład na lodzie (patrz *Nipterk P-32*). Nowe generacje statków mieszkalnych skłaniają do refleksji na temat przyszłości pływających miejsc jako podróżujących domów (patrz *MS „The World”*). Pływające wyspy od dawna zaprzątają nasze myśli: Homer pisał o Eolii, wyspie pana czterech wiatrów, którą odwiedził Odyseusz; kiedy Guliwer zawędrował do Laputy, podniebnego zamku szalonych naukowców, a doktor Dolittle wylądował na unoszącym się na falach oceanu brzegu wyspy Sea-Star, przygody obu wpisały się w długą tradycję geograficznej fantazji, która doczekała się ciekawego rozwinięcia w epoce gier komputerowych, wymagających od gracza, by przeskakiwał z wysepki na wysepkę – to tylko kolejny dowód na to, jak bardzo nas, stworzenia naziemne, pociąga niestały ląd.

Nie dziwi zatem to, że wiadomość o odkryciu dryfujących wysp przyjęto z niewinną radością, tym większą, że mniej więcej w tym samym czasie objawiły się aż dwa niezwykle ciekawe, a skrajnie różne zjawiska. Jedno to potężne skupisko plastikowych odpadów, któremu nadano nazwę Wielkiej Pacyficznej Plamy Śmieci (mówi się też na nie: Pacyficzny Wir Śmieci), drugie – tratwa pumeksowa, naturalny produkt uboczny aktywności wulkanicznej. Żadne nie jest ani Eolią, ani wyspą Sea-Star z naszych marzeń, już sama nazwa „wir śmieci” brzmi ponuro, a mimo to oba budzą osobliwą fascynację. Rodzą się pytania: czy możemy chodzić po tych „wyspach”? Czy może istnieć na nich życie? Odpowiedź to dwa razy „tak” w przypadku tratwy pumeksowej i dwa razy „prawdopodobnie nie” w przypadku plamy odpadów.

W 2012 roku odkryto jedną z największych tratw pumeksowych w historii. Słowo „tratwa” nie oddaje jej wielkości; ta formacja, którą

zauważyli nowozelandzcy piloci tysiąc kilometrów na północ od Auckland, miała bowiem powierzchnię około dwudziestu sześciu tysięcy kilometrów kwadratowych – była „prawie tak duża jak Belgia”, jak pisała prasa w Nowej Zelandii. Kapitan Tim Oscar z australijskiej marynarki wojennej powiedział: „Jak pływam osiemnaście lat, tak czegoś równie dziwnego jeszcze nie widziałem”. W rzeczywistości tratwy pumeksowe – choć trzeba przyznać, że rzadko bywają aż tak imponujące jak ta – nie są wcale niczym niezwykłym: powstają wskutek wybuchów podwodnych wulkanów i można je spotkać na różnych wodach, nie tylko na Oceanie Spokojnym. Naukowcom udało się odtworzyć trasy transoceanicznych podróży tratw do dwustu lat wstecz.

Mimo to nawet doświadczeni obserwatorzy oceanów dają się zaskoczyć tratwom pumeksowym. W sierpniu 2006 roku, płynąc w kierunku Fidżi na pokładzie jachtu „Maiken”, Szwed Fredrik Fransson natknął się na jedną z nich. Tak opisał to spotkanie w dzienniku:

> Zauważyliśmy w wodzie brązowe, ziarniste plamy. Z początku sądziliśmy, że to jakieś stare zlewisko ropy. Że przepływający statek opróżnił zbiornik. Ale plamy powiększały się i było ich coraz więcej. Na powierzchni morza unosiły się brązowawe, przypominające skałę formacje wielkości pięści. Woda była dziwnie zielona, wyglądało to jak laguna. W końcu zaczęło do nas docierać, że widzimy szeroki na wiele mil pas pumeksu pochodzącego z podwodnej erupcji. Wpłynęliśmy na ten gęsty przestwór – nie było wiatru, więc płynęliśmy na silniku – i „Maiken” momentalnie zwolniła z siedmiu węzłów do jednego węzła. Byliśmy tak zafascynowani i zajęci robieniem zdjęć, że pokonaliśmy dobre kilkaset metrów po tej nierzeczywistej łące pływającej skały, zanim uświadomiliśmy sobie, że powinniśmy zawrócić.

Fransson dodaje, że pumeks starł dno łodzi, „jakbyśmy przeciągnęli ją po papierze ściernym”. Na zdjęciach zrobionych podczas tego spotkania widać ciągnącą się przez wiele kilometrów gęstą plamę unoszącej się na wodzie skały. Fotografie wykonane przez badaczy morza pokazują, że pumeks potrafi tworzyć zwarte, pofałdowane i wysokie formacje, sięgające nawet półtora metra powyżej lustra wody. W takiej postaci tratwa zasadniczo jest w stanie utrzymać ciężar człowieka, ale na razie sprawdzono to w praktyce tylko na tratwach dryfujących blisko brzegu.

Pumeks prędzej czy później dociera do *terra firma*, blokując porty i przystanie, do których się wciska. Wtedy widać, że nie jest bynajmniej

jałową skałą, lecz stanowi dom dla wielu gatunków skorupiaków. Według jednej z teorii mówiących o rozprzestrzenianiu się roślin i zwierząt na świecie, wędrówkę organizmom żywym ułatwiają właśnie tratwy pumeksowe, przenosząc je „szybko i na dużą odległość”. Badania migracji mieszkańców tratw pochodzących z tej samej podwodnej erupcji, w której ślady wpłynęła „Maiken”, dowodzą, że pumeks tętni życiem. Erik Klemetti z Uniwersytetu Denisona, specjalista w zakresie nauk o Ziemi, tak opisuje swoje spostrzeżenia:

> W trakcie swojej podróży pumeks szybko stał się domem dla ponad osiemdziesięciu gatunków morskich stworzeń. W niektórych przypadkach pojedyncze klasty mieściły ponad dwustu przedstawicieli jednego gatunku pąkli (co oznacza, że na całej tratwie żyło ich ponad dziesięć m i l i a r d ó w). Niektóre stworzenia były przyczepione do pumeksu na stałe, inne zaś zachowały zdolność przemieszczania się, tak że kiedy tratwa wylądowała na jakiejś plaży, na przykład kraby mogły zejść na ląd. Półtora roku po erupcji i powstaniu tratwy trzy czwarte powierzchni niektórych klastów było zajęte. Z czasem biologiczni autostopowicze mogą doprowadzić do zatopienia tratwy albo przeciwnie: sprawić, że pewna jej część będzie stale unosiła się nad powierzchnią wody – w ten sposób nawet na pojedynczych klastach pumeksu powstaną mikrośrodowiska!

Klemetti kończy następującym wnioskiem: „Niewykluczone, iż częste w ostatnich latach i występujące na całym świecie podwodne wybuchy wulkaniczne odgrywają ważną rolę w zasiedlaniu różnych obszarów oceanu przez organizmy żywe”.

W ostatnich latach opowieści o tratwach pumeksowych – zwłaszcza blog i fotografie Fredrika Franssona – krążą po świecie w postaci maili z załącznikiem „musisz to zobaczyć!”. Wszyscy je uwielbiają.

Pacyficzny Wir Śmieci to równie zdumiewające, ale bardziej przerażające zjawisko. Szacunki dotyczące jego rozmiarów zawierają się w przedziale od siedmiuset tysięcy do piętnastu milionów kilometrów kwadratowych. Ponieważ Belgia stała się chyba standardowym wyznacznikiem wielkości obiektów pływających, można też powiedzieć, że plama śmieci jest od niej od dwudziestu dwóch do pięciuset dziewięćdziesięciu dwóch razy większa; innymi słowy, może mieć powierzchnię niemal dwukrotnie przekraczającą powierzchnię Australii. Wielka Pacyficzna Plama Śmieci nie istnieje jako zwarty „ląd”, lecz ma postać gęstej zupy odpadów, częściowo zawieszonej tuż pod wodą,

a częściowo skonsolidowanej i unoszącej się na jej powierzchni. W tej plastikowej zawiesinie można dostrzec pojedyncze piłki, kajaki, klocki Lego, a także mnóstwo butelek i sieci rybackich. (Jak udowadnia Donovan Hohn w książce *Moby-Duck*, wir jest również cmentarzyskiem kaczuszek do kąpieli).

Wszystko, co ląduje za burtą statku albo zostaje zmyte z wybrzeża Pacyfiku i porwane przez prądy oceaniczne, kończy żywot na tym cmentarzu konsumpcjonizmu. Tak jak w przypadku tratw pumeksowych, o istnieniu tego nowego elementu morskiego krajobrazu donieśli śmiali żeglarze. W 1997 roku Charles Moore wracał z Hawajów do Los Angeles. Postanowił skierować swój jacht w rejony zwykle omijane przez podróżników ze względu na wolne prądy i słaby wiatr. Wkrótce, ku swemu zdumieniu, wpłynął na morze mazi. „Ilekroć wychodziłem na pokład, widziałem przepływające śmieci. Jak to możliwe, że udało nam się zapaskudzić tak ogromną powierzchnię? To trwało tydzień". Moore, spadkobierca majątku zbitego na przemyśle naftowym, zaczął badać wiry śmieci i walczyć z nimi. Nadal niewiele o nich wiemy, pomimo ich znacznych rozmiarów i sztucznego pochodzenia. Wciąż szukamy odpowiedzi na podstawowe pytania: jak się przemieszczają? W jaki sposób następuje rozkład odpadków? Jaki jest ich ostateczny los? Oceanograf Curtis Ebbesmeyer uważa, że wiry „krążą jak wielkie zwierzęta, które zerwały się z uwięzi", i co pewien czas dopływają do brzegu i zanieczyszczają plażę. Ebbesmeyer ujmuje to odpowiednio groteskowo: „Plama śmieci obrzyguje plażę plastikowym konfetti".

Śmieci są porywane i roznoszone po całym świecie przez prądy oceaniczne, można by więc sądzić, że takie wiry jak Wielka Pacyficzna Plama Śmieci tworzą się w wielu miejscach. Ale nie, na Pacyfiku istnieją tylko dwie – ta druga, Wschodnia Plama Śmieci, znajduje się w pobliżu Japonii. Jest jeszcze zaobserwowana po raz pierwszy w 1972 roku Północnoatlantycka Plama Śmieci, która w ciągu roku potrafi pokonać ponad półtora tysiąca kilometrów. Rzadkie zdjęcia tej formacji wykonała załoga statku badawczego „Sea Dragon", od 2010 roku prowadzącego badania wirów śmieci na całym świecie. Widać na nich unoszącą się na powierzchni wzburzonego morza masę rozkładających się tworzyw sztucznych.

Opowieść, która przenosi nas z homeryckiej Eolii na szare plastikowe gazpacho na zimnym Oceanie Atlantyckim, rozpala wyobraźnię i budzi przygnębienie ekologów, ale nie wystarcza, by oddać sprawiedliwość naszej miłości do pływających wysp, ponieważ te wprawiają nas w zachwyt, nawet kiedy są stworzone ze śmieci. Historia ta na nowo rozpala bardzo stare pragnienie, które dziś zaspokajamy budowaniem sztucznych pływających wysp.

Pływające Malediwy

Kiedyś uważano, że „na wodzie mieszkają tylko biedni” – mówi holenderski architekt Koen Olthuis z firmy Dutch Docklands. Wzrost światowej populacji i podnoszenie się poziomu mórz zmuszają do rewizji tego poglądu. Założona w 2005 roku firma Dutch Docklands jest liderem rynku pływających wysp. Do opracowanych przez nią projektów należą między innymi: pływający lodowy hotel w Norwegii oraz Floating Proverb (Pływające Przysłowie), czyli osiemdziesiąt dziewięć wysp skupionych wokół Palmy Dżabal Ali w Dubaju i układających się w wiersz: „Mądrość czerp od mądrych / Człowiek z wizją pisze po wodzie” autorstwa szejka Muhammada ibn Raszida Al Maktuma, premiera Zjednoczonych Emiratów Arabskich.

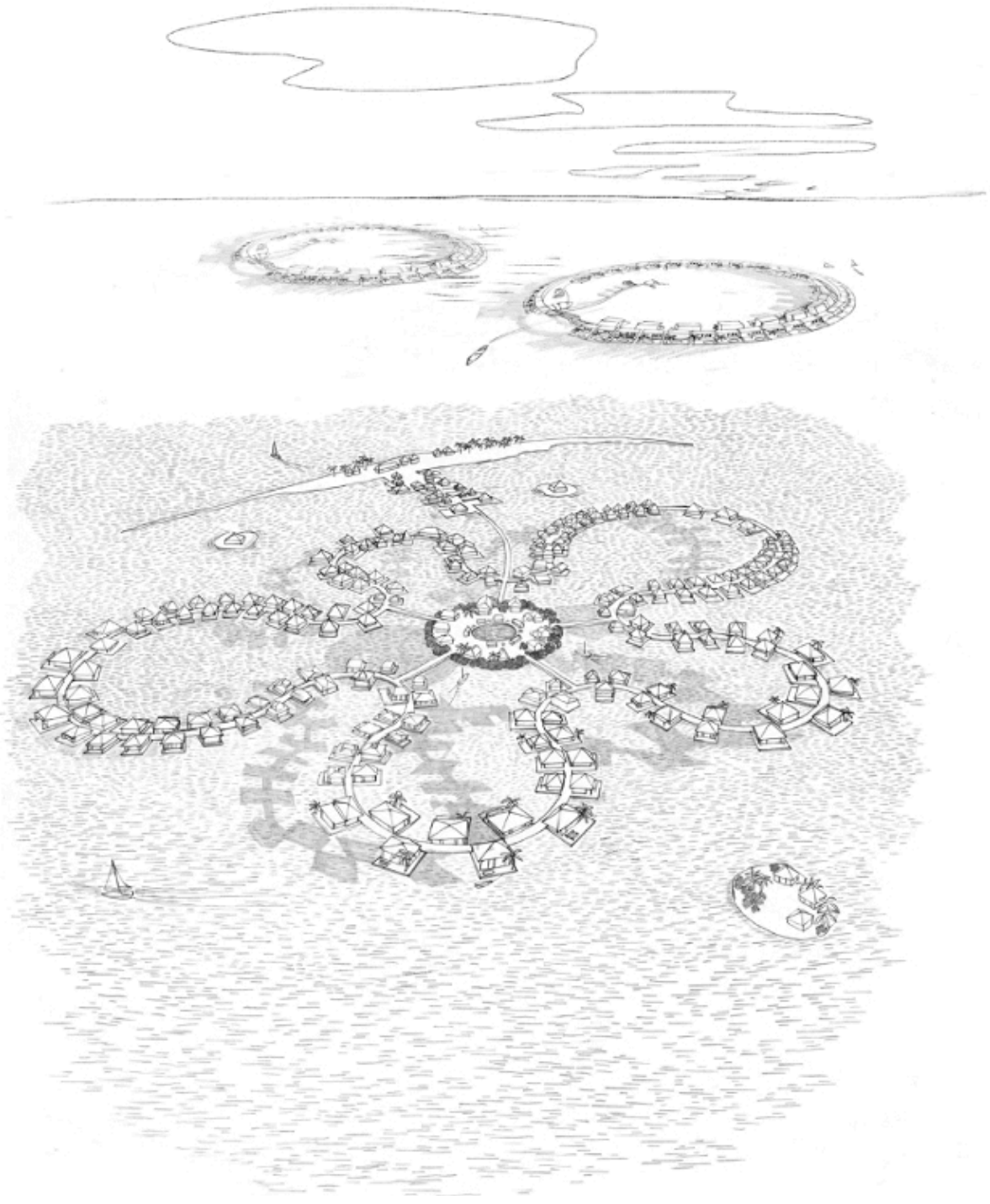

Dopiero jednak w Republice Malediwów firma Dutch Docklands pokazuje, na co ją stać. Jednym z realizowanych tam projektów jest Ocean Flower (Kwiat Oceanu), układające się w kształt kwiatu skupisko pływających luksusowych rezydencji; dotarcie do niego łodzią ze stolicy archipelagu, Male, zajmuje dwadzieścia minut. Nie jest to na pewno miejsce dla biednych, ceny najskromniejszych domów zaczynają się bowiem od prawie miliona dolarów za sztukę. „Zakup domu w Ocean Flower to inwestycja, na której będzie można dużo zyskać – zachwala Dutch Docklands – na przykład wynajmując go za pośrednictwem sieci pięciogwiazdkowych hoteli".

Ocean Flower to dopiero początek. Rząd Malediwów podpisał z Dutch Docklands umowę, na mocy której firma wzięła w dzierżawę na okres pięćdziesięciu lat cztery inne laguny wokół atolu Male. Holendrzy zamierzają wykorzystać ogromne, wypełnione betonem i pianką tratwy i wybudować na nich cały wachlarz wysp w różnych rozmiarach i kształtach, w tym na przykład pływające, obejmujące cały niewielki archipelag pole golfowe oraz Greenstar, zieloną, wielowarstwową wyspę w kształcie gwiazdy, której wyższe poziomy zajmie luksusowy hotel. Kształt tej konstrukcji nie jest bez znaczenia, według Dutch Docklands gwiazda symbolizuje bowiem „nowatorskie dążenie Malediwczyków do przeciwstawienia się zmianom klimatycznym". „Greenstar stanie się wymarzoną lokalizacją dla konferencji poświęconych zmianom klimatycznym, zarządzaniu zasobami wodnymi i równowadze ekologicznej. Tuż obok powstanie unikatowa pływająca restauracja" – dodają Holendrzy.

Superbogacze będą mogli przemieszczać się między swoimi zyskującymi na wartości pływającymi włościami, jednocześnie ratując planetę przed katastrofą ekologiczną. Tygodnik „Time" podsumował ten nowy trend następująco: „Czy morza, których poziom wciąż się podnosi, mogą stać się nieruchomościami z najwyższej półki? Tak – dzięki pływającym wyspom". Zdaniem Olthuisa bogaci odgrywają w jego planie

pożyteczną rolę. Olthuis, młody, emanujący chłopięcym zapałem człowiek o długich, czarnych, kręconych włosach, któremu udało się przekonać wielu ludzi, że zadanie bogatych polega na „płaceniu za innowacje ułatwiające życie biednym", podkreśla, że zależy mu na zmianie naszego nastawienia do budowania na wodzie. „Budowanie na wodzie jest jak najbardziej możliwe – przekonuje. – Jeżeli przekształcisz ją w przestrzeń, co oczywiście wymaga zasadniczej zmiany myślenia, wówczas otworzy się przed tobą świat zupełnie nowych możliwości". Olthuisowi chodzi o odejście od klasycznego statycznego, lądowego miasta. Dzięki pływającym platformom przemieszczanie „hydromiast" przyszłości będzie „łatwe jak przesuwanie puzzli". Olthuis ma w zanadrzu jeszcze lepszą analogię: ideę nawodnych platform porównuje do mozaiki „miast-aplikacji", z których każda zawiaduje innym aspektem życia w polis: rozrywką, sportem, jedzeniem na mieście, parkami, i po każdą można sięgnąć i ulokować według potrzeb, a wszystkie razem tworzą wszechstronny i elastyczny krajobraz.

Wizja Olthuisa nie tylko odsyła do lamusa wszelkie istniejące dziś mapy, lecz także w ogóle przeczy ich idei. Jeżeli miasto będzie się składało z elementów, które w dowolnym momencie będzie można przesunąć w inne miejsce, wówczas klasyczne, wizualne odwzorowania, pomyślane jako obrazy niezmiennego, nieruchomego stanu rzeczy, staną się nieadekwatne i trzeba będzie je wymienić. Być może te, które przyjdą na ich miejsce, będą przypominały tablice przylotów i odlotów, będą się składały z liczb i ram czasowych, szybko wywoływanych i równie prędko zapominanych.

Pływające wyspy prężnie się rozwijają. Pierwszą tego typu konstrukcją było reklamowane hasłem „pierwszy mały krok ku przyszłości nieograniczonych możliwości" Aquapolis na Okinawie, zbudowane z okazji wystawy światowej w 1975 roku. Zaprojektowane jako samowystarczalne morskie osiedle Aquapolis miało trzydzieści dwa metry wysokości i pokład o powierzchni stu metrów kwadratowych. Dwadzieścia lat po Expo odholowano je do Szanghaju i sprzedano na złom. Japończycy nie zarzucili jednak pomysłu pływających konstrukcji i na początku obecnego wieku zaproponowali najdłuższą tego typu budowlę – kilometrowy pływający pas startowy o nazwie Mega-Float, który umieścili w Zatoce Tokijskiej. W 2011 roku wykorzystali Mega-Float jako składowisko skażonej wody z terenu elektrowni atomowej Fukushima.

Największe istniejące i użytkowane skupisko pływających budynków zacumowano na wodach przepływającej przez stolicę Korei Południowej rzeki Han-gang: jest to ogromne centrum konferencyjno-szkoleniowe rozłożone na trzech połączonych ze sobą wyspach. Jego przeciwieństwo, jeśli chodzi o rozmach, stanowi prywatna wysepka Joyxee zbudowana przez brytyjskiego ekspatrianta Richarta „Reishee” Sowę niedaleko meksykańskiego miasta Cancún. Za budulec posłużyło Richartowi około stu tysięcy plastikowych butelek. Na wysepce stoi skromna chata.

Budowa pływających struktur to dla mieszkańców Malediwów przedsięwzięcie o wymiarze praktycznym – i dość pilne, ponieważ ten składający się z tysiąca dwustu wysp archipelag wznosi się tylko mniej więcej dwa metry nad poziom morza, co oznacza, że niedługo cały kraj może znaleźć się pod wodą. Zastanawiające, dlaczego realizowane przez Dutch Docklands projekty stawiają na przyciąganie na Malediwy nowych mieszkańców, a nie na szukanie alternatywnych domów dla tych, którzy już tam żyją. Rząd Malediwów ma do bogatych chyba podobny stosunek jak Olthuis, a jednak inaczej wyobraża sobie pożytkowanie pozyskanych od nich pieniędzy. Kilka lat temu premier tego kraju ujawnił, że republika zamierza zakupić ziemię w Indiach, na wyspie Cejlon i w Australii; pomysł polega na tym, żeby przychody z turystyki przeznaczyć na „państwowy fundusz majątkowy”, z którego środków powstaną „Nowe Malediwy”: Malediwczycy opuszczą rodzinne wyspy, zostaną na nich tylko uiszczający stosowne opłaty za pobyt turyści. „Zastosowane przez nas rozwiązanie stanie się wzorem do naśladowania przez inne narody” – chwalił się premier. Ale cóż, pomysł przeniesienia ludności – zmiany jej statusu z mieszkańców suwerennego kraju na przedstawicieli rzuconej kilka tysięcy kilometrów od domu mniejszości etnicznej – i ponownego zasiedlenia archipelagu, tym razem milionerami pseudoekologami, nie spotkał się z szerokim poparciem Malediwczyków.

Inny, cieszący się większą popularnością pomysł zakłada usypanie sztucznych wysp – z przeznaczeniem dla tubylców – z piasku wydobywanego z lagun. Pierwszy etap tego przedsięwzięcia zakończył się sukcesem: stosując sprawdzone metody, stworzono dużą wyspę Hulhumalé, będącą jednym z najwyższych, a więc najbezpieczniejszych, punktów Malediwów. Po rozbudowie wyspa będzie mogła pomieścić nawet jedną trzecią populacji kraju. Powstanie Hulhumalé rzuca cień na dążenia

pływających wysp Dutch Docklands do bycia czymś więcej niż tylko piaskownicą dla superbogaczy.

Malediwczycy wolą mieć pod stopami pewny grunt, niż mieszkać na unoszących się na powierzchni wody wyspach. Pływające wsie na jeziorze Titicaca w Andach i podobne osady w Azji Wschodniej należą dziś do atrakcji turystycznych, ale w przeszłości były domami dla ludzi, którzy nie mieli dużego wyboru, jeśli chodzi o miejsce zamieszkania. Przykład stanowi Yau Ma Tei w Hongkongu, dawniej społeczność uchodźców mieszkających na łodziach. Albo Sandu'ao w Chinach, miejscowość z pływającą pocztą, posterunkiem policji, sklepami i restauracjami. Albo Kampong Phluk, kambodżańska wioska na palach. Te dwa ostatnie miejsca można podciągnąć pod wymyśloną przez Olthuisa kategorię „miast-aplikacji", jako że składające się na nie elementy można odłączać i przestawiać. Pływające struktury są jednak bardzo delikatne i wrażliwe, nawet jeśli znajdują się w stosunkowo spokojnych i osłoniętych lokalizacjach: zagrażają im powodzie; materiały, z których zbudowano domy, gniją; trudno zdobyć czystą świeżą wodę i znaleźć dobre suche miejsce do przechowywania żywności.

Jednym z krajów, które poważnie traktują tego rodzaju dylematy i stawiają im czoło, jest niewielkie, ale szybko rozwijające się – również demograficznie – miasto-państwo Singapur. Postuluje się tam budowę pływających platform jako stosunkowo tanią alternatywę dla wymagającego ogromnych środków i pracochłonnego pozyskiwania lądu (dzięki któremu udało się od 1959 roku zwiększyć powierzchnię Singapuru aż o dwadzieścia trzy procent). W tych planach nie ma nic z marzycielskiego utopizmu, jak bowiem mówi profesor Wang Chien Ming, czołowy autorytet w dziedzinie nowych platform, żadna z nich nie przetrwa dłużej niż pięćdziesiąt, maksymalnie sto lat. „Może się wydawać, że porządna konstrukcja powinna wytrzymać cały wiek – mówi. – Ale przecież nikt nie chciałby tam mieszkać po stu latach". To otrzeźwiająca myśl dla kogoś, kto pływające wyspy traktuje jak nieruchomości z najwyższej półki. Jak długo będzie możliwe handlowanie pływającymi domami jako luksusowymi rezydencjami? Nie bez powodu, jak się okazuje, uważano kiedyś, że mieszkanie na wodzie jest dla biednych. W wielu częściach świata nieosiągalnymi, wymarzonymi domami przyszłości mogą być te wybudowane wysoko na stałym lądzie – i daleko od morza.

Nipterk P-32, wyspa z lodowej mgiełki

Jedna z najbardziej niezwykłych metod budowania wysp – za pomocą lodowej mgiełki – bardzo krótko cieszyła się popularnością. Niedługo po tym, jak ją udoskonalono, zaczęła wyglądać jak pozostałość po innej epoce i dla naszego pokolenia stała się przypowieścią o losie Arktyki, na której latem już wkrótce nie uświadczysz ani grama lodu.

W 1989 roku spółka ExxonMobil zbudowała Nipterk P-32 w kanadyjskiej części Morza Beauforta, na lodowym czubku kontynentu amerykańskiego. Nipterk P-32 był nie pierwszym, ale za to największym i najbardziej ambitnym z ówczesnych projektów budowy wysp. Rejon Morza Beauforta obfituje w zasoby ropy naftowej, ale do niedawna wydobycie utrudniało to, że na większą część roku akwen zamarzał i jedynie między sierpniem a wrześniem dawało się prowadzić żeglugę wąskim pasem przybrzeżnych wód. Zbudowanie wyspy z lodowej mgiełki w temperaturze powietrza poniżej zera jest stosunkowo łatwe: trzeba wziąć szlauch i puścić strumień wody wysoko w górę; woda zamarznie, zanim zdąży dolecieć do ziemi, i nawarstwi się na lodzie pokrywającym powierzchnię morza. Po wielu dniach nieustannego rozpylania wody ciężar lodu jest tak duży, że – na płyciznach – pływająca wyspa osiada na dnie morza i faktycznie przestaje być „pływająca”. Pompy pracują, dopóki wysoko nad lustrem wody nie wyrośnie kształtna wysepka.

Lodowe wyspy przybierają różne postaci, przy czym najbardziej znane są oczywiście te stworzone przez naturę. Kiedy od lodowca szelfowego odrywają się klify stanowiące jego czoło, tworzą się z nich ogromne góry lodowe, pływające wyspy (mówi się wtedy, że lodowiec się „ocielił”). Na przykład w 2010 roku od znajdującego się w północnej części Grenlandii lodowca Petermanna oddzieliła się gigantyczna wyspa o powierzchni dwustu sześćdziesięciu kilometrów kwadratowych – nazwano ją Petermann Ice Island (2010) – i rozpoczęła zygzakowatą wędrówkę na północny zachód, w kierunku kanadyjskiej Arktyki. W podróży przez jakiś czas towarzyszyła jej współpracująca z BBC oceanografka Helen Czerski, która krajobraz lodowej wyspy Petermanna opisała, używając bardzo angielskiego porównania: „wygląda jak miniaturowa wersja South Downs” (kredowe pasmo wzdłuż wybrzeża kanału La Manche). „Łagodne wzgórki

były porozdzielane dolinami – opowiadała. – Te zaś kończyły się wodospadami, którymi roztopiony lód spływał do oceanu”.

Najdokładniejszy opis naturalnej wyspy lodowej pochodzi z 1955 roku, kiedy to grupa amerykańskich naukowców założyła obóz na górze, która oderwała się od grenlandzkiego lodowca. Przez pół roku, od kwietnia do września, udało im się odwzorować na mapie wszystkie granie i wąwozy na wyspie; uwzględnili również pasażerów na gapę, to znaczy zwierzęta i głazy, które góra zabrała po odłączeniu się od lodowca. Wyspa skierowała się na północ i na zachód, podryfowała podobnym kursem, co Petermann Ice Island (2010). Obie spotkał zresztą taki sam los: po drodze rozpadły się, pstrząc polarne pustkowie potężnymi bryłami lodu.

Naturalne wyspy lodowe są nieobliczalne, dryfują, dokąd chcą, rozpadają się i w końcu znikają; za to te stworzone przez człowieka tak zaprojektowano, by pozostawały w jednym miejscu. Lód jako materiał konstrukcyjny zainteresował inżynierów przede wszystkim dlatego, że unosi się na wodzie. Najambitniejsze okazały się niektóre pomysły sprzed kilku dekad: w latach trzydziestych XX wieku niemiecki projektant doktor A. Gerke opracował plany portów lotniczych, które miały znajdować się na pływających po Atlantyku lodowych wyspach. W październiku 1932 roku magazyn „Modern Mechanix” donosił, iż doktor Gerke „stworzył sztuczną wyspę lodową na Jeziorze Zuryskim; wyspa przetrwała sześć dni, po czym wyłączono urządzenia chłodzące”. Niemieccy koledzy Gerkego nie podchwycili pomysłu doktora, ale kilka lat później wrócił do niego brytyjski naukowiec Geoffrey Pyke. Na początku lat czterdziestych Pyke eksperymentował z nowym materiałem, połączeniem lodu i miazgi drzewnej, który nazwał pykretem. Zamierzał zbudować z niego lotniskowiec, na jeziorze Patricia w kanadyjskiej prowincji Alberta powstał nawet prototyp okrętu, ale niestety, plany Pyke’a spełzły na niczym. Choć pomysły Gerkego i Pyke’a, dwóch jajogłowych innowatorów, miały niewątpliwy urok, okazały się zarazem zupełnie niepraktyczne, choćby z tego powodu, że temperatura mórz w strefie umiarkowanej jest po prostu zbyt wysoka, by lodowe wyspy mogły w nich przetrwać.

Lód od dawna wykorzystuje się jako materiał służący do wznoszenia tymczasowych budowli – od igloo po pałace, takie jak ten, który skonstruowano w Sankt Petersburgu w 1740 roku – ceni się go, ponieważ to lekki, mocny i tani budulec, o ile buduje się tam, gdzie jest go pod

dostatkiem. Lodowe wyspy zaczęły przyciągać poważnych inwestorów dopiero wtedy, gdy na początku lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku opatentowano w Stanach Zjednoczonych szczegółowe plany pierwszej wyspy z lodowej mgiełki. Przed Nipterk P-32 – w latach osiemdziesiątych – powstały wyspy Mars, Angasak i Karluk i wszystkie potwierdziły, że technologia sprawdza się w praktyce i pozwala stworzyć stabilną platformę; tymczasem budując Nipterk, naukowcy wypłynęli na nieznane wody.

Przy objętości ośmiuset sześćdziesięciu tysięcy metrów sześciennych Nipterk była prawie dwa razy większa od swoich poprzedniczek. Poza tym znajdowała się stosunkowo daleko na morzu, w dodatku w rejonie, gdzie morska pokrywa lodowa potrafi przemieszczać się z prędkością dziesięciu metrów na dzień, no i była pozbawiona osłony w postaci naturalnych przybrzeżnych wysepek. Z budową inżynierowie musieli zaczekać do zimy. Dopiero wtedy dało się wytyczyć prowadzące na miejsce lodowe szlaki na tyle solidne, by udźwignęły cztery pompy. Rozpylanie rozpoczęło się 28 listopada 1989 roku przy temperaturze powietrza około minus dwudziestu stopni Celsjusza – to wystarczyło, żeby woda zamarzała w locie. Tworzący się lód zgarniano spychaczami w jedno miejsce. Przez dwa tygodnie było tak zimno, że lodowe szlaki popękały[30]. Istniało wiele niewiadomych: czy wyspa takich rozmiarów utrzyma się w miejscu? Czy pęknie, jeśli temperatura jeszcze bardziej spadnie? Czy oblewające ją morze lodu nie roztrzaska jej na kawałki? Na okrągło monitorowano stabilność wyspy, obserwowano, jak napierają na nią masy wody i lodu; największe przesunięcie boczne, jakie zanotowano, wynosiło kilka milimetrów. Nipterk, której budowa zakończyła się w ciągu pięćdziesięciu trzech dni, okazała się wielkim sukcesem i wkrótce na jej powierzchni stanęła wieża wiertnicza wraz z budynkami dla załogi.

W ciągu półtorej dekady wynaleziono, rozwinięto i sprawdzono w praktyce nową technologię budowy wysp. Nie były to zresztą jedyne projekty, za których stworzeniem stały firmy zajmujące się wydobyciem ropy naftowej. Na Morzu Beauforta, poligonie doświadczalnym najbardziej nowatorskich pomysłów, znajduje się kilkanaście wysp pod wspólną nazwą Plaż Ofiarnych, które zbudowano z materiału przeniesionego z plaży: szczątków skorupiaków, kamyków i tym podobnych; jeszcze liczniejsze są Wyspy Żwirowe oraz Kesonowe – te drugie są zatopionymi w morzu betonowymi albo stalowymi konstrukcjami. Istnieją nawet wyspy

utworzone z mieszanki rozpylanego lodu i żwiru. W żadnym innym miejscu na świecie nie stosuje się tak wielu metod budowania wysp, też nigdzie indziej nie rozwijają się one tak dynamicznie. Wiele spośród tych sztucznych obiektów rozmiarami przewyższa Nipterk. Usytuowana na wodach Alaski wyspa Endicotta ma osiemnaście hektarów powierzchni i składa się z dwóch żwirowych części, połączonych z lądem drogą na grobli. Transport i montaż ciężkich konstrukcji na morzu wymaga sporych nakładów finansowych, tymczasem wyspa z mgiełki lodowej kosztuje połowę tego, co żwirowa; poza tym, co równie istotne, mniej trzeba zapłacić za jej, nazwijmy to, demontaż. Przez chwilę wyglądało na to, że wyspy z mgiełki lodowej mają przed sobą świetlaną przyszłość, dziś jednak sprawiają wrażenie ofiar własnego sukcesu. Wraz z podnoszeniem się temperatury mórz, topnieje pokrywa lodowa Arktyki, wskutek czego Morze Beauforta staje się głębsze i bardziej niespokojne. Na południu nawet w październiku i listopadzie zamarza tylko niewielka jego część. Strefa umiarkowana, w której Gerke i Pyke wyobrażali sobie lodowe wyspy, przesuwa się na północ. Wzrost średniej temperatury powietrza na Ziemi odsyła lodowe wyspy w niebyt.

MS „The World”

Jak wielki musi być statek, by przestał pełnić funkcję jedynie środka transportu, a zaczął być miejscem życia? MS „The World” (Świat) jest dużym, prywatnym, pływającym od 2002 roku statkiem wycieczkowym, dla niektórych drugim domem. To również pływające zamknięte osiedle, enklawa dostatku, luksusowa szalupa, pełna uchodźców, którzy pragną znaleźć się jak najdalej od nas wszystkich.

Przechowuję w domu kilkuminutowe nagranie na starej taśmie Super 8 mm: mam na nim trzy latka, jestem ubrany w świeżo wyprasowaną białą koszulę, krawacik i eleganckie spodenki w kratkę i stoję na górnym pokładzie transatlantyku SS „Chusan”. Był 1967 rok, moja rodzina płynęła do Kanady przez Kanał Panamski „Chusanem” – transatlantykiem w starym stylu. Zezłomowano go w 1973 roku, kiedy wydawało się, że transport lotniczy całkowicie zastąpi przemieszczanie się drogą morską. Ale ludzie uwielbiają łodzie. Od mniej więcej trzech dekad rejsy wycieczkowe znów

cieszą się sporą popularnością i odbywają się na dużo okazalszych statkach niż kiedykolwiek w przeszłości – obecnie największy z nich może zabrać ponad sześć tysięcy pasażerów. „The World” nie jest aż tak pojemny, ale nie liczba pasażerów stanowi o jego wyjątkowości. Statek należy do „stu trzydziestu rodzin”, każda ma na pokładzie swoje apartamenty. Można wprawdzie spędzić krótkie wakacje na „The World”, ale istota tego wycieczkowca polega na „podróżowaniu po świecie bez wychodzenia z domu”. Właścicielami i operatorami „The World” są jego mieszkańcy, oni też, kolektywnie podejmując decyzje, ustalają jego trasę.

„The World” jest bardzo drogi. Apartamenty kosztują od dwóch do siedmiu milionów dolarów za sztukę, ale to nie wszystko, dodatkowo trzeba bowiem uiszczać roczną opłatę za utrzymanie apartamentu, wynoszącą sześć procent jego ceny, a także pokrywać tak zwane koszty pokładowe. Tożsamość właścicieli statku jest ściśle chroniona, ale wiadomo, że wolny czas na wycieczkowcu spędza na przykład Gina Rinehart, australijska miliarderka i potentatka branży wydobywczej (jej ojciec był poszukiwaczem i odkrył złoża azbestu w Wittenoom).

„The World” krąży po świecie bez rozgłosu, ciesząc się własną wspaniałością. Rejs nim to jedyna w swoim rodzaju przygoda i zarazem uczestnictwo w wyjątkowej społeczności, spełnienie dwóch z pozoru nieprzystających do siebie pragnień superbogaczy: życia w wygodnym odosobnieniu i korzystania z wszystkiego, co świat ma najlepszego do zaoferowania. „The World” godzi tę pozorną sprzeczność. Reklamujący go prospekt obiecuje: „Życie pełne spontaniczności. Życie zachwycające i intrygujące. Życie z pasją i przygodą”. Kwintesencja i spełnienie sztuki bycia bogatym.

Pomysł najwyraźniej się sprawdza. „Po raz pierwszy widziałem, żeby tak dobrze sytuowani ludzie byli aż tak szczęśliwi” – napisał francuski dziennikarz po krótkim pobycie na pokładzie wycieczkowca. Jak łatwo się domyślić, nie wszyscy oglądają ten spektakl z zapartym tchem. Krytykuje „The World” na przykład Robert Frank; według niego statek ucieleśnienia ideę „Richistanu” (kraju bogaczy), którą opisał w swojej książce pod takim tytułem; Frank cmoka z dezaprobatą na fanaberie superbogaczy, ale zwraca też uwagę na bardzo istotną rzecz: coraz dalej idące odseparowanie bogatych od reszty świata. Socjologowie Rowland Atkinson i Sarah Blandy opisują „The World” jako symbol „secesjonistycznego dostatku”; ich

zdaniem wycieczkowiec należy do całego spektrum „enklaw ekonomicznych”, obejmującego przedmioty zarówno stosunkowo nieduże, takie jak luksusowy SUV Buick Enclave, jak i bardzo okazałe, na przykład produkowane przez Boeinga prywatne odrzutowce, które wyposażono niczym latające rezydencje. Dla wielu osób izolowanie się bogatych symbolizuje wszystko, co fałszywe w naszych czasach publicznej nędzy i prywatnej majętności. Po zwodowaniu „The World” wywołał falę krytyki, zarzucano mu przede wszystkim przesadną ekskluzywność. Pewna anonimowa brytyjska dziennikarka stwierdziła, że „na statku panuje przygnębiająca atmosfera. Nastrój jest wręcz grobowy, więcej życia uświadczysz w nadmorskim kurorcie, i to po sezonie”. Mieszkańcy „The World” skarżyli się reporterce na spędzającą na pokładzie wycieczkowca wakacje „hołotę”: „Jak by się pani czuła, gdyby wydała kilka milionów dolarów na apartament, po czym zobaczyła, że ludzie, którzy zapłacili raptem paręset funtów za przywilej wejścia na pokład, mogą korzystać z tych samych udogodnień, co pani?”. Narzekania powtarzały się przez pierwszy rok funkcjonowania statku, do 2003 roku, kiedy to stali mieszkańcy zbuntowali się i ostatecznie przejęli „The World”.

„Richistan” może wprost prowadzić do społecznej katastrofy, to prawda, ale „The World” należy jednak pochwalić za pionierstwo. Ciekawie ocenili go członkowie Seasteading Institute, grupy badawczej z San Francisco, promującej ideę pływających miast i zachwycającej się Sealandem. Postrzegają oni wycieczkowiec jako zapowiedź szerszego trendu i deklarują chęć uczenia się na jego błędach. Ich podsumowanie brzmi zwięźle: „Piękny, inspirujący, elegancki i rozrzutny”. Tym, co uderza badaczy z Seasteading Institute, jest marnotrawstwo i niewłaściwe wykorzystanie miejsca na statku: „Na górnym pokładzie znajduje się kort tenisowy, dokoła którego zgromadzono zapasy okrętowe. Statek ma pięć albo sześć restauracji, ale czynne są tylko dwie, bo na więcej nie ma zapotrzebowania”. Wychodzi zatem, że to „pływające miasto” funkcjonowałoby lepiej, gdyby zbudowano je na mniejszą skalę. Niska „gęstość zaludnienia” „The World” bynajmniej nie przeszkadza jego mieszkańcom, dodaje Seasteading Institute i sugeruje przy tym, żeby projektanci kolejnych wycieczkowców jednak ostrożniej podchodzili do zasady, że „więcej znaczy lepiej”.

Wróćmy na chwilę na górny pokład: „The World” to jedyny statek, który może pochwalić się pełnowymiarowym kortem do tenisa, co na pewno podnosi jego atrakcyjność, ale zarazem uwydatnia daremność prób uczynienia ze statku prawdziwego miejsca. Na lądzie pełnowymiarowy kort do tenisa nie stanowi przecież nic wyjątkowego i dopiero tam, gdzie naturalnymi elementami krajobrazu są ograniczona przestrzeń i ciasnota, taka rzecz jak kort staje się luksusem. To samo można powiedzieć o innych udogodnieniach: o restauracjach, o kinie, o spa – wszystkie te miejsca stają się wyjątkowe i bardziej wytworne tylko dlatego, że można korzystać z nich, będąc na morzu, ale przecież jedzenie nie będzie smakowało lepiej tylko dlatego, że zjemy je na pokładzie wycieczkowca, ani też nie zaczniemy nagle lepiej grać w tenisa. Przemiana w pełnoprawny styl życia czegoś, co zdaje egzamin jako tygodniowa rozrywka, wydaje się błędem w ocenie sytuacji. Ludźmi, którzy spędzają dużo czasu w podróży, są przecież głównie osoby pozbawione innego wyboru: uchodźcy, akwizytorzy, marynarze. Ograniczone możliwości, do tego często brak wygód – to nieuniknione konsekwencje życia „w ruchu”. „The World” aspiruje do miana domu, ale nigdy nim się nie stanie.

Wątpliwe, aby na pokładzie wycieczkowca, będącego w gruncie rzeczy zwykłym środkiem transportu, kiedykolwiek wytworzyło się głębsze poczucie wspólnoty. Ktoś mógłby powiedzieć, że mobilnych superbogaczy żadna wspólnota nie interesuje – co widać choćby po ich skłonności do odgradzania się od innych wysokimi murami i przemieszczania się pancernymi SUV-ami – ale przecież powinna, ponieważ alternatywą dla niej jest egzystencja wyprana z wszelkich autentycznych przeżyć i związków. Mieszkanie na wielkiej, luksusowej łodzi z kortem tenisowym i innymi udogodnieniami to niewątpliwie duża frajda, ale takie wycieczkowce jak „The World” stanowią jedynie nietrwałą i wymuszoną kopię tego, co bez żadnego wysiłku mogą nam zaoferować zwykłe miejsca.

8. Miejsca ulotne

Zatoczka przy Hog’s Back Cafe

51° 13’ 33” N; 0° 40’ 25” W

Większość najbardziej zaniedbanych, zapuszczonych miejsc będących produktami wyobraźni geograficznej to zarazem miejsca o najbardziej przemijającym charakterze. Powstają niemal z niczego, pojawiają się ledwo uczepione ziemi i rzadko są zauważane przez przechodniów. Miejsca ulotne przyjmują postać społeczności *ad hoc*, kształtowanych na przykład dla lub przez uchodźców albo dla rosnącej liczby elastycznych, mobilnych pracowników, starających się sprostać wymogom rynku (patrz *Parking portu lotniczego Los Angeles*). Mogą to być jednak również miejsca radosne, nadające się w sam raz na chwilową ucieczkę, takie jak festiwal (patrz *Nowhere*), dziecięca kryjówka (patrz *Uliczka Staceyów*) albo zatoczka przy Hog’s Back Cafe.

Hog’s Back (Grzbiet Wieprza) to przyjemne trawiaste wzgórze nieopodal Puttenham, wsi w należącym do londyńskiego obszaru podmiejskiego hrabstwie Surrey. „Jeszcze nigdy okolica widziana ze szczytu Hog’s Back nie wyglądała tak korzystnie” – pisze z uczuciem Jane Austen w datowanym na 20 maja 1813 roku liście do swojej siostry; krajobraz ze wzgórza podziwiała oczywiście przy sprzyjającej aurze.

Dziś zatoczka przy Hog’s Back Cafe, wraz z okolicznymi polami i lasami, słynie przede wszystkim z doggingu, czyli seksu w miejscu publicznym. Na stronie LetsGoDogging.com czytamy: „Dogging to zjawisko występujące na całym świecie. Polega na uprawianiu seksu głównie pod chmurką: w parkach, w lasach i tym podobnych miejscach”. Strona LetsGoDogging.com umieściła zatoczkę przy Hog’s Back Café na drugim miejscu w zestawieniu „najpopularniejszych miejsc do doggingu” w Europie. Inna witryna z tej kategorii, SwingingHeaven.co.uk, też wysoko ocenia tę lokalizację, dodając, że „miłośnicy seksu korzystają z niej już od ponad pięćdziesięciu lat”. Na liście przygotowanej przez SwingingHeaven.co.uk zatoczka przy Hog’s Back Cafe znalazła się

w sąsiedztwie sześćdziesięciu jeden nadających się do uprawiania doggingu miejsc w hrabstwie Surrey (na przykład obok kilku ustronnych zakątków w rozległym Windsor Great Park, którego właścicielką jest Jej Wysokość).

Słowo „dogging" (od ang. *dog* – pies) wzięło się od kłamstwa, które przerodziło się w eufemizm. Mężczyźni i kobiety mówili, że „wyprowadzają pieska na spacer", podczas gdy w rzeczywistości urywali się z domu na seks z nieznajomymi na wolnym powietrzu albo w samochodzie. Intryguje, co takiego ma w sobie miejsce, oprócz wygodnego parkingu, rześkiego powietrza, miękkiej trawy i omszałych drzew, że powoduje szybsze krążenie krwi. To, że zupełnie przeciętne miejsce staje się Public Sex Environment (PSE; dosł. środowisko seksu w miejscu publicznym), jak klasyfikuje je policja, dowodzi istnienia ukrytego perwersyjnego aspektu geografii.

Jako pierwszy zwrócił moją uwagę na związek pomiędzy seksem a geografią David Bell, wysoki, elegancki, obdarzony kąśliwym poczuciem humoru profesor Uniwersytetu w Leeds. W 1994 roku Bell przedłożył w Association of American Geographers (Towarzystwo Geografów Amerykańskich) pracę pod tytułem *Geografia pieprzenia*. W 2009 roku powrócił do tematu w artykule dla jednego z magazynów naukowych, zatytułowanym *Druga geografia pieprzenia*. Reakcjami na uporczywość profesora Bella i jego pogląd, iż geografię należy zerżnąć, i to nie raz, tylko aż jej oczy wyjdą na wierzch, były nerwowe kasłanie i udawana obojętność. Bell argumentuje, że geografia musi traktować pożądanie poważnie, jako czynnik zarówno kształtujący zachowanie ludzi w przestrzeni, jak i mogący wstrząsnąć konserwatywnymi podstawami tej dziedziny nauki. Bell wziął pod lupę geografię doggingu. Okazuje się jednak, że tak naprawdę chodziło mu o dopisanie doggingu do słownika obejmującego hasła dotyczące sprzeciwu i działalności wywrotowej. Inni naukowcy patrzą na to zagadnienie z podobnej perspektywy. Dla doktor Fiony Measham z Uniwersytetu w Lancaster dogging stanowi „dowód na typową dla niektórych nieustającą potrzebę podejmowania ryzyka, łamania zasad i sprzeciwiania się komercjalizacji rozkoszy cielesnych".

Pogląd mówiący, że seks w miejscu publicznym to akt sprzeciwu, wydaje mi się naciągany i jest chyba bardziej wyrazem politycznej desperacji specjalistów w zakresie nauk społecznych niż rzeczywistym oddaniem tego, co się odbywa w takich miejscach jak zatoczka przy Hog's

Back Cafe. Ciekawsze podejście do tematu prezentuje Rowan Pelling, była redaktor naczelna miesięcznika „The Erotic Review”. Cóż takiego mają w sobie te „kuszące łoża z mchu?” – pyta i zaraz dodaje, że „wiejska okolica działa jak potężny afrodyzjak”. To pogląd z imponującym rodowodem kulturowym. W najstarszych dziełach literatury, na przykład w greckich bukolikach, odnajdujemy wiersze sławiące „łąki miłości”. Dla autorów tworzących w tej tradycji poetyckiej szemranie strumyka, kwiaty zgniecione pod naporem ciał i spływające potem końskie grzbiety nie stanowią jedynie tła wydarzeń, natura to nie tylko oprawa dla s e k s u – ona jest seksem. Kontrowersyjny teolog David McLain Carr poszedł krok dalej i stwierdził, że Eden był erotycznym rajem – że kusił i podniecał. Zmysłowość pól i lasów poprzedza wszelkie religie, jest atawistyczna, ekscytująca i nieumiarkowana. I wzywa nas do siebie.

Mieszkanka Puttenham, pani Perkins, ze znużeniem opowiada dziennikarzowi, co widziała nieopodal swojego domu: „Dwóch mężczyzn siedziało obok siebie i przyglądało się, jak kobieta i mężczyzna uprawiają seks. Niedaleko leżało dwóch kolejnych mężczyzn, opalali się, ubrani tylko w obcisłe gatki”. Reakcja miejscowej policji nieco skonsternowała panią Perkins. Kiedy zaniosła na posterunek różowy wibrator, który znalazła w pobliskich zaroślach, „zapytali: »Niby co mamy z tym zrobić?«, na co odpowiedziałam: »Nie wiem, może ktoś się zgłosi«”.

W Wielkiej Brytanii znajdują się setki PSE, co jednak moim zdaniem nie świadczy o wyjątkowej skłonności mieszkańców tego kraju do seksu pod chmurką z nieznajomymi, a raczej o typowo brytyjskiej słabości do biurokracji. Kiedy miejsce zyskuje łatkę PSE, wcale nie znaczy to, że oficjalnie toleruje się uprawianie tam seksu, tylko to, że specjalny wydział policji wie o jego istnieniu, ma je pod lupą i prowadzi działania zmierzające do zniechęcenia amatorów doggingu do oddawania się tam swojej pasji. Odpowiedzialność policji za PSE ma dwojaki charakter: nadrzędnym celem jest odwodzenie ludzi od wykorzystywania tych miejsc do uprawiania seksu, ale chodzi też o to, żeby zbyt radykalnym działaniem nie zmusić ich – mowa zwłaszcza o homoseksualistach – do szukania bardziej skrytych i potencjalnie bardziej niebezpiecznych miejsc spotkań. Z tego względu policja może wysyłać sprzeczne sygnały. Od maja do lipca 2010 roku policja hrabstwa Surrey wydała sto dwadzieścia cztery funty i dziewięćdziesiąt trzy pensy na herbatę, kawę i ciasteczka w ramach akcji

nawiązywania, nazwijmy to, dobrych stosunków z amatorami doggingu w zatoczce przy Hog’s Back Cafe. Niedawne wysiłki mające na celu uczynienie tego miejsca nieatrakcyjnym dla miłośników seksu na łonie natury, sprowadzające się do lobbingu miejscowej rady gminy na rzecz utworzenia tam rezerwatu przyrody, chyba wreszcie przynoszą rezultaty. Radny gminy Puttenham Richard Griggs twierdzi, że z dawnego zagłębia doggingu zostało już tylko „kilka stref aktywności w zaroślach”.

Postanowiłem naocznie przekonać się, jak dziś wygląda sytuacja, i w kwietniu 2013 roku wybrałem się do Surrey. Był przyjemny słoneczny dzień, kwitły kolcolisty, wszedłem na Hog’s Back i zgodziłem się z Jane Austen, bo okolica rzeczywiście wyglądała bardzo „korzystnie”. Zagłębiłem się w lesie i już po paru krokach zacząłem znajdować prezerwatywy i niepokojąco dużo gumowych rękawiczek. Niektórzy funkcjonariusze uważają, że – czy to się komuś podoba, czy nie – tutejsze PSE nadal istnieje i ma się bardzo dobrze. Na jednym z czatów dla amatorów doggingu pojawiły się komentarze na temat życzliwego nastawienia miejscowej policji:

> Razem ze znajomym wracałam z nieudanego spotkania, no i po drodze tak bardzo nam się zachciało, że już nie mogliśmy wytrzymać. Zatrzymałam się na poboczu niedaleko zatoczki przy Hog’s Back… Było późno i ciemno… Minął nas jakiś samochód, ale byłam zajęta… no wiecie… W każdym razie kilka chwil później zjawił się policjant i zaświecił latarką do kabiny. Trochę czerwona na twarzy opuściłam szybę. Policjant zapytał, czy wszystko w porządku, po czym upomniał nas, że to nie miejsce na takie rzeczy, i – uwaga! – s k i e r o w a ł nas do Hog’s Back, półtora kilometra dalej, w razie gdybyśmy mieli ochotę skończyć, co zaczęliśmy.

Zamierzam uparcie drążyć temat związku pomiędzy pożądaniem a miejscem, a mówiąc dokładniej: chcę zrozumieć, co takiego pociąga nas w seksie na łonie natury. Miłośnicy doggingu w zatoczce przy Hog’s Back Cafe na pewno nie ułatwiają zadania badaczom, ponieważ traktują to miejsce jak orgazmotron na świeżym powietrzu. Ich oględne i surowe relacje nie zniechęcą mnie, bo przecież gołym okiem widać, że ci ludzie czerpią zmysłową przyjemność z oddawania się cielesnym rozkoszom pod chmurką tudzież w bukolicznym lesie. Geografowie wciąż nie chcą uznać tej silnej formy uwodzenia. Profesor Bell, we wprowadzeniu do dyskusji na temat wpływu swoich rozważań na dyscyplinę, którą uprawia, stwierdza na

koniec z rezygnacją: „Pytanie zatem pozostaje: czy geografia została zerżnięta? Nie jestem przekonany”. Hog’s Back przeinacza tę nieprzyzwoitą retorykę: nie chodzi o to, co my robimy geografii, lecz co ona robi nam.

Parking portu lotniczego Los Angeles

33° 56’ 9”N; 118°22’33”W

Dawniej środek lokomocji nie był tożsamy z celem podróży, pierwszy miał po prostu za zadanie pomóc dotrzeć do drugiego. Ale zadurzyliśmy się w swobodzie przemieszczania się i dziś często nie wiadomo, czy to ruch służy miejscu, czy jest na odwrót. Sprawdza się poczyniona przez J.G. Ballarda w 1997 roku przepowiednia, że „prawdziwym miastem dwudziestego pierwszego wieku będzie lotnisko”. Coraz częściej możemy mówić, że sieć transportowa czerpie energię z miejsca, czego klasyczny przykład stanowi infrastruktura drogowa – te będące wycinkiem miasta nie-miejsca, w pełni zaspokajające wymagania stawiane podczas podróży i zarazem mające w stosunku do niej całkowicie drugorzędne znaczenie.

W miarę jak zapominamy, na czym polega sens istnienia prawdziwych miejsc – kiedyś rozumieliśmy to intuicyjnie – tym łatwiej dajemy się przekonać, że nieodłączną wartością mobilności, bycia nieustannie w ruchu, jest to, że większe znaczenie ma podróż do miejsca niż przebywanie w nim. Ktoś może powiedzieć, że ta geograficzna wersja dyskusji pod hasłem „człowiek kontra maszyna” to nostalgiczna reakcja kogoś, kto nie wytrzymuje tempa współczesnego życia. Być może to prawda, ale to stary kontrargument, relikt okresu świetności nowoczesności, nie dociera do niego, że o ile dawniej podstawą do tego rodzaju obaw były spekulacje i dystopijne fantazje, o tyle dziś wystarczy wyjrzeć przez okno. Widać, że miejsca zanikają, rozrastają się zaś trasy, szlaki, drogi. Parking E portu lotniczego Los Angeles, nazywanego po prostu LAX (od trzyliterowego kodu IATA; International Air Transport Association, Międzynarodowe Zrzeszenie Przewoźników Powietrznych), przesuwa nasz widok z okna nieco dalej, tam gdzie kilkaset metrów od końca pasa startowego 25L przycupnęła społeczność nowego rodzaju.

Dla większości mieszkańców stojących na wschodnim krańcu parkingu E kamperów nie jest to nawet stałe miejsce pobytu, rzadko kto spędza tam więcej niż kilka dni w tygodniu. Samochody tworzą specyficzne osiedle dla dojeżdżających do pracy pilotów, mechaników, stewardes i stewardów; wiele z tych osób nie tyle dojeżdża, ile „dolatuje” do miejsca pracy i często przed rozpoczęciem swojej zmiany dosypia w kamperze. Obowiązujące w liniach lotniczych przepisy dotyczące bezpieczeństwa wymagają od załogi, aby przed każdym lotem była wypoczęta, tyle że to nie zawsze takie proste. Model biznesowy stosowany przez większość linii zakłada realizowanie przez pilotów kursów z lotnisk usytuowanych w różnych częściach Stanów Zjednoczonych, jak również za granicą. Stary system, w którym linie lotnicze fundowały pracownikom przeprowadzki z całymi rodzinami, zastąpił nowy, dużo tańszy, ale zwiększający poczucie samotności.

W 2005 roku władze lotniska uznały parking – który może pomieścić do stu kamperów – za oficjalną „sypialnię” pracowników linii lotniczych. Mieszkańcy płacą miesięczny abonament w wysokości stu dwudziestu

dolarów i trzydziestu dolarów opłaty postojowej. Przynajmniej jest tanio, bo raczej nie wesoło: nawet upiększenie parkingu świeżo posadzonymi krzakami róż nie zmienia faktu, że to miejsce stanowi ostateczność dla branży, w której na potęgę tnie się zarobki i pogarsza warunki pracy. W wywiadzie dla „Los Angeles Times” jeden z mieszkańców parkingu przy LAX przyznał, że od dwudziestu lat nie dostał podwyżki: „Ciągle słyszysz: »Trzeba ciąć koszty, trzeba ciąć koszty, trzeba ciąć koszty«”. Jego sąsiad przytakuje i dodaje: „Ta branża się załamała. Nie sądziliśmy, że może być aż tak źle, jak jest teraz”.

Artykuł w „Los Angeles Times” rozsierdził mieszkańców parkingu, ponieważ pojawiły się w nim nazwiska osób, które zgodziły się porozmawiać z dziennikarzami, tymczasem większość wolałaby zachować anonimowość, ponieważ parking E nie jest miejscem, które napawałoby ich dumą. Jeden z pilotów tak to wyjaśnił reporterowi: „Nigdy nie sądziłem, że tu trafię, ale cóż, cięcia zmuszają do oszczędności”. Jego sąsiad dodaje ze zrozumiałą goryczą: „Prestiżowa okolica, prawda? Powiem szczerze: nie myślałem, że skończę na parkingu przy LAX”. Wiele osób kurczowo trzyma się myśli, że parking E jest tak naprawdę nie ich miejscem zamieszkania, tylko zwykłą przebieralnią. Jeden z pilotów – ma dom w Teksasie – osiedle kamperów nazywa „miejscem, do którego przychodzi się, żeby się przygotować do pracy”. Tak jak jego koledzy, człowiek ten wpadł w geograficzną pułapkę: ma daleko do domu i daleko do pracy. Coś, co z początku wydaje się praktyczne i tymczasowe, potrafi szybko zmienić się w półtrwałe lub trwałe.

Jak na pracowników, od których w największym stopniu zależy sprawne funkcjonowanie linii lotniczych, mieszkańców osiedla kamperów na parkingu E traktuje się dość podle. LAX nie dostarcza prądu, gazu ani wody, toteż mieszkańcy muszą się wykazywać obrotnością, jeśli chcą zaspokoić choćby najprostsze potrzeby: używają paneli słonecznych i niewielkich generatorów prądu, a myją się w pomieszczeniach lotniskowej siłowni. Żyją w spartańskich warunkach, a jakby tego było mało, muszą słuchać ryku samolotów podchodzących do lądowania tuż nad ich głowami. Niektórzy znoszą to ze stoickim spokojem, a nawet czerpią pewną radość ze zgiełku: „Lubię patrzeć, co ląduje – mówi jeden z mieszkańców osiedla. – Nie przejmuję się hałasem. Mnie to kręci!”. Jego sąsiad dodaje z przekąsem, że ponieważ loty zaczynają się dokładnie o szóstej trzydzieści

rano, to „nawet nie potrzebujesz budzika”. Nie da się jednak ukryć, nawet robiąc dobrą minę do złej gry, że hałasu na parkingu E praktycznie nie da się znieść. Niektórzy mieszkańcy próbują tłumić odgłosy z zewnątrz, zasłaniając okna folią i papierem, albo puszczają w swoich kamperach biały szum, symfonię zakłóceń, która przynajmniej częściowo zagłusza pisk silników lądujących maszyn.

Nie wszyscy czują awersję do mieszkania na lotnisku, niektórzy wręcz mu kibicują. Profesor John Kasarda z Uniwersytetu Karoliny Północnej jeździ po świecie, wychwalając zalety i podkreślając nieuchronność epoki „aerotropolis”. Dla Kasardy LAX stanowi centrum miasta; istotą nowoczesnego miejsca jest według niego dostępność lotów, możliwość przemieszczania się do innych ośrodków. Mamy powody, by sprzeciwiać się próbom wskrzeszenia w XXI wieku corbusierowskiej wizji[31] pędzących i rojących się w geometrycznej przestrzeni maszyn. Powstała w XX wieku infrastruktura służąca ruchowi kołowemu nauczyła nas, że wizja ta nie zaspokaja potrzeb człowieka ani nie tworzy prawdziwych miejsc, co w zasadzie sprowadza się do tego samego. Zależy nam na miejscach, do których warto odbywać podróż, nie zaś na nie-miejscach stanowiących produkt uboczny pragnienia nieustannego przemieszczania się. Dziś prawdziwe miejsca – takie, z którymi wiążą się różnorodne, skomplikowane ludzkie historie; takie, w których to człowiek jest najważniejszy – znajdują się w opozycji, trwa skryty bądź otwarty konflikt pomiędzy nimi a pękającym z przejedzenia i mimo to wciąż nienasyconym ruchem. To trudny wybór. Potrzeba przechylenia szali z powrotem na korzyść miejsca jest oczywista.

Poczucie nieuchronności i poddania się żelaznej woli czegoś, co nas przerasta, zostało wprowadzone w kulturowy krwiobieg. Jak inaczej bowiem wytłumaczyć tę gotowość, z jaką wierzymy w nieustannie przetwarzaną historyjkę o „sektorze dotkniętym kryzysem” – nie tylko sektorze lotniczym, lecz także każdym sektorze biznesu? O tym, że jeśli nie ustąpimy, nie staniemy się bardziej elastyczni, nie zgodzimy się na umowę śmieciową, nie przeprowadzimy się do wynajętego mieszkania daleko, daleko od domu, to wkrótce nie będziemy mieli ani samolotów, ani samochodów, ani pracy. Jeden z mieszkańców osiedla kamperów na parkingu E tłumaczy, przekrzykując łoskot: „Przemysł zmaga się ze stagnacją, zresztą, kto wie, może to już są drgawki przedśmiertne?

Niewykluczone, że za dziesięć lat w ogóle nie będzie linii lotniczych. Jest naprawdę aż tak źle”. Faktycznie: nie jest dobrze. Ale prawdą jest też to, że tak bardzo osłuchaliśmy się z przekazem mówiącym o konieczności przyzwyczajenia się do „kryzysu”, że nie potrafimy przeciwstawić się nieludzkiemu żądaniu, byśmy żyli jak pozbawieni korzeni nomadzi. Wskutek oswojenia „kryzysu” ludzie rezygnują z rzeczy, które są dla nich ważne, takich jak prawdziwe związki albo miejsca. Nie-miejsca, stanowiące produkt niespokojnego przemieszczania się, napędzają ruch i koło się zamyka. Nie-miejsca mają tak niewielkie znaczenie w stosunku do samej mobilności, że przypominają pasożyty przyssane do obojętnego żywiciela.

Nowhere

41° 41’ 49” N; 0° 10’ 12” W

Festiwal Nowhere odbywa się raz w roku, w lipcu, na piaszczystej aragońskiej równinie w północno-wschodniej części Hiszpanii. Nowhere jest tymczasową utopią; wprawdzie trzeba nabyć bilet wstępu, ale kiedy już wejdzie się na teren festiwalu, to, jak uprzedza witryna imprezy, „niczego nie kupujesz i niczego nie sprzedajesz, z wyjątkiem lodu, i to tylko przez kilka godzin dziennie, żeby nie dostać zatrucia pokarmowego i nie musieć pić ciepłego piwa”. Obowiązują twórcze gospodarowanie, „radykalna autoekspresja”, „samodzielność”. Organizacyjnie festiwal składa się ze skupiska obozów, w których wszystko jest możliwe: widowiska, japońskie ceremonie parzenia herbaty, rysowanie aktów, występy cyrkowe, koncerty i mnóstwo innych wydarzeń. Uczestników zabawy zachęca się do korzystania z Obozu Kostiumów: „Potraktuj ten obóz jak wielkie pudło z przebraniami i obudź w sobie dziecko!” – czytamy na blogu Nowhere.

Pomysł organizowania festiwali w miejscach oddalonych od cywilizacji korzeniami sięga kontrkultury lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku i ugina się pod ciężarem libertariańskiego przekazu. Przez ostatnie dwadzieścia lat zjawisko to przesunęło się z marginesu do głównego nurtu i przerodziło w fenomen na masową skalę – i otworzyło nową perspektywę postrzegania miejsca. Człowieka, przedstawiciela gatunku zakochanego w miejscu, fascynuje to, że społeczność może się zmaterializować nagle, z niczego, na

odludziu. Emocje dodatkowo podgrzewa fakt, że spoiwem nowego miejsca jest wspólne przywiązanie do nowości i niezależności.

Na fali popularności Nowhere, a także jego starszego i dużo większego kalifornijskiego kuzyna, Burning Mana, zaczęto organizować jeszcze osobliwsze imprezy, ulokowane w jeszcze bardziej odludnych miejscach, na przykład Trænafestivalen, odbywający się na norweskiej wyspie Husøya za kołem podbiegunowym. Niektórzy muzycy i fani uważają ją za… zbyt łatwo dostępną, toteż organizują własną imprezę towarzyszącą na oddalonej o niecały kilometr wysepce Sanna, samotnej, smaganej przez wiatr skale, na której grają i słuchają muzyki w grocie.

Festiwalowicze gustują w geograficznym ekstremizmie – im odleglejsze i bardziej spektakularne miejsce, im większe wyzwanie stanowi dotarcie do niego, tym budzi żywsze zainteresowanie. W 2013 roku, ze względu na konflikt zbrojny pomiędzy armią malijską a islamistami, organizowany corocznie w Timbuktu w Mali Festival au Désert, impreza kiedyś reklamowana jako festiwal muzyczny odbywający się w najbardziej odludnym miejscu na świecie, został przeniesiony do Burkina Faso, ale zapowiada powrót w dawne miejsce, a publiczności na pewno nie zabraknie. Oddalenie od cywilizacji to też sposób na przesianie tłumu, dzięki czemu prawdopodobieństwo tego, że będziesz wyrażał własne ja albo spożywał posiłek w towarzystwie osoby z innej bajki niż twoja, jest niskie – taki niewinny przytyk, sarkazm podszyty zazdrością, możesz usłyszeć od osoby programowo unikającej festiwali. Nowhere urzekająco łączy bujną wyobraźnię z przyziemnością. Dużo uwagi poświęca się sposobom przemiany grupy zgromadzonych na skrawku pustkowia ludzi w szczęśliwą wspólnotę. Tworzenie miejsca wymaga zarówno pochylenia się nad stroną praktyczną przedsięwzięcia, jak i spojrzenia na nie z dystansu. Jak na ironię, naszą wyobraźnię pobudza właśnie to, co prozaiczne: radząc sobie z najzwyczajniejszymi problemami, udowadniamy, że nowe miejsce jest dla nas osiągalne, że potrafimy wyczarować nowy świat na kompletnym odludziu.

Na początku na terenie Nowhere konstruuje się Werkhaus – centralę zapewniająca dostęp do toalet, kuchni i cienia. Następnie uwaga organizatorów skupia się na pępku festiwalu: Middle of Nowhere (w skrócie MoN). W 2004 roku, kiedy impreza odbyła się po raz pierwszy, MoN miał postać instalacji z rurek, zwieńczonej pokryciem z czaszy

balonu, i znajdował się nieco na uboczu. Ten ostatni szczegół wydaje się nieistotny, ale okazało się, że tak ulokowany MoN nie spełniał swojej funkcji – nie wystarczy, że miejsce ma swoje centrum, to centrum musi mieścić się w samym sercu przedsięwzięcia – toteż w 2009 roku przeniesiono go dokładnie tam, gdzie znajduje się środek terenu festiwalowego. Nowhere pulsuje energią i twórczym zamętem dzięki organizatorom, ich komunikatywności i umiejętności podejmowania wyważonych decyzji. Gdyby te osoby – nazywają się Nowhere Lead – nie wzięły na siebie odpowiedzialności za pilnowanie porządku, festiwal utonąłby w chaosie, ludzie odpłynęliby szukać innych imprez, a cała przyjemność by wyparowała. Z jednej strony Nowhere przeprowadza dekonstrukcję norm obowiązujących w zwyczajnych miejscach, wywraca je na lewą stronę, a z drugiej – zasadza się na ścisłym podziale ról i obszarów odpowiedzialności, służącym wypracowaniu wykonalnej alternatywy. Każdy członek Nowhere Lead ma inny zakres obowiązków i każdy pracuje z inną grupą ochotników przed festiwalem, w jego trakcie i po nim. Obowiązki te są krzepiąco przyziemne: związane z toaletami, biletami, zasilaniem, śmieciami, bezpieczeństwem, opieką medyczną i tym podobnymi. Istnieje również infrastruktura komunikacyjna, reprezentowana przez działające na terenie festiwalu placówkę pocztową i gazetkę „Nowhere Tribune”.

Przyjemność płynąca z tworzenia miejsc w dużym stopniu wynika z dbania o takie szczegóły; w tym względzie „europejska odpowiedź na Burning Mana” – Nowhere – ma godny wzór do naśladowania. Paradoks festiwalu polega na tym, że choć jego produktem końcowym jest „radykalna autoekspresja”, to jednak tym, co pcha organizatorów imprezy do wytężonej pracy bez żadnej gratyfikacji, nie jest ambicja, by być oryginalnymi, ani nawet chęć wyrażenia siebie, lecz wrodzona, ludzka miłość do miejsca. To właśnie ona zaraża entuzjazmem i pozwala co roku udanie, mimo iż praktycznie od zera, tworzyć sprawnie funkcjonujące, żywe miejsce, a następnie wypełniać je szczęśliwymi, zachwyconymi ludźmi. Dreszcz emocji towarzyszący kreowaniu Nowhere potęguje zapożyczona od Burning Mana polityka „niezostawiania po sobie śladu”. Na pierwszy rzut ucha brzmi to dziwnie, przyzwyczailiśmy się bowiem utożsamiać sztukę tworzenia miejsc z trwałymi konstrukcjami. Od pokoleń zakładamy nowe miejsca, kładąc fundamenty pod budowle; sięgamy po

nieśmiertelność, wzmocnieni znaczeniem i trwałością naszych wielkich projektów. Współczesne, postindustrialne społeczeństwo, pozbawione wiary w architektoniczny monumentalizm i we własną przyszłość, odeszło od tego schematu. Nowhere niemal bez wysiłku stawia go na głowie. Trudno nie znaleźć się pod wrażeniem tego, z jaką łatwością organizatorzy i uczestnicy imprezy tworzą miejsce, po czym sprzątają je i demontują, zostawiając po sobie nieskazitelnie czysty krajobraz opuszczonego miejsca. Okazuje się, że o sile i znaczeniu miejsca wcale niekoniecznie decyduje jego trwałość. Rosnąca popularność i liczba festiwali pokazuje, że jest odwrotnie: atrakcyjności miejscu dodaje to, że może ono szybko zniknąć.

Nie wszyscy doceniają rozsądek ekopokolenia. Jedną z sił napędowych współczesnej hiszpańskiej sceny festiwali alternatywnych stali się brytyjscy ekspatrianci, których w latach dziewięćdziesiątych wygnało z ojczyzny wymierzone w takie imprezy ustawodawstwo. „Podróżnicy New Age”, jak się o nich mówiło, wcześniej wędrowali od festiwalu do festiwalu na Wyspach, potem zaś albo skończyli jako squattersi, albo wyemigrowali, kierując się ku ciepłemu i rzadko zaludnionemu południu Europy. W następnych latach festiwale zaczęły rosnąć jak grzyby po deszczu i raptem ludzie potrafiący zorganizować i rozruszać imprezę, dotąd pogardzani, okazali się na wagę złota. Nawet wojowniczo antykomercyjne przedsięwzięcia, takie jak jednoznacznie odrzucający gospodarkę opartą na obiegu pieniądza Nowhere, zasadzają się na cennych dobrach kulturowych. Lubimy te małe utopie, niekoniecznie ze względu na muzykę ani malowanie twarzy, ale dlatego, że przypominają nam o czymś, o czym nigdy nie chcieliśmy zapomnieć: że tworzenie miejsc to poważna zabawa.

Uliczka Staceyów

51° 41’ 48” N; 0° 06’ 57” E

Dzieci tworzą własne miejsca pośród świata dorosłych. Kiedy byliśmy mali, ja i mój brat mieliśmy swoją kryjówkę w ślepej Uliczce Staceyów – od nazwiska rodziny mieszkającej na końcu zaułka. Za domem Staceyów rozciągały się pola, nierówne pasy upstrzone kępami buków i brzóz, w których czasem budowaliśmy z Paulem obozy. Kiedy dziś się na nią patrzy, uliczka ani trochę nie wydaje się warta zainteresowania, ma raptem

sto metrów długości, a po obu jej stronach rosną rachityczne, wyglądające na brudne drzewka i wybujałe krzaki. Pas roślinności ma szerokość metra, czasem dwóch, za nim widać rozmaitość płotów, siatek i ogrodzeń. Jest to ponure miejsce niezależnie od pogody, zawsze zimne i błotniste. A jednak uciekaliśmy do niego, kiedy byliśmy dziećmi, przeżywaliśmy w nim przygody. W Uliczce Staceyów dysponowaliśmy czteroma czy pięcioma kryjówkami. Rozchylaliśmy gałęzie, wpełzaliśmy do środka, udeptywaliśmy trawę i otrzymywaliśmy na tyle dużo przestrzeni, że mieściliśmy się obaj na stojąco. Posiadanie więcej niż jednego azylu było ważne, zapewne dlatego, że dzięki temu zawsze mieliśmy co robić – kryjówkę należało wyszykować i dbać o nią – a także z tej przyczyny, żeby jeden z nas miał dokąd iść, kiedy się pokłóciliśmy. Biegaliśmy razem albo osobno, przynosiliśmy sobie informacje albo ciastka z naszego domu, który znajdował się przy głównej ulicy, dosłownie tuż za rogiem.

Dzieci wykorzystują różne okazje, by tworzyć własne zakątki w miejscach osieroconych przez dorosłych. Pola za domem Staceyów nas nie interesowały, bo woleliśmy kryjówki, które zapewniały nam schronienie przed światem dorosłych. Wiele lat później przyglądałem się dwójce moich dzieci, które postępują dokładnie tak samo jak kiedyś ja i Paul. Najlepszym schronieniem są dla nich rododendrony w parku nieopodal naszego domu. Jeśli rozchylisz gałęzie i zajrzysz w splątany mrok, zobaczysz schowane tam ubrudzone dzieciaki. Zwykle spotkasz też niejednego krążącego wokół krzaków zdenerwowanego rodzica, kryjówki w rododendronach powstają bowiem nie tylko dla dziecięcej przyjemności, lecz także po to, by chować się w nich przed dorosłymi.

W książce *The Child in the City* (Dziecko w mieście) Colin Ward pisze: „Tłem dla wszystkich naszych celowych działań, dla całego domowego świata, jest ten doskonały krajobraz, który poznaliśmy w dzieciństwie”. Opisuje utracone miejsca już nieuchwytne, choć stale obecne: „Przesiewają się przez naszą wybiórczą i autoocenzurowaną pamięć jako mit, jako idylliczny porządek rzeczy, raj do odzyskania”. Ward twierdzi, że dziecięca skłonność do tworzenia kryjówek nie tylko znajduje odzwierciedlenie w późniejszym dorosłym życiu, lecz także wręcz jest czymś, do czego nieustannie dążymy. Te sekretne miejsca być może już nie istnieją i możliwe też, że w teraźniejszości rzadko wracamy do nich pamięcią, ale pozostają z nami, ponieważ okazały się ważne, przyniosły nam pociechę;

po latach projektujemy domy i samochody na ich podobieństwo, tworzymy dorosłe kryjówki, zapewniając sobie komfort psychiczny.

Kryjówki to nasze pierwsze miejsca – pierwsze, które czynnie kształtujemy mocą wyobraźni, o które dbamy i które rozumiemy. Moszczenie niewygodnych gniazd w Uliczce Staceyów pozwoliło mi zrozumieć, że miejsca mogą być dużo ciekawsze niż zwyczajowo narzucane reguły zachowania i linie podziału. Pamiętam wyraźnie, że kiedy się w nich chowało, kryjówki pozwalały na o wiele więcej niż dobra zabawa i poczucie bezpieczeństwa. Pamiętam prowadzone przyciszonym głosem rozmowy, raz za razem nadające każdej kryjówce nowe znaczenie: to jest twoja baza; nie, to jest moja baza; nie, to jest wejście do dwóch kryjówek, one są sypialniami. Znaczenie każdego z tych miejsc zależało od nas, mogliśmy je bez wysiłku ukształtować tak, by pasowało do naszych zmieniających się fantazji.

Tworzenie kryjówek to szczególny rodzaj zabawy, nie lalkami, nie karabinami, lecz miejscami. Zabawy wyjątkowo osobistej i subtelnej – obecność dorosłego albo nastolatka potrafi zniszczyć ją w mgnieniu oka; gdyby zamajaczyła nad nami czyjaś twarz, obróciłaby kryjówkę w nieciekawą plątaninę gałęzi. Dorosłym trudno ponownie uchwycić to ulotne, radosne podejście do tworzenia miejsc, ponieważ z biegiem lat przyzwyczajamy się, że znaczenie miejsca to coś niezmiennego, w dodatku niezależnego od nas. Wiele zjawisk, o których opowiadam w tej książce – mikropaństwa, festiwale organizowane na odludziu, męskie społeczności religijne – odbieramy jako niezwykłe, ponieważ kojarzą się z budowaniem kryjówek, w porównaniu z nimi są jednak zbyt statyczne, zastygłe w pełnej inwencji chwili.

W tym samym czasie, kiedy Paul i ja kucaliśmy w krzakach, objadając się ciastkami, niektórzy dorośli martwili się, że czegoś podobnego doświadcza coraz mniej dzieci. W 1960 roku Paul Goodman pisał o „niewidocznej technologii, rodzinnej mobilności, zanikaniu wiejskich i sąsiedzkich tradycji”, które „pochłaniają” przestrzeń do zabawy i pozbawiają dzieci „prawdziwego środowiska”. Dziś pogląd, iż dziecięca zabawa to ginące zjawisko, jest powszechny. Pedagogowie Karen Malone i Paul Tranter, odnosząc się do australijskiej przestrzeni miejskiej, uważają, że „wiele dzieci straciło dostęp do tradycyjnego środowiska zabaw, w tym do ulic i dzikich miejsc”. Winą za ten stan rzeczy naukowcy obarczają

wiele różnych czynników: „strach rodziców, żeby dziecko nie wpadło pod samochód, żeby nie stało się ofiarą przemocy rówieśniczej albo żeby nie było napastowane przez obcą osobę”, „utratę naturalnej przestrzeni” oraz „przekonanie o tym, co dla dziecka najlepsze”, czyli trzymanie go pod kloszem. Dorośli patrzą przez pryzmat swoich obaw i postrzegają ulice i parki jako zbyt niebezpieczne dla dzieci. Lęk ten nie jest, rzecz jasna, bezpodstawny, ale sprawia, że dzieci zaczynają traktować zabawę jak ograniczone czasowo „przeżycie” doznawane pod okiem specjalistów. Fachowo zaprojektowane place zabaw, pełne „koordynatorów”, „animatorów” i „opiekunów”, których praca stanowi połączenie niewykonalnego z paradoksalnym, zastępują dzikie miejsca zabaw. Z jednej strony pragniemy bowiem chronić nasze dzieci, a z drugiej – chcemy, aby przeżywały dziecięce przygody, najlepiej takie, jakie sami sobie wyobrażamy. Od osób zawodowo zajmujących się organizacją zabaw oczekujemy zarazem zapewnienia dziecku ochrony, jak i oderwania małego człowieka od ekranu komputera bądź telewizora i pokazania mu, jakie i gdzie mogą czaić się niebezpieczeństwa.

Wiele dzieci nadal buduje kryjówki, ale dziś robi to – o ironio! – na komputerze. Moje pociechy na pewno nie byłyby pod wrażeniem byle jakich konstrukcji, które kleciliśmy z Paulem. Mają do dyspozycji niezliczone strony i programy pozwalające wygodnie tworzyć nie tylko własne pokoje i domy, lecz także całe królestwa. Robią to wprawdzie nie dla siebie, a dla swojego awatara, ale w gruncie rzeczy jest to też forma budowania kryjówki, pomysłowego tworzenia miejsca ukrytego przed wścibskim i kłopotliwym światem dorosłych. Wirtualnym azylom czegoś jednak brakuje: nie zmuszają użytkowników do przewartościowywania swojego stosunku do realnych miejsc i nie wymagają od nich umiejętności samodzielnego kształtowania miejsca. Zostały przecież stworzone przez dorosłych, są wypielęgnowanymi przestrzeniami z ograniczoną liczbą możliwości zmian i podlegającymi surowym zasadom. Jeśli rzeczywiście przez całą dorosłość usiłujemy odbudować tę ciepłą, wolną i szczęśliwą krainę ulepioną z dziecięcej fantazji, to chciałbym zobaczyć, jak pokolenie wychowane na Simsach będzie próbowało z nostalgią odtworzyć wygenerowane komputerowo wspomnienia geograficznych zabaw.

Zakończenie: współczucie dla gatunku kochającego miejsca

Opisałem zaledwie wycinek świata pełnego niezwykłych miejsc. Mam nadzieję, że ta krótka podróż skłoni nas do przemyśleń na temat skali i siły wyobraźni geograficznej i że dowiemy się czegoś o własnym stosunku do otaczających nas miejsc. Miejsca wymykające się definicjom zaskakują, przeczą oczekiwaniom i na nowo zaczarowują geografię. Uświadamiają nam również, jak bardzo ludzka motywacja na zupełnie podstawowym poziomie – na przykład potrzeba wolności, ucieczki, kreatywności – wiąże się z miejscem. Pokonaliśmy drogę od wyspy Sandy po Uliczkę Staceyów i przekonaliśmy się, że ludzie przelewają swoje nadzieje i obawy na miejsce.

Podążyliśmy ścieżką ludzkiego talentu do kształtowania i tworzenia: poznaliśmy miejsca utracone i ukryte, zaprojektowane i stworzone, a także te, które powstały przypadkiem. Żadne z tych spotkań nie przyniosło nam pociechy, nie dodało otuchy. Musieliśmy stanąć twarzą w twarz z osobliwymi, ponurymi i trudnymi lokalizacjami i przekonać się, że każda z nich ma dla nas jakieś znaczenie; że to, co dzieje się z tonącymi wyspami, znikającymi zbiornikami wodnymi i rządzonymi silną ręką miastami, dotyczy każdego miejsca.

Spojrzeliśmy prawdzie w oczy: nasz stosunek do miejsca jest pełen paradoksów. Okazuje się bowiem, że te zwyczajne są zarazem nadzwyczajne; że to, co wydaje się egzotyczne, znajdziemy tuż za rogiem albo wręcz pod stopami. Paradoks stanowi też to, że granice zamykają nas w potrzasku, a zarazem dają nam poczucie swobody. Niektórym z opisanych przeze mnie miejsc, zwłaszcza tym, które umieściłem w rozdziale *Ziemie niczyje*, udało się wyrwać z klaustrofobicznego zbioru państw, toteż kuszą obietnicą wolności, a jednocześnie swoją nieprzewidywalnością i czasem okrucieństwem, uświadamiają, dlaczego ludzie jednak potrzebują granic. Paradoks może sięgać jeszcze głębiej: nie wyznaczamy granic wyłącznie ze względów utylitarnych i chyba czas przyznać, że robimy to, bo granice pobudzają nas do działania i czerpiemy

przyjemność z ich istnienia, czego najlepiej dowodzą państwa wyodrębniające się z innych oraz takie miejsca jak Baarle-Nassau albo góra Athos. Być może zabrzmi to zuchwale, ale trzeba to powiedzieć: po pierwsze, że wizja świata bez granic nie ma szans na spełnienie, a po drugie, że taki świat byłby nudny.

Kolejnym paradoksem, przewijającym się przez wszystkie czterdzieści siedem miejsc, jest ludzka potrzeba jednoczesnego zakorzenienia i mobilności. „Do wielkich walk człowieka – pisze Salman Rushdie w *Ziemi pod jej stopami* – trzeba też zaliczyć zaciekłe zmaganie między wizjami Domu i Dali, między snem o korzeniach a mirażem podróży”[32]. Kilka spośród miejsc, które odwiedziliśmy, próbuje zasypać tę przepaść: pływające miasta, takie jak nieustannie krążący po świecie „The World”, albo miejsca efemeryczne, takie jak miasteczko festiwalowe Nowhere, które nagle wyrasta, po czym równie nagle znika bez śladu. Tego dylematu nie da się gładko i do końca rozwiązać, ponieważ zamiłowanie do ucieczki i podróży mamy równie silnie zaszczepione, jak jego przeciwieństwo: pragnienie zakotwiczenia, znalezienia ostoi, miejsca, o które byśmy dbali i które byłoby gdzieś, a nie gdziekolwiek. Z takim problemem nie sposób łatwo sobie poradzić, wciąż bowiem wraca do nas, przypomina o sobie, każe spojrzeć sobie w oczy.

Miejsce, a wraz z nim wszystkie jego paradoksy, nierozerwalnie wiąże się z ludzką tożsamością. Nic nie dzieje się w zawieszeniu, najbardziej podstawowe ludzkie idee i związki rodzą się w kontekście miejsca. Zagadnienie to nie jest bynajmniej nowe, ale rzadko staje się tematem dyskusji czy raczej tematem ambitnej dyskusji, zakładającej, iż ma ono jakąkolwiek intelektualną treść. Na szczęście pojawiają się sygnały, że powoli zaczynamy zastanawiać się nad naturą miejsca. Wydaje mi się wymowne to, że opublikowana pod tytułem *The Destruction of Memory* (Zagłada pamięci) książka Roberta Bevana traktuje w istocie o zagładzie miejsc w XX wieku, jest przygnębiająco długim apelem miejsc zbombardowanych i zniszczonych w imię tej czy innej wojującej ideologii. Tacy autorzy jak Brytyjczyk Paul Kingsnorth, Francuz Marc Augé i Amerykanin James Kunstler, którzy omawiają śmierć miejsc i nie-miejsc, a także narodziny „nigdzie” w kontekście kulturowym, również zabierają głos w tej dyskusji. Oczywiście, powody do obaw istnieją, ale byłoby szkoda, gdyby rozmowa o znaczeniu miejsca ograniczała się do

zabarwionego nostalgią lamentowania. Przekonaliśmy się, że świat obfituje w zaskakujące miejsca, czasem urzekające, a czasem przerażające, zawsze jednak intrygujące. Lokalizacje wymykające się definicjom prowokują nas i zmuszają do zastanowienia nad niedocenianą, choć zasadniczą, rolą miejsca w naszym życiu. Pokazują, kim naprawdę jesteśmy: gatunkiem tworzącym i kochającym miejsca.

Podziękowania

Dziękuję Robin Harvie z Aurum i Courtney Young z Houghton Mifflin Harcourt za niestrudzoną pomoc, a także słowa zachęty i cenne sugestie. Dziękuję Jamesowi Macdonaldowi za wiarę i cierpliwość, oraz Rachel, Louisowi i Aphrze za umiejętność słuchania i liczne pomysły.

Bibliografia

Ackroyd, Peter, *London Under*, Londyn: Chatto and Windus, 2011

Alterazioni Video, *Sicilian Incompletion*, „Abitare", 2008, nr 486, s. 190–207, tekst dostępny na stronie http://www.alterazionivideo.com/new_sito_av/projects/incompiuto.php

Augé, Marc, *Nie-miejsca: wprowadzenie do antropologii hipernowoczesności*, przeł. Roman Chymkowski, przedmowa Wojciech Józef Burszta, Warszawa: Wydawnictwo Naukowe PWN, 2011

Babcock, William, *Legendary Islands of the Atlantic: A Study in Medieval Geography*, Nowy Jork: American Geographical Society, 1922

Ballard, J.G., *Wyspa*, przeł. z ang. Lech Jęczmyk, Warszawa: Czytelnik, 1982

Ballard, J. G., *Zatopiony świat*, przeł. z ang. Maciej Świerkocki, Pruszków: Rachocki i S-ka, 1998

Bevan, Robert, *The Destruction of Memory: Architecture at War*, Londyn: Reaktion Books, 2006

Boym, Svetlana, *The Future of Nostalgia*, Nowy Jork: Basic Books, 2001

Brick, Greg, *Subterranean Twin Cities*, Minneapolis: University of Minnesota Press, 2009

Brodski, Josif, *Mniej niż ktoś: eseje*, przeł. Krystyna Tarnowska i in., Kraków: Znak, 2006

Casey, Edward, *The Fate of Place: A Philosophical History*, Berkeley: University of California Press, 1998

Choisy, Maryse, *A Month among the Men*, Nowy Jork: Pyramid Books, 1962

Egremont, Max, *Forgotten Land: Journeys among the Ghosts of East Prussia*, Londyn: Picador, 2011

Frank, Robert, *Richistan: A Journey Through the 21st Century Wealth Boom and the Lives of the New Rich*, Londyn: Piatkus, 2007

Guevara, Ernesto, *Kuba: wojna partyzancka*, przeł. Adam Paszt, przedmowa Z. Duszyński, Warszawa: Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, 1961

Hill, Ben, *Blue Murder: Two Thousand Doomed to Die – The Shocking Truth About Wittenoom's Deadly Dust*, South Melbourne: Sun Books, 1989

Hohn, Donovan, *Moby-Duck: The True Story of 28,800 Bath Toys Lost at Sea*, Londyn: Union Books, 2012

Kasarda, John i Lindsay, Greg, *Aerotropolis: The Way We'll Live Next*, Londyn: Penguin Books, 2011

Kingsnorth, Paul, *Real England: The Battle Against the Bland*, Londyn: Portobello Books, 2008

Kunstler, James, *The Geography of Nowhere: The Rise and Decline of America's Man-made Landscape*, Nowy Jork: Simon and Schuster, 1993

Lee, Pamela, *Object to Be Destroyed: The Work of Gordon Matta-Clark*, Cambridge: MIT Press, 2000

Moorcock, Michael, *Mother London*, Londyn: Martin Secker and Warburg, 1988

Miéville, China, *Miasto i miasto*, przeł. Michał Jakuszewski, Poznań: Zysk i S-ka, 2010
Mycio, Mary, *Piołunowy las: historia Czarnobyla*, tłum. [nie podano], Poznań: Wydawnictwo RK, 2006
Nunn, Patrick, *Vanished Islands and Hidden Continents of the Pacific*, Honolulu: University of Hawai'i Press, 2008
Saladin, *Hell: Where is it?*, Londyn: W. Stewart and Co., 1902
Stommel, Henry, *Lost Islands: The Story of Islands that have Vanished from Nautical Charts*, Vancouver: University of British Columbia Press, 1984
Tuan, Yi-Fu, *Topophilia: A Study of Environmental Perception, Attitudes and Values, Engelwood Cliffs*, New Jersey: Prentice-Hall, 1974
Ward, Colin, *The Child in the City*, Londyn: Architectural Press, 1977

Przypisy

[1] Słowo pochodzi z gr. *ou* – przeczenie i *tópos* – miejsce (wszystkie przypisy pochodzą od redakcji).
[2] Herman Melville, *Moby Dick, czyli biały wieloryb*, t. 1, przeł. Bronisław Zieliński, Warszawa: Czytelnik, 1971, s. 80.
[3] Josif Brodski, *Przewodnik po przemianowanym mieście*, przeł. Paweł Hertz, w: *Dyptyk petersburski, czyli przewodnik po przemianowanym mieście*, Warszawa: Fundacja Zeszytów Literackich, 2003, s. 7.
[4] Indygenizacja – zapożyczanie wzorów kulturowych i dostosowywanie ich do potrzeb miejscowej ludności.
[5] Rodzaj bezdymnego prochu służący do produkcji ładunków wybuchowych.
[6] Ikonoklazm muzułmański to zakaz przedstawiania w sztuce postaci Boga, aniołów, ludzi i zwierząt.
[7] Fatwa – opinia prawna wydana przez muftiego, teologa i prawnika muzułmańskiego.
[8] Koran, z arabskiego przełożył i komentarzem opatrzył Józef Bielawski, Warszawa: Państwowy Instytut Wydawniczy, 1986, s. 225.
[9] Sepulkralny – grobowy, cmentarny.
[10] Nazwy innych obszarów pustynnych w tym regionie również zawierają słowo *kum*: Kara-kum (dosł. czarny piasek), Kyzył-kum (dosł. czerwony piasek).
[11] Witruwiusz, *O architekturze ksiąg dziesięć*, przeł. Kazimierz Kumaniecki, Warszawa: Państwowe Wydawnictwo Naukowe, 1956, s. 42.
[12] Lisy czasem dzielą nory z borsukami.
[13] *Quid pro quo* (łac.) – coś dane lub otrzymane za coś innego.
[14] Sedentaryzacja – osiedlanie się grupy pierwotnie mobilnej w jednym miejscu.
[15] J.G. Ballard, *Wyspa*, przeł. Lech Jęczmyk, Warszawa: Czytelnik, 1982, s. 15.
[16] Tamże, s. 71.
[17] Miarą ikoniczności w architekturze jest szczególne symboliczne bądź estetyczne znaczenie budynków, przestrzeni, a niekiedy nawet samych architektów; jednym z jej wyznaczników jest również sława. Architekturę ikoniczną określa się jako hegemoniczny wytwór ponadnarodowej klasy kapitalistycznej (zob. http://tcs.sagepub.com/content/27/5/135.abstract).
[18] Geomancja – lokowanie miejsc (przy użyciu technik wróżbiarskich) w taki sposób, aby wykorzystać pozytywne oddziaływanie otoczenia.
[19] *Schadenfreude* (niem.) – radość z cudzego nieszczęścia.
[20] Steve Connor, *20 years after meltdown, life returns to Chernobyl*, http://www.independent.co.uk/news/world/europe/20-years-after-meltdown-life-returns-to-chernobyl-472842.html [dostęp: 8.04.2015].
[21] Za: *Europejski Trybunał Praw Człowieka: wybór orzeczeń 2012*, oprac. Marek Antoni Nowicki, Warszawa: Wolters Kluwer, 2013, s. 116.

[22] Liczba ta wydaje się przesadzona. W większości opracowań poświęconych Securitate oscyluje ona wokół pół miliona.
[23] Władimir Megre, *Dzwoniące cedry*, przeł. Anna Kreuschner, Poznań : WiS, 2002, s. 7.
[24] Obydwa cytaty: Che Guevara, *Kuba: wojna partyzancka*, przeł. Adam Paszt, Warszawa: Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, 1961, s. 19–20.
[25] *Raison d'être* (fr.) – racja bytu.
[26] *Per capita* (łac.) – na głowę.
[27] W październiku tego samego roku został aresztowany w Belgii i osądzony.
[28] Interior – terytorium leżące w dużej odległości od wybrzeża morskiego i ośrodków przemysłowych.
[29] Gagauzi używali (nieoficjalnie) flagi z wilczym łbem, ale kiedy Gagauzja uzyskała autonomię pod koniec 1994 roku, tę flagę zastąpiła inna, oficjalna, przedstawiająca trzy poziome pasy – niebieski (na górze), biały (środkowy) i czerwony. Na niebieskim tle znajdują się po lewej stronie trzy gwiazdy. Obecnie używane są dwie flagi: oficjalna flaga Gagauzji i nieoficjalna flaga Gagauzów (z wilczym łbem).
[30] Być może autor ma na myśli proces szczelinowania, związanego z układami barycznymi (np. wyżem, któremu towarzyszy wzrost temp. powietrza) i silnymi wiatrami, które napędzają prądy morskie i sztormy – to one przemieszczają topniejące masy lodu, powodując pękanie, powstawanie i poszerzanie szczelin. Objaśnienie i wizualizacja tego procesu: https://www.youtube.com/watch?t=98&v=K5Ni_6ntZ3Q.
[31] Francuski architekt modernistyczny Le Corbusier stworzył w latach dwudziestych XX wieku koncepcję „maszyn do mieszkania" – miast będących ogrodami, wśród których na słupach miały wznosić się bloki z tarasami na dachach.
[32] Salman Rushdie, *Ziemia pod jej stopami*, przeł. Wojsław Brydak, Poznań: Dom Wydawniczy Rebis, 2001, s. 64.

===Lx4qHicTJFdmUGVWZA44DDtdbFUxBTVRM1c2BzUNNFFhBTYEMVc=